

**BEZ
DEKRETU**

NR 16 KRAKÓW

BEZ DEKRETU

Pismo członków i sympatyków

„SOLIDARNOŚCI”

NR 16

Kraków - 1987

Spis treści:

1. Władysław Bartoszewski - Budowanie mostów	3
2. Andrzej Wiernikowski - Jak walczyć z silnym przeciwnikiem /o koncepcji współpracy B.Piaseckiego z Niemcami hitlerowskimi - rozmowa z W.Szparbachowski	11
3. Tomasz Jastrun - Wiersze	15
4. Florian Krakowski - Czy potrzebna nam jest demokracja .	17
5. Mateusz Zawieja - Bronię demokracji	23
6. Zagoniona zwierzyna? - dyskusja o muzyce rockowej . . .	26
7. XXX - Rozstawne cytaty	38
8. Józef K. - Europa Środkowa: anegdota i historia /cz. II/	41
9. Timothy Garton Ash - Czy Europa Środkowa istnieje? . .	51
10. Jan Strękowski - Lekcja historii	69
11. Konrad Struga - Wszystko w swoim czasie	72

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów.

Redakcja zastrzeżę sobie prawo skracania powierzonych jej materiałów.

© Copyright by BEZ DEKRETU
Przedstawiciel "Bez Dekretu": Agnieszka Kołakowska
Paryż, Francja

Dziękujemy: OSNY - za 753
A.B. - za 8.500 zł /zwrot honorarium/

BUDOWANIE MOSTÓW

Friedenspreis des Deutschen Buchhandels 1986 Wladislaw Bartoszewski



„LEIDEN UND KÄMPFEN FÜR EINE GERECHTE SACHE“

Vortrag und Gespräch am Donnerstag, 2. Oktober 1986, 20 Uhr, Dominikanerkloster, Haus des Evangelischen Regionalverbandes Frankfurt, Kurt-Schumacher-Straße 23, Börneplatz, Großer Saal, Eintritt frei.

Laudatio Prof. Hansa Msiera przyjmuję z tym większą wdzięcznością i wzruszeniem, że nie zapomnieliśmy i nie zapomnę, iż Hans Maier należał do tych niemieckich intelektualistów, którzy w grudniu 1981 roku, gdy wraz z wieloma innymi pozbawiony byłbym wolności, wystąpił jako prezes Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich do władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o zwolnienie mnie i moich przyjaciół z miejsca odosobnienia.

Decyzja o przyznaniu mi Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego była dla mnie tyleż zaskakująca, co radosna, a ponieważ zwykłem treść i sens przyznawanych mi wyróżnień traktować poważnie, uznaję ją także za wysoce mnie zobowiązującą. Wśród dotychczasowych laureatów tej nagrody nie brak przecież nazwisk osób, które w znacznym stopniu przyczyniły się do kształtowania podstawowych pojęć w zakresie moralności społecznej, pojęć o człowieku, celach jego życia, o szczytnych ideałach wolności i pokoju, o doświadczeniach historii i perspektywach historii. Nie brak osób, które wywarły niemały wpływ na moje własne myślenie przez swe słowa i dzieła, ale przede wszystkim przez swą postawę w chwili ostatecznego wyboru - mam na myśli doktora Henryka Goldszmita - Janusza Korczaka, jednego z cichych bohaterów naszego stulecia.

W pierwszych latach przyznawania Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego wyróżniono nią takie osobistości, zapisane już dziś na kartach kultury europejskiej, jak Albert Schweitzer, Romano Gaurdini,

Martin Buber, Reinhold Schneider czy Karl Jaspers. W ostatnim dziesięcioleciu znaleźli się wśród laureatów tej nagrody ludzie o innym, specyficznym doświadczeniu, zmiennym też dla naszej epoki - Leszek Kołakowski, Lew Kopelew i Manès Sperber. Z wyrażonym w tej sali, w październiku 1983 r., moralnym i politycznym testamentem zmarłego w międzyczasie Manèsa Sperbera w pełni się identyfikuję.

Jest mi szczególnie miło, że moim bezpośrednim poprzednikiem, laureatem Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego 1985, był Teddy Kollek, burmistrz Jerozolimy, która w moim odczuciu była i jest nie tylko świętym miastem trzech religii - mozaizmu, chrześcijaństwa i islamu, ale i Miastem całej ludzkości. Człowiek, który łączy głęboki patriotyzm wobec swego narodu i państwa z prawdziwym poszanowaniem ludzi innych wyznań, innej narodowości i innych poglądów.

Nigdy chyba tyle, co dziś, nie mówiono w Europie o pokoju: o potrzebie pokoju, o obronie pokoju, o miłości pokoju. Chwilami nasuwa się obawa, że w istnej powodzi oświadczeń i deklaracji, zakłęk i hasła na ten temat gubi się już niemal prawdziwy, czyli głębszy sens samego pojęcia. Powstaje wręcz podejrzenie, że w wielu wypadkach chodzi bardziej o własny spokój i wygodę, niż o pokój, że pojęcie pokoju staje się przedmiotem manipulacji. Posługujemy się nim coraz częściej, ale zbyt rzadko zastanawiamy się nad warunkami, które trzeba spełnić, aby pojęcie pokoju sprowadzone zostało do jakiegoś wspólnego mianownika dla całej cywilizowanej ludzkości. A przecież jeden z największych umysłów niemieckich XX wieku, Karl Jaspers, sformułował tu, w Pauls-Kirche, w swojej mowie z okazji przyznania mu nagrody pokojowej, trzy zasady, których głębia i prostota wydają się w świetle dzisiejszych doświadczeń jeszcze bardziej oczywiste niż w 1958 r.:

"Po pierwsze: Nie sposób utrzymać pokoju zewnętrznego bez pokoju wewnętrznego w ludziach. Po drugie: pokój - jedynie poprzez wolność. Po trzecie: wolność - jedynie poprzez prawdę!"

I całkowicie jednoznacznie:

"Najpierw wolność, potem pokój na świecie! Żądania odwrotne: "najpierw pokój" - potem wolność" ludzi. Zewnętrzny pokój, utrzymywany na krótko przez przypadek, despotyzm, zręczne pociągnięcia albo lęk wszystkich przed wszystkimi, nie jest pokojem utwierdzonym w człowieku. Rzeczywisty nie-pokój wynikający z braku wolności jednostek doprowadziły wkrótce znow do wojny./.../

Jeżeli chcemy wolności i pokoju, musimy się spotkać w wymiarze prawdy, która leży poza wszelkimi partiami i zapatrywaniami, poza naszymi rozstrzygnięciami i decyzjami!"

Należę do generacji wychowanej jeszcze w cieniu doświadczeń I wojny światowej i naznaczonej we wczesnej młodości, przekraczającą wówczas wyobraźnię ludzką, próbą II wojny światowej. Ale należę też do narodu niezwykle ciężko doświadczonego w niewoli w wieku XIX i po krótkiej chwili oddechu zagrożonego w swoim istnieniu od roku 1939. Dlatego też może, sprawa pokoju ma dla mnie szczególną wagę. Ale z tego samego powodu jest ona dla mnie nierozdzielna od sprawy wolności człowieka i grup ludzi, wolności wyznania czy światopoglądu, wolności wyboru miejsca i form życia, wyboru systemu politycznego i gospodarczego, wolności słowa, wolności od strachu. Dopóki te warunki bytowania ludzi nie zostaną spełnione, dopóki nie zostaną spełnione nawet na naszym starym subkontynencie europejskim, szcycącym się wszak tradycją kilkudziesięciu pokoleń ludzkich czerpiących ze wspólnych źródeł kultury i cywilizacji, dopóty nie zapewnimy podstaw trwałego pokoju. Nawet gdybyśmy się do nich w niektórych krajach przybliżyli.

W jednej z ksiąg Starego Testamentu, Deuteronomium, znajdujemy przestrożę Mojżesza pouczającego swój lud po latach ciężkich doświadczeń, aby rozmyślając o przeszłości uczył się z historii. W pokoleniu, do którego należę, które widziało na własne oczy mury i zapory z drutów kolczystych dzielące ludzi - mury getta w Warszawie i gdzie indziej, mur dzielący przez lata Jerozolimę i mur dzielący do dziś Ber-

lin - najważniejsze wydaje się popieranie wszystkiego, co ludzi łączy i przeciwstawianie się wszystkiemu, co ludzi, wbrew ich woli, dzieli.

Żaden naród, żadne państwo, żaden rząd i żadna partia polityczna nie ma patentu na humanizm, człowieczeństwo i szlachetność, ani na bezbłędną postępowanie. Ale nikt też nie jest w dzisiejszym świecie skazany na akceptację na stałe ucisku jako formy wykonywania władzy. Wiele państw umiało skorzystać niemało z nauki historii, z doświadczenia, że jakakolwiek idea nienawiści ani imperialna pycha nie popłacają. Głoszenie, czy praktykowanie po cichu zasady nienawiści rasowej, narodowej, wyznaniowej, klasowej, zresztą nienawiści jakiegokolwiek grup ludzi wobec innych ludzi - prowadzi w ślepią ulicę. Można by to uznać za truizm, ale czy z całą pewnością jest to problem całkowicie przezwyciężony, nie istniejący, nieaktualny w stosunkach międzynarodowych i w stosunkach wewnętrznych poszczególnych państw współczesnego świata? Czy zmieniła się w sposób wystarczający mentalność polityczna mocarstw, czy dostrzegalną jest rzeczywista gotowość do kompromisu, do rzetelnej rezygnacji z poszerzenia stref wpływów politycznych i militarnych przy jawnym czy podstępym użyciu środków przemocy, dywersji, terroru? I to wszystko w czasach, w których wolny rozwój stosunków gospodarczych, kulturalnych, naukowych i swoboda kontaktów między ludźmi mogłyby w większym stopniu zagwarantować pomyślność wielu narodów, niż samo tylko zawzięte trwanie przy tradycyjnych - a zdawać by się mogło dawno skompromitowanych - metodach przemocy!

Uważa się na ogół za bezsporne, że na pierwszym miejscu wartości wspólnej Europie stoi człowiek, jego życie, dobro i przyszłość. W świetle doświadczeń historii najnowszej nikt przynajmniej nie odważa się tego głośno kwestionować, i samo to stanowi już pewien postęp w dziejach. Człowiek więc ma być na tej ziemi celem, a nie narzędziem. Państwa, organizacje społeczne, partie polityczne mają służyć człowiekowi, a nie on im. Do XVIII-wiecznych hasła wolności, równości i braterstwa, dołączyło się bardzo realistycznie pojmowane hasło sprawiedliwości społecznej, czyli kładu zapewniającego poszanowanie praw człowieka pracującego i zapewnienie mu godziwych warunków życia. Ale równocześnie był przecież ten, zbliżający się ku końcowi, wiek XX wiekiem straszliwej zbrodni na ludziach w imię obłąkanych idei i pozostanie zapewne w historii wiekiem masowego wyniszczania ludzi pod kryptonimem "ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej", lub innymi kryptonimami, ale także obozów koncentracyjnych tworzonych w różnych miejscach w różnym czasie przez ludzi dla ludzi.

Cały cywilizowany świat potępia wprawdzie w ostatnich dziesiątkach lat ucisk rządzonych przez rządzących, ale nie zdołaliśmy, niestety, doprowadzić dotychczas do tego, aby do pojęć znanych już tylko z ksiązek należała instytucja więźniów sumienia, zjawisko tortur stosowanych przez różne policje polityczne, ucisku z powodu wyznawanej wiary czy przekonań i mordowania kapłanów różnych wyznań, aby przestały funkcjonować różnego rodzaju obozy pracy przymusowej i obozy koncentracyjne. Mało tego - postęp medycyny doprowadził w dwudziestym stuleciu do przymusowego izolowania i maltretowania ludzi w zakładach psychiatrycznych, jeśli wyznają i głoszą poglądy sprzeczne z ideologią i interesami władzy.

Pojęcie wolności słowa, badane w wielu krajach, opisywane w setkach prac politologów, socjologów i badaczy środków masowego przekazu, ciągle jeszcze interpretowane jest w sposób całkowicie odrębny w różnych krajach europejskich. Prymitywne przeświadczenie, że odcięcie ludzi od źródeł informacji, wyłączenie ich z wolnego obiegu wiadomości, ułatwi bezdyskusyjne władanie grupami ludzi czy narodami i przyjęcie przez nich jednolitej formułki, czy też jednolitej recepty politycznej albo ideologicznej, wydawać się może naiwnością, jeśli nie nonsensem, w dobie współczesnego rozwoju środków masowego przekazu. A jednak praktyka taka istnieje. Można jednak uznać za pewne, że jeśli nawet przez jakiś jeszcze czas dawać ona będzie zamierzone rezultaty,

to w historii nie sprawdzi się i przeminie, i będzie widziana z cza-
sem w podobnej niesławie, jak instytucja niewolnictwa.

Bezspornym i szczęśliwym faktem jest, że w Europie - choć niestety
nie na całym świecie - nie mamy od ponad czterdziestu lat wojny mię-
dzy państwami. Zawahałbym się jednak przed nazwaniem pięknym słowem
pokój stanu rzeczy, z którym mamy w kilku krajach europejskich do czy-
nienia, ze szczególnie i krwawym zjawiskiem zorganizowanego terroryz-
mu, pociągającego za sobą stale na nowo krwawe ofiary wśród ludzi. Wy-
dawać by się mogło, że przeciwstawianie się temu zbrodniczemu i ponu-
remu zjawisku może stanowić jeden z ważnych celów działalności szcze-
rze ideowej młodzieży, która uczestniczy w różnych europejskich orga-
nizacjach ruchu pokojowego. Nie może być przecież mowy o wiarygodności
jakichkolwiek organizacji czy partii politycznych, które by programo-
wo, lub też podświadomie, lekceważyły prawo naturalne i wynikające z
niego prawa człowieka, których nikt mu nie może ani podarować, ani o-
debrać, w tym podstawowe prawa do życia i do ochrony życia.

Nienawiść, wrogość i pogarda wobec ludzi mają i dzisiaj różne obli-
cza. Terroryzm jest tylko jednym z nich. Ale znamy i inne zagrożenia
porządku moralnego. I tak np. dla rzekomego uniknięcia tzw. większego
zła, praktykuje się niejednokrotnie uległość wobec przemocy i narusza-
nia podstawowych praw osoby ludzkiej. Antysemityzm ubiera się w fał-
szywą maskę tzw. anty-syjonizmu, co pozwala na manipulowanie niskimi
namiętnościami i wywoływanie z uspienia różnych resentymentów. Swoi-
stym przejawem pogardy wobec ludzi jest też apodyktyczne orzekanie o
granicach wolności dla innych, pragmatyczna nonzalancja w traktowa-
niu narodów uciśnionych. Jakżesz jasno i jednoznacznie brzmi na tym
tle głos Papieża Jana Pawła II, który w swej pierwszej encyklice "Re-
demptor hominis" podjął problem istoty praw człowieka jako fundamentu
życia w pokoju:

"Pokój sprowadza się w ostateczności do poszanowania nienaruszal-
nych praw człowieka. Dziełem sprawiedliwości jest pokój /opus justi-
tiae pax/ - wojna zaś rodzi się z ich pogwałcenia i łączy się zawsze
z większym jeszcze pogwałceniem tych praw. A jeśli prawa człowieka są
gwałcone w warunkach pokojowych, to staje się to szczególnie dotkli-
wym i z punktu widzenia postępu niezrozumiałym przejawem walki z czło-
wiekiem, którego nie sposób pogodzić z żadnym programem określającym
siebie jako "humanistyczny". A jakiż program społeczny, ekonomiczny,
polityczny, cywilizacyjny, mogłyby zrezygnować z takiego określenia?
Żywimy głębokie przekonanie, że nie ma takiego programu w dzisiejszym
świecie, w którym nawet na gruncie przeciwnych sobie światopoglą-
dów nie wysuwa się zawsze człowieka na pierwszy plan.

Jeśli przeto pomimo takich założeń prawa człowieka bywają na różny
sposób gwałcone, jeżeli w praktyce jesteśmy świadkami obozów koncen-
tracyjnych, gwałtów, tortur, terroryzmu, a także różnorodnych dyskry-
minacji, to musi to być konsekwencją innych przesłanek, które podkopu-
ją, a często niejako unicestwiają skuteczność humanistycznych założeń
owych współczesnych programów i systemów". /Redemptor hominis XVII§17/

*

Jury nagrody pokojowej niemieckiego księgarstwa uznało za słuszne,
określając cechy mojej osoby, nazwać mnie żarliwym kat iikiem, żarli-
wym Polakiem i żarliwym humanistą. Zaszczytne te określenia zaczerp-
nięto, jak sądzę, z pewnego tekstu wysoce przeze mnie cenionego Hein-
richa Bülla, który zachciał poświęcić mi nieco przyjaznej uwagi w je-
dnym ze swoich felietonów radiowych w 1983 r. Przyznaję wprost, że u-
znaję się za człowieka żarliwego. A inne przypisane mi właściwości są
też prawdziwe. Urodziłem się bowiem w Polsce, a więc w Europie, a na-
stępnie ochrzczony zostałem w Kościele katolickim. Wymieniam tu nie-
przypadkowo jednym tchem Polskę, Europę i Kościół, bo przynależność
do określonego kręgu tradycji i kultury, a więc i do tego, co nazwane

tu zostało humanizmem, wiąże się nierozdzielnie zarówno z moją przynależnością narodową i tradycją Kościoła, do którego należę, jak też z całym dorobkiem myślowym i kulturowym Zachodu. Niezmiernie ważnym elementem tego dorobku wydaje mi się ukształtowanie w ciągu stuleci wspólnej Europejskiej hierarchii wartości i pojęć, które mogły zbliżyć lub łączyć ludzi ponad granicami językowymi, narodowymi i państwowymi. Mam na myśli to, co wspólne było w Europie setkom milionów ludzi: powszechna przywierałość pojęć takich, jak wolność i godność osoby ludzkiej, poszanowanie życia ludzkiego, negatywna postawa wobec wszelkich form gwałtu i przemocy, solidarność z prześladowanymi, opiekuńczość wobec słabych i bezbronnych, szczególny stosunek troski wobec matki i dziecka. Dla młodych ludzi wychowanych w Polsce przed II wojną światową oczywiste było, że są to wartości powszechnie obowiązujące w Europie, a więc i u naszych sąsiadów. Wrzesień 1939 roku i następujące po nim lata były więc nie tylko okresem doświadczeń w cierpieniu i ofiarności w walce o wolność i niepodległość ojczyzny, lecz także próbą obrony tego porządku moralnego. Praktyka totalitaryzmu i wrogiej okupacji usiłowała bowiem obrócić ten porządek w gruzy.

Inteligencja polska, wychowana przez wiele pokoleń w związku z najlepszymi tradycjami kultury europejskiej, w poszanowaniu dla osiągnięć myśli Zachodu, także Niemiec, zadawała sobie wielokrotnie w latach II wojny światowej pytanie, jak mogło w ogóle dojść do tego, do czego doszło. Na jakiej glebie wyrosnąć mógł owoc tak głębokiej nienawiści i bezdusznego okrucieństwa, jak to, które reprezentowali na codzień, na okupowanym terenie Polski, przedstawiciele ówczesnego państwa niemieckiego, ówczesnego aparatu władzy, rządząca partia narodowo-socjalistyczna, jej entuzjaści, zwolennicy, czy też ludzie ślepo jej posłuszni. Oczekiwaliśmy na głos solidarności niemieckich Kościołów chrześcijańskich, na objawy otrzeźwienia, na przejawy ludzkiego protestu wobec skrajnych okrucieństw, których ofiarą padali "podludzie", za których uznano Słowian, i "robactwo", za które uznano Żydów. Dochodziły do nas wiadomości o odważnych protestach niektórych duchownych katolickich i ewangelickich, grupy wokół Rodzeństwa Scholl, a w końcowym okresie wojny także ruchu 20 lipca przeciw systemowi narodowo-socjalistycznemu. Nasłuchiwaaliśmy jednak daremnie jednego choćby jasnego zdania w obronie narodów podbitych i ciemionych, w tym narodu polskiego.

Zadawaliśmy sobie pytanie na temat przyszłości Niemiec, moralnej przyszłości społeczeństwa niemieckiego po tej wojnie, u której kresu musiała przyjść w naszym niezłomnym przekonaniu straszliwa klęska zła i zwycięstwo ideałów wolności i sprawiedliwości. Przyznaję, że patrzyliśmy wtedy z wielkim sceptycyzmem na możliwość przeobrażenia w realnie wyobraźnym czasie narodu, który powierzył władzę Hitlerowi, a który nawrócić by miał do chrześcijańskich wartości europejskich.

Naród niemiecki zapłacił rzeczywiście ogromną cenę za wywołaną przez Niemcy wojnę. Cenę strat ludzkich, terytorialnych, cenę podziału. Ale jednak budzący szacunek trud, praca i ofiarność milionów Niemców, a przede wszystkim głęboka reorientacja polityczna: związane się z wielkimi demokracjami Zachodu, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, które już w latach 1939-1941 oceniły właściwie niebezpieczeństwo hitleryzmu dla świata i dla samych Niemiec - przyczyniły się do stosunkowo bardzo szybkiej odbudowy życia społecznego, gospodarczego i politycznego między Łabą i Renem. Nie nadążały za tym często problemy moralnego przewyższania przeszłości i wyciągnięcia z niej wszystkich wniosków niezbędnych dla zdrowia psychicznego i prestiżu Niemców, i dla przywrócenia tak boleśnie pogwałconej hierarchii wspólnych wartości kultury europejskiej. Dr Richard von Weizsäcker, prezydent Republiki Federalnej Niemiec, występując w 40 rocznicę zakończenia II wojny światowej, 8 maja 1985 r., powiedział w duchu godnej najwyższego szacunku rzetelności moralnej:

"8 maja był dniem wyzwolenia. Uwolnił on nas wszystkich od nieludzkiego systemu narodowo-socjalistycznych rządów przemocy.

Nikt z powodu tego wyzwolenia nie zapomina cierpień, które dla wielu rozpoczęły się właśnie po 8 maja, ale przyczyn uciekczek, wygnania i niewoli nie możemy doszukiwać się w końcu wojny. Leżą one u jej początku, u źródła tej dyktatury, która do wojny doprowadziła. Nie wolno nam 8 maja 1945 oddzielać od 30 stycznia 1933 roku.

Nie mamy doprawdy powodu, ażeby brać udział w dzisiejszych uroczystych obchodach zwycięstwa, ale mamy wszelkie powody po temu, aby uznać 8 maja jako kres błędnej drogi niemieckiej historii zawierający ziarno nadziei na lepszą przyszłość!

Moje przeszło 20-letnie doświadczenie kontaktów z Niemcami jako Polaka z określoną wiedzą wyniesioną z lat wojny i okupacji - mimo wszystko, co pozostało niezmiennie w pamięci - umożliwiły mi uwierzenie na nowo w człowieka w tym kraju, w jego zdolność i gotowość do czynienia dobrze. Odgrywały tu i odgrywają ogromną rolę inicjatywy i wysiłki wielu intelektualistów, piękne postawy ludzkie i różne bezimiennie dzieła ludzi dobrej woli. Ale także działania instytucjonalne: Kościołów chrześcijańskich, organizacji i stowarzyszeń społecznych, kulturalnych i naukowych. A również, a może przede wszystkim, młodych Niemców o otwartych głowach i sercach, którzy widzą w swoich polskich rówieśnikach partnerów, a może i przyszłych przyjaciół.

Już w pierwszej połowie lat 60-tych odegrały poważną rolę inicjatywy podjęte przez powołaną w kręgu niemieckiego Kościoła ewangelickiego Akcion Sühnezeichen, przez niemiecką sekcję międzynarodowej organizacji Pax Christi, a później także przez ciche i ambitne dzieło Maximilian Kolbe Werk. W 1965 r. ogłoszony został ważny memoriał niemieckiego Kościoła ewangelickiego. W tym samym czasie zajmowano się problematyką stosunków niemiecko-polskich w środowisku intelektualistów katolickich, znanym jako Bensberger Kreis. W listopadzie 1965 r., pod koniec Soboru Watykańskiego II, polscy biskupi katolicki podjęli trudną decyzję o historycznej doniosłości, wyciągając ręce do zgody w swym liście, skierowanym do katolickich biskupów Niemiec. W grudniu 1965 r. biskupi niemieccy odpowiedzieli na to orędzie. Te i wiele innych kroków, w tym szczególnie kontakty niezależnych intelektualistów polskich z intelektualistami i różnymi organizacjami społecznymi i kulturalnymi w Republice Federalnej Niemiec, przyczyniły się do stworzenia klimatu społecznego, w którym możliwy stał się dla polityków dalszy krok, jakim był układ pomiędzy rządami RFN i PRL z 7 grudnia 1970 r. Był to niewątpliwie akt polityczny dużej wagi, który wpłynął w pewnym stopniu na wzrost zaufania, a w dużej mierze na poprawę losu setek tysięcy ludzi i ożywienie stosunków między Niemcami i Polakami, między Polakami a Niemcami. Ale jednak, gdy analizuję własne doświadczenia tzw. pracy na rzecz pokoju, obstawać muszę przy twierdzeniu, że najważniejsza jest nie to, co gotowi są oświadczyć i podpisać politycy, choć pomniejszać tego nie należy, ale jakie procesy zachodzą w odczuwaniu, w sumieniu i intelekcie ludzi różnych narodów, na ile przezwyciężony jest stereotyp w myśleniu o innych, egoizm, a nawet egotyzm. Na ile dojrzeła np. zrozumienie, że ziemia, na której żyjemy tutaj i teraz, po obu stronach Renu, Łaby, Odry, Wisły - jest i będzie w pokoleniach naszych wnuków i ich następców nadal miejscem zamieszkania i współegzystencji, lepszej lub gorszej, ludzi, którzy muszą nauczyć się współżyć ze sobą. I choć w stosunkach Niemców z Polakami i Polaków z Niemcami może to być, m.in. z powodu obecnego podziału Niemiec i podziału Europy, trudniejsze niż między innymi narodami Europy, to jednak jest to jedno z wielkich zadań, do których zobowiązane jest nasze pokolenie: nie tylko mimo doświadczeń II wojny światowej, ale właśnie z powodu tych doświadczeń, które dowiodły, że myślenie kategoriami ekstremistycznymi, kategoriami wyniosłości czy jednostronnej przewagi prowadzi donikąd. Ogromną większość dziś żyjących Niemców i Polaków urodziła się po II woj-

nie światowej. Nie zwalnia to atarszych od przekazywania następcom wiedzy o faktach. Ukrywanie czy zniekształcanie faktów historycznych nie prowadzi do niczego.

Tak zwane przewyciężenie przeszłości jest osiągalne przede wszystkim przez zbliżenie i wzajemne lepsze zrozumienie się jak największej liczby ludzi. Całkowite pojednanie narodów jest - jak z wielu doświadczeń historycznych wynika - procesem psychologicznie i społecznie dużo trudniejszym i bardziej przewlekłym niż ewentualne polityczne porozumienie państw. Deklaracje instytucji i układy polityków stanowić powinny raczej otwarcie szerszej drogi dla naturalnych i spontanicznych kontaktów ludzi, niż być traktowane jako rozwiązanie problemu samo w sobie.

Nie mam zamiaru unikania tu tzw. problemów drażliwych. W pełni rozumiem, że dla wielu Niemców należy do nich problem tzw. ziem nad Odrą i Nysą. Obecność dziś około 11 milionów Polaków na tych ziemiach uważać należy za bezpośredni skutek II wojny światowej, zainicjowanej przez Trzecią Rzeszę. Pozwolę sobie powołać się tu ponownie na, mającą dla wielu z nas - i to zarówno Niemców, jak i Polaków - przełomowe znaczenie psychologiczne i moralne, wypowiedź prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera w czasie "godziny pamięci" w niemieckim Bundestagu dnia 8 maja 1985 r.:

"Hitler dążył do panowania nad Europą, i to drogą wojny. Szukał więc do niej sposobności, aż znalazł w Polsce.

23 maja 1939 roku oświadczył przed niemiecką generalicją: »Dalsze sukcesy są nie do osiągnięcia bez rozlewu krwi... Gdańsk nie jest celem, o który chodzi. Dla nas istotne jest rozszerzenie przestrzeni życiowej na Wschodzie i zabezpieczenie wyżywienia. Odpada więc problem oszczędzania Polaki, pozostaje decyzja zaatakowania jej przy pierwszej nadarzającej się okazji... Trzeba dążyć do zadania nieprzyjacielowi od razu poważnego ciosu lub do jego całkowitego zniszczenia. Prawo czy bezprawie albo traktaty nie odgrywają tu żadnej roli.«

23 sierpnia zawarty został niemiecko-sowiecki pakt o nieagresji. Tajne klauzule regulowały przewidziany rozbiór Polski.

Pakt ten został zawarty w celu ułatwienia Hitlerowi wkroczenia do Polski. Cwczesne kierownictwo Związku Sowieckiego zdawało sobie w pełni z tego sprawę. Dla wszystkich ludzi politycznie myślących w owym czasie było oczywiste, że pakt niemiecko-sowiecki oznacza atak Hitlera na Polskę, a tym samym II wojnę światową. Nie zmniejsza to niemieckiej winy za jej wybuch. Związek Sowiecki godził się na wojnę innych narodów, aby przy tym akorzystać. Ale inicjatywa wojny wyszła od Niemiec, nie od Związku Sowieckiego. Hitler był tym, który użył przemocy. Wybuch II wojny światowej pozaotanie związany z imieniem Niemiec.

W czasie wojny reżim narodowo-socjalistyczny uciskał i poniżał wiele narodów. W końcu pozostał tylko jeden naród do uciskania, zniewolenia i zhańbienia: własny naród, niemiecki. Hitler wielokrotnie powtarzał: »Jeśli naród niemiecki nie jest w atanie tej wojny wygrać, niech raczej zginie«.

Inne narody padły najpierw ofiarą wojny idącej z Niemiec, zanim sami staliśmy się ofiarą naszej własnej wojny!

Uciekinierzy, wygnani, przeasiedleńcy - wszyscy oni należą do ofiar tej wojny, podobnie jak ci Polacy, którzy w konsekwencji II wojny światowej utracili swą bliższą ojczyznę we Lwowie, Wilnie czy gdzie indziej na Wschodzie. Tragicznie zawikłane okoliczności historyczne i polityczne doprowadziły do tego, że Polacy, może lepiej od wielu innych narodów w Europie, są w stanie zrozumieć cierpienia i trudności ludzi, którzy byli zmuszeni porzucić swą ojczyznę, rozumieją też problem podziału narodu, bo sami go przeżyli. Pozbawienie ludzi ich bliższej ojczyzny nigdy nie jest samo w sobie czynem dobrym, zawsze złym, nawet jeśli nie widać innego wyjścia w określonej sytuacji historycz-

nej i politycznej. Polacy przybywający ze wschodu Polski na Dolny Śląsk czy Pomorze Zachodnie w pierwszych miesiącach po wojnie zapewne bardziej odczuwali tragizm swego losu, niż radość zwycięstwa.

*

Gdyby mi kto - niespełna 19-letniemu wówczas - Polakowi z Warszawy, drzącemu z zimna, głodu i lęku w zimie 1940 roku na placu apelowym w Oświęcimiu, pozbawionemu twarzy i imienia - Schutzhaftling Pole Nr 4427, powiedział, że w wymiarze jednego mojego życia doczekam przeobrażenia większości Niemców w społeczeństwo rządzące się prawami humanitaryzmu i żyjące w praworządym europejskim państwie demokracji parlamentarnej, uznałbym to być może za optymistyczne marzenie utopisty. Możliwość zaś akceptacji Polaków przez Niemców, odejście od dość powszechnego już w XIX wieku i utrzymywanego potem, stereotypu Polaka - człowieka stojącego niżej niż Niemiec, niejako z natury, wydawała mi się mało prawdopodobna. I choć do dziś dyskutować by można, czy i w jakim zakresie przewyżczone zostały stereotypy w myśleniu Niemców o Polakach i Polaków o Niemcach, to jednak piękna uroczystość, w której dziś uczestniczymy w tym historycznym gmachu, zdaje się stanowić nie całkiem pozbawione znaczenia wydarzenie na drodze przeobrażeń budzących nadzieję i pozwalających na nieco optymizmu. Oto jeden z poniższych i odczłowieczonych, ale nie poniżonych i nie odczłowieczonych Polaków uznany został przez gremium reprezentujące niewątpliwie elitę dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego za godnego wyróżnienia nagrodą przyznawaną za działalność na rzecz pokoju.

W orzeczeniu jury, które podnosi wartość działań odrzucających stosowanie przemocy i nienawiści, widzę pośrednie uznanie dla drogi tych wszystkich moich rodaków, a jest ich wiele milionów, którzy z ogromną ofiarnością, cichym uporem a przy tym dużo większym poczuciem realizmu niż jest często Polakom przypisywane, podnoszą głos w obronie podstawowych wartości etycznych i społecznych, żądają poszanowania prawa człowieka do współrządzenia swym własnym państwem. Mam tu na myśli ten potężny ruch społeczny, który tylko w ciągu krótkiego okresu kilkunastu miesięcy uzyskał możność akceptowanego przez władze państwowe PRL działania, znany pod nazwą "Solidarność", jak też i tych, którzy do dziś, w imię tych samych zasad moralnych i ideowych walczą bez użycia siły, trafiają do więzień i podlegają innym ograniczeniom i trudnościom.

Powstanie Związków Zawodowych "Solidarność" i rozwój związanego z nimi ruchu społecznego były właściwie sui generis kontynuacją postawy przywiązania Polaków do wolności dokumentowanej już w historii wielokrotnie. Idee tego ruchu, jego działanie na rzecz ludzi pracy, w upartym dążeniu do rozstrzygnięcia spornych problemów na drodze uczciwego dialogu, wspiera też jednocześnie w swych wypowiedziach tak wielki autorytet naszych czasów, jak Papież Jan Paweł II.

W okresie ostatnich kilku lat bardzo wielu ludzi dobrej woli w Niemczech udzielało w duchu miłości bliźniego i solidarności znacznej pomocy społeczeństwu polskiemu. Pełne znaczenie psychologiczne tego faktu może okazać się w przyszłości donioślejsze niż jego niewątpliwie znaczenie materialne.

Współczesny niemiecki historyk Europy Wschodniej, profesor Jörg K. Hoensch, w swej wydanej przed trzema laty "Geschichte Polens", rozważając aktualną sytuację Polski i Polaków twierdzi, że:

"W Polsce rozwinęła się nowoczesna, dojrzała, zróżnicowana i pewna siebie formacja społeczna, którą łączy ze zmiennym biegiem historii narodu żywa świadomość tradycji, żarliwy patriotyzm i głębokie, emocjonalne przywiązanie do Kościoła katolickiego. Gwarancją konstruktywnego przezwyciężania nadal istniejących, poważnych problemów społecznych jest wiara w opanowanie wielorekich niebezpieczeństw przyszłości zagrażających suwerenności i etycznej substancji Polski, przekonanie

o dysponowaniu najczciwocześniejszymi cechami zachodnioeuropejsko-chrześcijańskiej kultury, niezłomna witalność i umiejętność regeneracji oraz zapal do kształcenia się i solidarność narodowa!

Być może, ocena ta jest nadmiernie optymistyczna. W każdym razie jednak Polacy liczą na zrozumienie i solidarność społeczeństwa niemieckiego, które stać się mogą ważnym czynnikiem w budowie mostów między naszymi narodami. Może i mnie będzie dane nadal w tym współuczestniczyć.

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI

/Polski oryginał tekstu ogłoszonego w dniu 5 września 1986 r. w Paulus-Kirche nad Menem z okazji otrzymania Pokojowej Nagrody Księgarstwa Niemieckiego/.

JAK WALCZĆ Z SILNYM PRZECIWNIKIEM

(o koncepcji współpracy B. Piaseckiego z Niemcami hitlerowskimi) — rozmowa z W. Sznarbachowskim

Włodzimierz Sznarbachowski, dziennikarz, radiowiec, działacz polityczny. Do wybuchu II wojny światowej działacz ONR, wiezień nr 9 Berezy Kartuskiej. W grudniu 1939 r. osiedla się w Rzymie. Pracuje w Delegaturze Rządu Rzeczypospolitej na Włochy. Pod okupacją niemiecką wstępuje do Włoskiej Partii Socjalistycznej, a po rozłamie w niej - do Socjaldemokratycznej. Jako pracownik II Korpusu Polskiego zakłada i redaguje kwartalnik społeczno-literacki "Irydion". Od roku 1946 członek PPS /obecnie wiceprzewodniczący Rady Naczelnej/. Od 1952 r. redaktor Rozgłośni Polskiej RWE. Mieszka w Monachium.

- Obóz Narodowo-Radykalny należał z pewnością do najbardziej prawicowych organizacji w Polsce. W świadomości wielu ludzi jego program, metody działania zostały uośsamione z faszyzmem. Potwierdza to wydana w 1985 r. praca S. Rudnickiego "ONR - geneza i działalność", ale wydanie tej książki oraz liczne artykuły głównie w prasie emigracyjnej i niezależnej świadczą również o ponownym wzroście zainteresowania myślą prawicową w Polsce. ONR wzbudza nadal emocje; antysemityzm, nacjonalizm, walka z liberalizmem, demokracją, wywołuje - zwłaszcza dzisiaj - niechęć, ale związki ONR z faszyzmem sięgały przecież o wiele dalej. Można tu chyba powiedzieć wręcz o koncepcji współpracy. Jak pan, jeden z przyjaciół Piaseckiego, czołowy ideolog tego ruchu, ocenia tę koncepcję dzisiaj?

- Nigdy ta możliwość nie wynikała ze wspólnoty ideologicznej. Wprawdzie podstawą teoretyczną myśli totalnej Piaseckiego było to, że w całej Europie powstały ruchy totalne - antydemokratyczne, jednakże współpraca Piaseckiego /mimo pewnych zbieżności, jak choćby antysemityzm/ wynikała jedynie z zimnych, czysto politycznych manipulacji makiiawelskich. W programie ONR sprawa była postawiona jasno: naród polski pod przewodnictwem ONR-u poprowadzi stworzoną przez siebie wspólnotę narodów słowiańskich przeciwko pangermanizmowi niemieckiemu i przeciwko komunizmowi rosyjskiemu. To było powiadziane w programie. Natomiast prawdziwe intencje Piaseckiego były takie, że wobec a-

gresywności Hitlera, Piasecki widział konieczność wojny z Niemcami, którą miała poprowadzić Polska, a dopiero po rozbiciu hitleryzmu miała być druga wojna przeciwko Rosji sowieckiej. Mówimy tutaj o tych aspektach polityki Piaseckiego, która nie była propagowana w prasie ONR-u, która zamykała się w ścisłym gronie ideaologów tego ruchu. Było to zgodne z koncepcją Bolesława dotyczącą organizacji politycznej, która powinna być totalna, kierowana centralnie, której program tworzony jest w gronie kilku osób na najwyższym szczeblu.

Możliwość współpracy z Niemcami należała do takich tajnych planów. Widząc konieczność walki z hitleryzmem Piasecki rozważał jednocześnie sojusz taktyczny.

- O tej koncepcji Piaseckiego dowiedział się pan w Berezie Kartuskiej?

- Piasecki w Berezie stworzył pewną koncepcję polityczną, którą później stosował całe życie - z silnym przeciwnikiem należy współpracować. Przy czym współpracę pojmował jako penetrację, włączanie się do silnego przeciwnika, opanowanie jego kluczowych pozycji. I zastosował to po śmierci marszałka Piłsudskiego. Kiedy powstał Obóz Zjednoczenia Narodowego, tzw. OZON, pod przewodnictwem pułkownika Koca, Piasecki stworzył wówczas Związek Młodej Polski, gdzie jego najbliższy współpracownik, Jerzy Rutkowski, został zastępcą Koca /20-paroletni chłopiec, który nie miał nic wspólnego z obozem legionowym/. Sanacja sądziła, że Piasecki porwie w jej imieniu młode pokolenie.

Po wyjściu z Berezy Piasecki zaczyna tworzyć nowy ONR. Jeszcze wtedy sprawa niemiecka nie jest wyraźnie zarysowana. Być może dlatego, że Piasecki wyżej stawiał totalizm polski od niemieckiego. Uważał, że jest to totalizm pełniejszy, doskonalszy, bowiem obejmujący całego człowieka. ONR głosił, że wtedy dopiero można panować nad człowiekiem, kiedy jednostka dobrowolnie się podda. Wierząc w Boga jednostka oddaje się państwu, które jest realizatorem boskich praw - rodzaj teokracji, gdzie nie kapłani, a państwo jest pośrednikiem woli Bożej. Ten katolicki totalizm wydawał się być o wiele pełniejszy, silniejszy niż faszyzm.

Trzeba powiedzieć, że koncepcja współpracy z Niemcami - która, jak sądzę, w swoim zasadniczym zrybie narodziła się w Berezie pod wpływem pisma J. Piłsudskiego *) - nigdy nie brała pod uwagę stworzenia w Polsce jakiegoś państwa wasalnego. Proszę zważyć, że kwestia niemiecka w Polskiej historii jest kwestią kluczową - trudno byłoby opracować program polityczny bez ustosunkowania się do niej. Po śmierci Piłsudskiego sytuacja była bardzo trudna, chodziło o to, żeby zachować równowagę dyplomatyczną pomiędzy Rosją, Niemcami a przy tym wszystkim nie zrazić Francji. Sytuacja była trudna również dlatego, że większe było pole manewru. Dzisiaj sytuacja MSZ PRL jest o tyle wygodniejsza, że oni nie mają żadnego pola manewru, nie trzeba więc żądać od nich zniżek dyplomatycznych.

W miarę zbliżania się do obozu rządzącego /choćby przez Związek Młodej Polski/, Piasecki zaczyna zdawać sobie sprawę ze słabości militarnej kraju. I trzeba mu przyznać, że jako jeden z nielicznych zaczyna bić na alarm, nawoływać do militaryzacji kraju. Europa staje w obliczu wojny, następują dramatyczne rozmowy Becka z Hitlerem. Widać wyraźnie, że w tym momencie Niemcy są dla Polski najgroźniejszym wrogiem. Właśnie wtedy /chyba w maju 1939/ koncepcja współpracy zaczyna się konkretyzować. W lokalu ONR-u przy ulicy Marszałka Focha 6 w Warszawie Cimoszyński, który zajmował się u nas polityką zagraniczną, przedstawia koncepcję udowadniająca, iż Sowiety są zagrożeniem nie tylko dla Polski, ale i dla Niemiec, w związku z tym Niemcy powinni się połączyć z Polską i wspólnie przeciwstawić się bolszewizmowi. U-powszechnienie takiego stanowiska musiałyby wywołać w Polsce ostre

sprzeciw, Piasecki proponował więc, aby oddać dyktaturę władzy w Polsce w ręce ONR-^u, w zamian za co ONR weźmie na siebie ciężar niechęci społecznej.

- Mówi pan o wielkich koncepcjach politycznych, dyplomatycznych, ale trzeba pamiętać, że ONR był w gruncie rzeczy niewielką liczbnie organizacją. Sam pan kiedyś powiedział, że organizacja nie przekraczała 1000 osób. Za Piaseckim nie stała więc tzw. większość, a jedynie koncepcje polityczne. Chcieliście decydować o losach Polski w czym imieniu?

- No cóż, nawet koncepcje polityczne muszą być groźne, skoro dla nas właśnie stworzono pierwszy obóz koncentracyjny w Polsce - Berezę Kartuską /na 11 miesięcy przed śmiercią Marszałka/.

- Piasecki w swoich pismach domagał się powstania obozów koncentracyjnych, czyżby w paradoksalny sposób doczekał się realizacji swoich postulatów?

- Rzeczywiście. Jeszcze wracając do tych tysiąca osób. Trzeba pamiętać, że ci ludzie mieli za sobą wiele organizacji, pism, nie mówiąc już o sympatykach. Te tysiąc osób było jakby kadrą posiadającą własne organizmy. Sprzyjali nam bardzo różni ludzie, np. będąc antysemitami mieliśmy sympatyków wśród Żydów. Żabotyński i syjoniści, którzy chcieli wyjścia Żydów z Polski, bardzo blisko z nami współpracowali.

- Jak pan powiedział, Europa staje w obliczu wojny. Organizacja również musi reagować na tę pulsującą, coraz bardziej napiętą sytuację w kraju.

- W przeddzień wojny, w sierpniu 39 ONR rozpadł się, Piasecki przechodzi na bardziej totalną organizację, zaczynają się sądy, wyroki. Np. drukarz, który nie wywiązał się ze swych obowiązków, został skazany na postrzelenie w rękę i wyrok wykonano. Doszło także do wielkiej afery - została zastrzelona kobieta z wielkiej rodziny przemysłowców, która finansowała naszą organizację. Szczegółów tej sprawy nie znam. Przebywałem w tym czasie w sanatorium w Zakopanem. W każdym bądź razie z polecenia Piaseckiego ta pani została zastrzelona w swoim mieszkaniu. Wyrok wykonał Czercha, który z kolei był agentem niemieckim w naszej organizacji /razem z Brochwiczem/. Natychmiast po zamordowaniu owej kobiety tenże Czercha został zastrzelony na schodach przez Romanowskiego /w czasie okupacji Romanowski będzie poszukiwany przez gestapo za zamordowanie agenta na służbie, a Piasecki będzie aresztowany za wydanie rozkazu zabicia konfidenta/. Pod wpływem tych wydarzeń ONR właściwie się rozleciał. Piasecki zaczął wszystkich podejrzewać, "szpiegować. Nasze wpływy zaczęły się załamywać... "

- Jak pan sądzi, skąd wziął się kierunek tej ewolucji, czy był on naturalny, czy wynikał z jakichś innych powodów?

- Nie potrafię precyzyjnie na to odpowiedzieć. W tym czasie byłem dalej od kierownictwa, chorowałem - byłem w Zakopanem, zastawałem już gotowe zmiany, chociaż z drugiej strony musiałem cieszyć się zaufaniem Piaseckiego, skoro zostałem kierownikiem ideologicznym przy Przetakiewiczu, który dowodził jakby oddziałami bojowymi.

- Wybucha wojna...

- Tak. Piasecki i Przetakiewicz tworzą nową koncepcję. Piasecki głębszą się do Wermachtu z propozycją utworzenia wojska polskiego, które byłoby wykorzystane do wojny ze Stalinem. Powstaje NOR /Narodowa Organizacja Radykalna/, dostają dawny lokal ZMP naprzeciw Sejmu. Oczywiście, niewielu ludzi chciało w niej brać udział. Zostałem tam skierowany przez Piaseckiego, co będzie jednym z powodów mojego wy-

jazdu z Polski. Po prostu nie chciałem w niej brać udziału. Organizacja w końcu powstała i wydała swoją pierwszą ulotkę, którą zresztą przywiozłem do Rzymu. Wie pan, to dziwne, ale jej treść pamiętam do dzisiaj:

"Narodzie polski, który zostałeś zdradzony przez swoich przywódców, którzy zamiast znaleźć porozumienie z Hitlerem nieprzygotowani poszli na wojnę i ją przegrali. Masz możność odrodzenia się. Musimy przyjąć do wiadomości klęskę" i td w tym duchu.

Tej ulotki Niemcy nie pozwolili nawet rozpowszechniać. Na zebraniach NOR-u bywało najwyżej kilkanaście osób. Druga część organizacji Piaseckiego była podziemna i została stworzona do walki z Niemcami. W końcu Piasecki został aresztowany, osadzony na Rakowickiej, groziła mu kara śmierci. Wiedziałem, że Piasecki ma rozliczne kontakty, m.in. z Włochami /jak się niedawno dowiedziałem od prof. Strojnowskiego, który badał archiwa MSZ w Rzymie, Piasecki otrzymywał pieniądze od rządu włoskiego/ i chciałem je jakoś wykorzystać. W Rzymie była również pani Gawrońska, córka senatora liberalnego, która miała kontakty z Mussolinim. Pani Gawrońska bardzo ściśle współpracowała z polskim podziemiem, m.in. kierowała w styczniu 1940 operacją przerzucenia setek milionów złotych. Nota bene pieniądze przyjechały w chwili, kiedy Niemcy kończyli przestemplowywać wszystkie polskie pieniądze. Do niej to m.in. zwróciłem się z prośbą o pomoc. Były to również dla mnie bardzo trudne chwile - będąc poszukiwany przez gestapo miałem bardzo ograniczone możliwości działania. W końcu sam skorzystałem z pomocy pani Gawrońskiej i razem z pięcioma innymi osobami /m.in. żoną gen. Sikorskiego/ opuściłem kraj.

- Były to już chyba ostatnie akordy koncepcji współpracy z Niemcami?

- Tak. Na tym właśnie kończy się owa koncepcja współpracy Piaseckiego z Niemcami. Co tu dużo mówić, skończyła się fiaskiem. Akcja pani Gawrońskiej przyniosła spodziewany skutek. Na Wielkanoc 1940 roku Piasecki został wypuszczony i przystąpił do organizowania podziemia zbrojnego o wyraźnie antykomunistycznym nastawieniu. Do współpracy z Niemcami nigdy już nie powrócił, ale koncepcja penetrowania silniejszego przeciwnika dała znać o sobie po wojnie. Sprawa PAX-u, powojenne losy Piaseckiego są jak sądzę efektem owej koncepcji, ale ten rozdział polskiej historii wymagałby osobnego spotkania.

- Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał ANDRZEJ WIERNIKOWSKI

Z przyczyn technicznych wywiad nie został autoryzowany

*) Piłsudski również godził się na współpracę z Niemcami po to, żeby zwrócić się przeciw Rosji

GABINET

Chciałbym już mieć spokój
Niekoniecznie święty
Dzień jak okno
Z widokiem na morze
Noc bez świtu
Z pięścią na drzwiach

A mam tylko ciasny korytarz
Ze sztuczną szczęką drzwi
I metafizyczny gabinet
Gdzie składam złamane wiersze

1983

WYJŚCIE Z WIĘZIENIA

Nikt mnie nie witał
Tylko oddział aniołów poprawiał pałki
Było ciemno jacyś ludzie spieszyli się
I poczułam na szyi pętlę autobusową
Kierowcy pili wódkę
Narzekali - już nic nie jest nasze -
Pomyślałem ten świat jednak zmienił się
Ale chyba byłem w błędzie
Na rogu ulicy sprzedawca jarzyn
Jak niegdyś obnażał napletek marchewki
Szedłem ostrożnie unikając miejsc
Gdzie stykają się ze sobą płyty chodnika
Sąsiad nie poznał mnie .
Przecież nigdy nie nosiłem siwej brody
W pobliżu drzwi usłyszałem szmer
To moja żona i mały syn
Toczyli na powitanie kłębki wełny
po śliskiej jak lód podłodze

1983

AWARIA

W pobliżu mojego okna
Rozpruto trawnik

Stałem w oknie
Z żoną i synem

W ziemi widać było
Obnażoną żyłę

Pochylali się tam robotnicy

I tak już zostali
Zgięci wpół
Nad dołem ojczyzny

1984

LISTEK

Mówi -
- popatrz na mnie
nie przesadza się starych drzew -

A przecież nie ma więcej
Niż dwadzieścia lat
Kiedy uśmiecha się do mnie
Spada listek

Podnoszę go i przez dziurkę
Wyjedzoną przez smutną gąsienicę
Widzę brzydkie domy Brooklinu
I zmęczone ulice
Które łączą się z warszawską Starówką
Kanałem przegranego powstania
I drzewem ściętym
Poprzez zbłąkany pocisk rozstania

wrzesień 1985 New York

NOC

Urodzony w ruinach
Ku ruinom idę

Krzyż z kwiatów
Rozrzucił ramiona
I znieruchomiał

Pochyliły się
W starych kobietach
Płomyki świec

Nad Warszawą noc
Rodzi noc

Wyciągam ręce jak ślepiec
I odnajduję
W uśmiechniętych oczach
Mojego dziecka
W zielonej tęczęwce
Błyszczący koralik

1984

TOMASZ JASTRUN

CZY POTRZEBNA NAM JEST DEMOKRACJA ?

Co do mnie, kiady czuję na ramieniu ciężką rękę władzy, mało mnie wówczas obchodzi, kto mnia gnębi, i wcale nie bardziej kwapię się włożyć głowę w jarzmo, kiedy podaje mi je milion rąk.

Alexis de Tocqueville

Gdyby mnie zapytano, o czym mówi się najczęściej w Polsce, odpowiedziałbym bez wahania: o demokracji. Mówi o niej zarówno opozycja, którą nazywa się zazwyczaj demokratyczną, jak i władza, której, słusznie czy nie, nadaje się inne imiona. Wszyscy więc pragną uchodzić za demokratów; sądzą być może, iż tym sposobem uchodzić będą również za obrońców wolności. Odnoszę wrażenie, że demokracja jest w Polsce dogmatem, któremu nikt nie śmie się sprzeciwić. Nie słyszałem, by w sposób poważny, bez futurologii politycznej, dyskutowano w kraju czy na emigracji na temat przydatności demokracji dla społeczeństwa polskiego. W kręgach opozycji przyjmuje się raczej jednomyślnie, że zasada ta niewymaga żadnych komentarzy.

W najnowszej historii naszego kraju hasło vox populi vox Dei dało o sobie znać z niewiarygodną wprost siłą, uzyskując sankcję moralną i - można by niemal rzec - religijną. Nietrudno zauważyć, że pomimo uzasadnionych obaw, jakie budzić może to zawołanie właśnie w Polsce, opinie większości przedostają się przez usta demokratycznej opozycji krajowej i emigracyjnej. Śledząc je uważnie dojdziemy do wniosku, że w tej mierze, w jakiej przywołują życzliwego im zawsze ducha Rousseau, bronią się również swym optymizmem przed podejrzliwością Tocqueville'a. Nieomylna i niepodzielna volenté générale społeczeństwa polskiego wypiera skutecznie i wypiera nadal emocjonalny chłód i niezbędne w życiu ludzkim poczucie dystansu.

W sytuacji takiej jak nasza, gdzie wszelka zmasowana akcja polityczna skierowana przeciwko władzy musi ponieść klęskę, głoszenie demokratycznych maksym, zwłaszcza suwerenności ludu, nie może znaleźć realnego ujęcia w instytucjach i tym samym skazane jest na ucieleśnienie się w obyczajach społecznych. Wydaje się jednak, że uzewnętrznianie się egalitarnych dążeń społeczeństwa w obyczajach, bez możliwości ich ograniczenia w prawnym systemie instytucji, nie tylko nie wspiera pozapolitycznych wolności indywidualnych, lecz wydatnie uszczupla te, które już istnieją. Obawy te uzasadniają, jak sądzę, powoływanie się na autoritet Tocqueville'a, tym bardziej, że jego pojęcie demokracji jako stanu społeczeństwa, nie zaś formy rządu, oddaje nieoceniona usługi w analizie polskich realiów.

Daleki jestem od tego, by atakować pryncypia demokratyczne w tej postaci, w jakiej funkcjonują one na Zachodzie. Uważam jednak, że należy je zakwestionować tam, gdzie ich realizacja może przybrać kształty karykaturalne, wynaturzone. Błędem byłoby zresztą sądzić, że zasadniczą przyczyną tych wypaczeń jest brak niezależnych instytucji politycznych. Nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć, że nawet ich cudowne zaprowadzenie w Polsce wymagałoby poskromienia egalitarnych apetytów społecznych, bo przecież nie byłoby w stanie ich zaspokoić.

Mimo to, myślenie w kategoriach czysto politycznych, na co zwrócił niedawno uwagę A. Walicki, jest u nas na porządku dziennym. Świadczą o tym zarówno programy opozycji, jak i opinie ludzi emocjonalnie z nią związanych. Fakt ten może budzić szczególne zdziwienie w kraju, w którym tak niewiele miejsca pozostawiono prywatnym działaniom jednostek w sferze gospodarczej, nie mówiąc już o stowarzyszeniach mających charakter zdecydowanie pozapolityczny. Można zresztą żywić wątpliwości co do tego, czy myślenie w kategoriach politycznych pokrywa się z myśleniem politycznym. To ostatnie winno się przecież liczyć z realnymi okolicznościami czasu i miejsca, tzn. z cywilizacyjnymi możliwościami społeczeństwa, z jego stanem ekonomicznym, prawnym i obyczajowym. W przeciwnym razie będzie myśleniem w kategoriach politycznych, takim, którego najbardziej jaskrawym przejawem była Rewolucja Francuska, obwieszająca przedwcześnie święto republiki.

Tymczasem wśród publicystów związanych z opozycją demokratyczną spotyka się często argumentacja daleko odbiegające od wymogów, jakie narzuca konkretna sytuacja w kraju. Wymownym tego przykładem są głosy w dyskusji na temat skutecznych środków oddziaływania na władzę przy założeniu jej radykalnej kontestacji. Zdaniem jednego z autorów*) siła moralnego "gestu dla gestu", zdeponowana w rękach "ryzykantów" i "moralnych szaleńców" więcej znaczy niż pragmatyczne kryteria polityki. W takim razie nie sposób dociec, w jakim celu czyniono by te wszystkie gesty. Być może chodzi tu o jakieś inne kryterium skuteczności działania w wymiarze politycznym, którego rangę dostrzega się dopiero dzięki pozaracjonalnemu olśnieniu lub dalekosiężnej wizji historycznej... Czy jednak ta etyka przekonań - mówiąc językiem M. Webara - może posiadać walor budzenia odpowiedzialności publicznej, jak zdaje się sądzić autor? Sądzę, że nie. Wszak człowieka angażującego się w działalność publiczną nikt nie będzie rozliczał z jego przekonań, lecz wyłącznie ze skutków jego działań. Społeczeństwo może żyć ideami ogólnymi tylko w stanach wyjątkowego uniesienia; zalecanie mu, by żyło nimi na co dzień, pielęgnować rzekomą wyższość moralną, nasuwa przypuszczenie, że nie chodzi tu o rzeczywistych ludzi połączonych określonymi interesami, lecz - jak mawiał Słowacki - o "gromadę duchów".

Nie będę z pewnością odkrywcy, gdy powiem, iż pogląd, zgodnie z którym moralność może być narzędziem politycznej presji, kompromituje nie tylko tego rodzaju reguły działania politycznego, ale także samą tę moralność. Temu, kto rzeczywście odniósł sukces moralny, wystarczy sama jego świadomość. Jeśli zaś chce wykorzystać go w celu okazania niższości przeciwnika, naraża się na znacznie cięższe zarzuty niż te, które sformułował pod jego adresem. Zresztą polityka tego typu działań musi budzić poważne wątpliwości. Polityka pięknego gestu jest bezsilna wobec zjawiska ekonomicznej depresji; nie może też nadwyrężyć siły władzy. Może ją natomiast wzmocnić. Podobno Dakowie ginęli z uśmiechem na ustach pod ciosami Rzymian; nikt jednak nie śmiałby twierdzić, że dzięki temu byli skuteczniejsi od legionów Trajana.

Powiedzieć już, że moralność w sferze publicznej polega na przyjęciu indywidualnej odpowiedzialności na skutki swoich działań. Dlatego przypisywanie moralnego posłannictwa olbrzymiej masie ludzi, narodowi, rozmija się z zdrowym rozsądkiem. Trudno sobie wyobrazić, by mogła ona ponosić odpowiedzialność za skutki swoich poczynań; z natury rzeczy nie jest do tego zdolna, nie może stawiać sobie racjonalnych celów ani też przewidzieć rezultatów swojego rozkołysania. Mimo to wszakże obarcza się ją niekiedy w Polsce takim posłannictwem w tej wierze, iż zdemaskuje ona ukryte niegodziwości władzy i wymusi na niej ustępstwa. Nie będę tu przypominał o wiekowych tradycjach, którymi legitymuje się w naszym kraju przykonanie, że wola narodu decyduje bezpośrednio o jego przeznaczeniu. Chcę tylko podkreślić, że w warunkach współczesnych da-

*) R. Cękałski, "Ani lewica, ani prawica", "Aneks" 40/1985

żenie do kompromitacji władzy przez okazywania jej moralnej wyższości prowadzi do karykaturalnych zachowań. Spotkałem co najmniej kilku ludzi, którzy w oczekiwaniu na kolejną kompromitację władzy kreśliли z upodobaniem wizję przyszłego, jeszcze głębszego kryzysu ekonomicznego i społecznego w Polsce. Byli widocznie przeświadczeni, że ominie ich to, co spotka innych.

Postawy takie wiążą się zazwyczaj z silnie ugruntowanym w obywatelach polskiego społeczeństwa moralizmem, który w istniejących instytucjach każe doszukiwać się knołów i manipulacji ludzi sprawujących władzę. Nie można jednak zaprzeczyć, że nawet wówczas, gdyby to było prawdą, moralistyczne napiętnowanie tych zjawisk jest postępowaniem niecelowym i niemerytorycznym. Myślę, że w zastosowaniu do znanych nam okoliczności, trafna jest uwaga F.A.Hayeka: "Dyskusja o tym, kto powinien sprawować władzę, ponad miarę wyparła na drugi plan znacznie bardziej podstawowe zagadnienie: jak daleko winna sięgać ta władza. W każdym razie pozostanie ona niezwykle niebezpieczną władzą dopóty, dopóki sądzić będziemy, że może szkodzić tylko wtedy, gdy sprawowana jest przez złych ludzi"*)

Dobry władca służy interesom narodu, co nie oznacza, że winien ulegać wyobrażeniom, jakie ma o tym interesie większość. Tam, gdzie nie funkcjonuje system rynkowy, uległość taka może powołać do życia tę formę demokracji, która sprzeczną jest z dobrem ogółu: demokrację kartkową reglamentacji, podatków progresywnych, spoliacji żerującej na nielicznych kapitałach prywatnych etc. Nie sądzę, by większość mogła sprzyjać w takim wypadku poszerzeniu swobód indywidualnych, a tym samym własnemu interesowi ekonomicznemu. Obawiam się, że będzie postępowała zgoła odmiennie. Nie jest tajemnicą to, że udziałem większości społeczeństwa polskiego jest głęboka ignorancja ekonomiczna i organiczna niezdolność do przeprowadzania racjonalnych kalkulacji. Warto tu zwrócić uwagę na fakt będący modelowym przykładem tego stanu świadomości. Mam tu na myśli żądania podwyżki płac i rosnące niezadowolenie z ustawicznej zwykłej cen. Jest rzeczą oczywistą, że w kraju pozbawionym odpowiedniej ilości dóbr spełnienie tych żądań musi pogłębiać inflację. Mimo to, przeciętny konsument polski wyobraża sobie, że drożyzna, która daje mu się we znaki, ma swoją przyczynę w tym, iż nie dysponuje on właściwą ilością gotówki, nie zaś w ich rzadkości. I chociaż dostrzega drastyczne braki dóbr konsumpcyjnych, nie jest skłonny sądzić, że ich obfitość zależy od ograniczenia ingerencji władz w życie gospodarcze. Przeciwnie, domaga się od nich zazwyczaj coraz dalej idącej zapobiegliwości i opieki. Wynika to przypuszczalnie stąd, że w poszerzeniu zakresu swobód ekonomicznych innych ludzi nie widzi on bezpośredniej korzyści dla siebie. Słowem, odczuwa dotkliwie uciążliwość drożyzny, biorąc ją za przyczynę, nie zaś za skutek. Temu złudzeniu zaprzecza myśl francuskiego ekonomisty, F.Bastiat, który przed stu pięćdziesięciu laty pisał: "Istnieje drożyzna złej natury, która pochodzi ze zmniejszania się podaży /.../; istnieje też drożyzna dobrej natury, która wpływa ze wzrostu popytu; albowiem zakłada ona rozwój bogactwa w wymiarze powszechnym"**)

Żyjąc w systemie gospodarki centralnie planowanej konsument polski nie jest w stanie oddziaływać na podaż dóbr, nawet wówczas, gdyby dysponował wielką ilością gotówki. Zgłaszane przezeń zapotrzebowanie nie wpłynie na zwiększenie ilości dóbr i ich ceny. Doświadcza on jedynie drożyzny pochodzącej z ich rzadkości na rynku. Zazwyczaj jest człowiekiem tak niesamodzielnym i bezsilnym, że trudno byłoby mu pogodzić się z myślą o indywidualnej inicjatywie, konkurencji i ryzyku. Być może dlatego właśnie chętnie przychyliła się do mniemania, że zarówno nękający go niedostatek, jak i ewentualną poprawę losu, może zawdzięczać tyl-

*) F.A.Hayek, "Recht, Gesetzgebung und Freiheit", München 1980, Band 1, s. 105

**) F.Bastiat, "Sophismes économiques", Bruxelles 1851, p.143.

zo działaniom władzy. I chociaż jej nie lubi, a niekiedy nienawidzi, to przecież nie może się bez niej obejść w najdrobniejszych szczegółach życia. Wszak to ona właśnie gwarantuje robotnikowi bezpieczeństwo zatrudnienia, a urzędnikom państwowym oferuje różnorodność synekur. Czy należy zatem oczekiwać, że ludzie ci /stanowiący w Polsce większość/ zechcą wyrzec się tych udogodnień, jakie jednym daje państwowa organizacja życia gospodarczego, drugim zaś potężny rozrost administracji? Na pierwszy rzut oka wydaje się wprowadzić, że biurokrata i robotnik to dwa wrogie wzajemnie gatunki człowieka. Jeden pogardza drugim. Robotnik uważa biurokratę za darmozjadę; chętnie przystałby na to, by wypróbować go w "uczciwej" pracy fizycznej. Ten z kolei wypomina tantemu niewydajność jego wysiłków, upatrując wszelkie zło w wadliwej organizacji pracy. Jednakże w warunkach gospodarki kierowanej przez państwo ich rozbieżnym na pozór pragnieniom czyni zadość ideał pełnego zatrudnienia. Obaż zawdzięczają swój spokój ustawom, a nie realnym możliwościom gospodarki. Wątpić należy, czy w takich okolicznościach byłiby oni zrezygnowali z tych nieuzasadnionych racjonalnie przywilejów na rzecz wyższego poziomu konsumpcji w wymiarze społecznym; jego podniesienie wymaga przecież ujawnienia bezrobocia, uruchomienia mechanizmów rynkowych i wprowadzenia jednoznacznego kryterium efektywności ekonomicznej. Wydaje się oczywiste, że raczej zadowolą się małym, ale pewnym. Świat nie widział jeszcze biurokracji, która byłaby zainteresowana w ograniczeniu wspierającej ją władzy; nie widział też robotników, którzy masowo występowałyby przeciwko socjalizmowi i państwowej dystrybucji dóbr, optując za ich prywatną wytwórczością. "Naszych współczesnych - pisał Tocqueville - zżerają dwie sprzeczne namiętności: potrzeba, by ktoś prowadził ich za rękę i pragnienie zachowania wolności. Nie mogą pozbyć się żadnego z tych przeciwnych instynktów, starają się zaspokoić, oba naraz. Marzą więc o jedynej, opiekuńczej i wszechstronnej władzy, którą wybierałoby jednak wszyscy obywatele. Kojarzą centralizację z suwerennością ludu" *).

Jakkolwiek mogłoby się wydawać, że słowa te wyrażają jedynie ogólną prawidłowość, to przecież nie trzeba przekonywać, że stosują się również do naszej konkretnej sytuacji społecznej. Łatwo zauważyć, że w kraju, gdzie subiektywnie pojęte interesy grup społecznych sprzyjają rozległej i wszędobylskiej władzy, ideał demokratyczny będzie raczej służył za uzasadnienie dla równości niż dla indywidualnych swobód. Przekonanie, że poprzez zwiększenie udziału społeczeństwa w decyzjach politycznych można by powiększyć w Polsce jego wolności, jest złudzeniem wystawionym na zarzut formalizmu. Skoro nawyki i obyczaje większości nie wychodzą naprzeciw jego własnemu, obiektywnemu interesowi ekonomicznemu, to tym bardziej należy przypuszczać, że nie będą go faworyzować z chwilą, gdy uzyskają formalne gwarancje wpływu na decyzje polityczne. Moim zdaniem działania w tym kierunku są nie tylko niedorzeczne, ale i szkodliwe. Prowadzić mogą bowiem jedynie do celu najmniej dla nas pożądanego: ku coraz większej egalitaryzacji życia społecznego.

Atoli radykalni zwolennicy wprowadzenia demokracji w Polsce, pomijając już nierealność i mglistość ich projektów, zgodni są na ogół w uznawaniu praw ekonomicznych za nielotne, a w każdym razie drugorzędne. Nie dysponują w tej materii odpowiednim arsenałem argumentów i zelsilgują się po temacie, sprawiacząc wrażenie, jak gdyby kwestie tego rodzaju nie dorównywały godności ich demokratycznego ideału. Na próżno jednak zasięgalibyśmy u nich informacji o tym, jakie warunki powinny być spełnione, by ziściły się wyznawane przez nich zasady. Poza kilka określeń wspomnianego ideału, jak np. "pluralistyczny", "tolerancyjny" etc., nie uzyskamy żadnych wskazówek konkretnych. Chętniej natomiast poucza nas o tym, że system, w którym przyszło nam żyć, jest totalitarny, ideologiczny i terrorystyczny.

*) A. de Tocqueville, "O demokracji w Ameryce", s.470.

Nie piszę tego po to, aby komuś dokuczyć, a tym bardziej, by zakwestionować czyjeś szlachetne pobudki. Chodzi mi tylko o wskazanie, że ogólnikowość tak sformułowanego ideału demokratycznego pozbawia go ostrza krytycznego i odwodzi od zagadnień codziennego życia, które skupiają się wokół możliwości pokonania kryzysu cywilizacyjnego w kraju. Primum vivere deinde philosophari.

Wszystkie te wątpliwości mogą skłaniać do wniosku, że ideał demokratyczny w Polsce, niezależnie od tego, kto go głosi, spełnia jedynie funkcję bliżej nieokreślonego ideału kulturowego i tym samym nie odpowiada rzeczywistym zapotrzebowaniom społecznym. Warto ponadto podkreślić, że cierpi on także na dolegliwości związane z myśleniem ahistorycznym. Często spotyka się opinię, że jedyną przeszkodą w rozwoju wolnościowych aspiracji społeczeństwa polskiego jest komunistyczna władza. Pogląd ten posiłkuje się wyobrażeniami o politycznej dojrzałości Polaków do uchwycenia losu we własne ręce. Trudno zaiste powiedzieć, skąd bierze się ta pewność. Można w każdym razie przypuszczać, że odczuwają ją niemal wszyscy ahistorycznie myślący reformatorzy, począwszy od czasów Rewolucji Francuskiej, kiedy to mniemano, iż tworząca prawo volon-té générale okaże się zdolna do zabezpieczenia wolności rzeczywistych. Tak czy inaczej, obserwacja gospodarczego zacofania i związanych z tym typów mentalności społecznej w naszym kraju nie potwierdza tych optymistycznych sądów. Wszystko wskazuje bowiem na to, że najmniejszą popularnością nie cieszy się w Polsce bynajmniej władza, lecz przymus praw ekonomicznych. Powszechna niemal niechęć do uznania ich obiektywności uzewnętrznia się najczęściej w przeświadczeniu, iż należy je poddać ocenie z uwagi na funkcjonujący w opinii potocznej stereotyp sprawiedliwości społecznej. Ideologia odnosi więc triumf nad rzeczywistymi potrzebami społeczeństwa, i to nie tylko z woli władzy, lecz znacznie częściej i z większą natarczywością z woli samych konsumentów.

A oto kilka przykładów.

Niedawno emitowano w telewizji polskiej program publicystyczny pod prowokacyjnym szyldem "sprawiedliwości społecznej". Plebiscyt ten, w którym najliczniejsze były wypowiedzi robotników, miał na celu ujawnienie zapatrywań statystycznego Polaka na kwestie związane z równością społeczną. Dyskutowano więc głównie o "sprawiedliwych" zasadach podziału dochodów, a także o prywatnych przedsiębiorcach, jakkolwiek w tym demokratycznym forum zabrakło ich przedstawicieli. Z głosów ankietowanych respondentów przebijał niezmiennie ton tłumionej urazy w stosunku do tych, którzy wyłamali się z żelaznych uścisków przeciwności. Mogłoby się wydawać, że sama sprawiedliwość przemawia ich ustami, bezinteresowna i nietknięta egoizmem zysku, gdyż niepomna na mechanizmy życia ekonomicznego. Jednakże prawdziwym obliczem tej sprawiedliwości był de facto wąsko pojęty interes. Kiedy zapytano jednego z dyskutantów, robotnika, o to, czy należałoby ustalić prawnie górną granicę wysokości dochodów, odrzucił tę propozycję w odniesieniu do sektora państwowego, w którym pracował. Przykładał natomiast skwapliwie jej realizacji w sektorze prywatnym. Tak jak niedgdyś Marksowi, wydawało mu się zapewne, że jego własny interes jest sprzeczny z interesem kapitalisty.*)

Innych przykładów tego rodzaju dostarczyć może zamieszczony w "Polityce" ***) wywiad z robotnikami na temat polskich milionerów. Podobnie jak w przypadku telewizyjnego plebiscytu doszło w nim do głosu to, co - jak się zdaje - trapi najbardziej robotnika w Polsce: jego zachwiana pozycja hegemonu, reprezentanta klasy ucieleśniającej obiektywny interes ogółu. Tę rolę przyrzekano mu od lat czterdziestu, a w czasie "Solidarności" obarczono go nawet historyczno-moralną misją. Nie należy się więc dziwić, że dziś czuje się rozgoryczony. I chociaż rozgoryczenie i amak porażki są jego prywatną sprawą, to jednak przedostają się

*) Program emitowany 15.VI.1986 r.

**) "Polityka" 14/86.

one w sferę publiczną w postaci określonych sądów i ocen. Te zaś są najczęściej nieprzyjemne swobodom gospodarczym, a zwłaszcza tym, którzy starają się je uzyskać, by wykazać własną inicjatywę. Z przeprowadzonego wywiadu wynika niedwuznacznie, że sukces i wysoki standard życia prywatnego przedsiębiorcy są solą w oku polskiego robotnika, czymś, co postrzega on jako nieprzyzwoitość. Nieudolna argumentacja, którą uznać można jedynie za racjonalizację awersji, rozpowszechniła się wśród robotników do tego stopnia, iż odnosi się wrażenie, że słuchając jednego z nich słuchamy jednocześnie wszystkich pozostałych.

Kiedy usiłuje się przekonać ich o nierentowności wielu państwowych przedsiębiorstw, odpowiadają przekornie, że to właśnie ich praca tworzy dochód narodowy. Nobilitują w ten sposób własną pracę skłonni są odmawiać wszelkiej zasługi tym, którzy łatają dziury w rachitycznym organizmie gospodarki państwowej. W ich opinii prowadzenie własnego interesu wiąże się z kombinowaniem, tak jakby "kombinowanie" i kalkulacja nie były pracą częstokroć cięższą niż wysiłek mięśni. Narzekają na wysokie ceny towarów oferowanych przez prywatne firmy, lecz nie dopuszczają myśli o zwiększeniu konkurencji, która by te ceny obniżyła. Chcieliby żyć lepiej i taniej, ale nie mogą pogodzić się z zyskami ludzi nie należących do ich kasty. Fakt, iż sektor prywatny, płacąc olbrzymie podatki, niekiedy na granicy opłacalności, ma pokaźny udział w ich dochodach i opiece socjalnej, irytuje ich i wprawia w konsternację. I nawet wówczas, gdy argumenty natury ekonomicznej poparte cyframi i znajomością podstawowych praw rynku wyrażają im broń z ręki, znajdują ratunek w przekonaniu, że kapitalista, bez względu na społeczną opłacalność jego przedsięwzięcia, ciągnie zeń zyski w sposób nieuczciwy. Dodajmy jednak, że troszcząc się o jego nieuczciwość nie mają bynajmniej zamiaru przemawiać na rzecz stabilizacji praw dotyczących warunków działalności polskiego kapitalisty. W tym wypadku prawo jest dla nich narzędziem restrykcji: jego realizację widzieliby najchętniej, jak we wspomnianym przykładzie, w ustawowym określeniu górnej granicy zysków z prywatnego kapitału. Przyciśnięci do muru przyznają w końcu, że nie wszyscy ci, którzy bogacą się wskutek własnej inicjatywy, muszą być koniecznie nieuczciwi. Tym samym nie wyzrekają się jednak ferowania moralnych ocen, które wydają się być ostateczną ucieczką przed rzeczywistymi problemami współczesnej cywilizacji. Jak świat światem, moralizm szedł zawsze krok w krok za komplikującymi się coraz bardziej realiami życia społecznego. Często też z sentymentem nawracał, jak w przypadku Rousseau, do pierwotnych form prostoty i niezróżnicowania stosunków między ludźmi. Tym razem przemówił już nie ustami filozofa, lecz jednego z robotników, którego zdaniem "ogromne dochody, choćby uzasadnione zgodnie z obowiązującym prawem, mają negatywny wpływ na społeczeństwo. Prywaciarze, jak ich nazywamy, są - powiada ów robotnik - nosicielami konsumpcyjnego stylu życia, wzorców, które, moim zdaniem, demoralizują nasze społeczeństwo" *).

Myślę, że jest akurat odwrotnie. Nic nie demoralizuje tak szybko i gruntownie jak nęda i cywilizacyjny zastój. Pewien urzędnik pocztowy, chcąc usprawiedliwić przed sędzią śledczym swój haniebny proceder polegający na okradaniu zawartości listów i paczek, powiedział: "okazja czyni złodzieja". Pomijając moralną wartość tego usprawiedliwienia, można uznać, że wypowiedział on przypadkowo tę banalną prawdę, iż kradnie się nie z zamiłowania, lecz z braku i potrzeby. Ta trywialna prawda znajduje potwierdzenie w życiu społeczeństwa odczuwającego braki dóbr konsumpcyjnych. Teza, zgodnie z którą ich nadmiar powoduje degrengoladę w wymiarze społecznym, jest twierdzeniem au rebours.

Wszystkie te przykłady, które można by zresztą mnożyć, wyrażają, jak sądzę, dysproporcję ogólnej natury, jaka zachodzi pomiędzy głośnym w kraju i na emigracji ideałem demokracji w sensie politycznym,

*) Ibidem.

oraz równościowymi aspiracjami większej części społeczeństwa polskiego. Demokracja pozbawiona adekwatnego zaplecza ekonomicznego i obyczajowego, byłaby senną marą wznoszącą się bez troski nad wiekami cywilizacji zachodniej i podeptanymi swobodami jednostek. Nie chciałbym być w skórze obywatela demokratycznego państwa, w którym jego prywatne sprawy i majątek byłyby ustawicznie analizowane pod mikroskopem opinii publicznej. Wbrew pozorom opinia ta, zwłaszcza w kwestiach społecznych i gospodarczych, posiada w Polsce tak znaczny wpływ, że nie bez przyczyny odzywają się tu i ówdzie głosy wzywające do wprowadzenia przymusu ekonomicznego i zerwania z polityką uległości wobec roszczeń socjalnych. Przymus taki mógłby polegać jedynie na zwiększeniu indywidualnych swobód gospodarczych i zamknięciu nierentownych przedsiębiorstw, a więc ostatecznie na wymuszeniu posłuchu dla niezmiennych i przeważnie nielicznych praw rynku. Można sądzić, że brak odpowiednich nawyków społecznych, które umożliwiłyby jego powszechną akceptację, nie pozwoli na dokonanie szybkich i skutecznych zmian. Tym bardziej pochopny wydaje się pogląd, że demokracja, rządy opinii publicznej, jest tą formą, która odpowiada naszemu życiu społecznemu. Lepiej więc będzie odłożyć ów ideał na czas nieokreślony.

FLORIAN KRAKOWSKI

BRONIĘ DEMOKRACJI

Szkoła liberalna wniosła do postsolidarnościowej publicystyki wkład nader cenny. Ma w tym niejaki udział także Florian Krakowski, z którym jednak tym razem będą polemizował. Nie sądzę wszakże, by właściwą odpowiedzią na krytykę i postulaty tej szkoły było odsądzenie jej od czci i wiary, pomawianie o brak patriotyzmu czy odwagi*). Myslę, że niczego takiego naszym liberałom odmówić nie można, a już odwagi intelektualnej wykazali oni w ostatnich latach więcej niż którykolwiek z nurtów publicystycznych. Uważam, że dobrze służy "sprawie" krytyczna refleksja nie tylko nad taktyką Solidarności, ale i nad wartościami, które Solidarność chciała realizować wczoraj, a dziś - większa część demokratycznej opozycji. Z liberałami - i z tekstem Krakowskiego - można się zgadzać lub nie, ale polemizując z nimi nie wystarczy moralizować, a nawet postawę taką skłonny byłbym uznać za niecelową. Piszę to, ponieważ zdaję sobie sprawę, że tekst Krakowskiego wywoła u wielu od-ruch moralnego oburzenia, co przeszkodzi w dyskusji merytorycznej. Jest to bowiem wypowiedź konsekwentnie liberalna i nie cofająca się przed wnioskami szokującymi dla niejednego czytelnika publikacji niezależnych. Wbrew fundamentalistom-moralistom sądzę, że zasługuje ona na rzeczową dyskusję.

Krakowski zwraca uwagę na problemy normalnie niedostrzegane w dziennikarskim drugim obiegu. Takim problemem jest kwestia demokracji, uznawanej powszechnie w środowiskach opozycyjnych za aksjomat nie wymagający dyskusji. Pytanie o dalekosieżny cel dzisiejszych działań opozycyjnych jest przecież zbywane enigmatyczną formułą "demokracji parlamentarnej". Nad tym faktem sam boleję, gdyż - pomijając już wątpliwości terminologiczne - nie jest obojętne, także na dziś, co owa demokracja ma oznaczać - tak w sensie zawartości gospodarczej, jak zakresu wolności jednostek, jak i wreszcie mechanizmów sprawowania władzy. Wydaje

*) Próbkę takiej polemiki dano w dyskusji z kontrowersyjnymi "uwagami o sytuacji moralnej i politycznej w kraju" Andrzeja Walickiego, Aneks nr 35.

się, że Krakowski wydobyl z całej tej mozaiki problem najwazniejszy: pogodzenie wladzy wikszości z wolnościami jednostek. A sprawa jest rzeczywiście poważna i najwyższy już czas zacząć o niej poważnie rozmawiać. Tyle tylko, że zauważanie owej sprzeczności prowadzi Krakowskiego do zanegowania ideału demokratycznego w Polsce roku 1986, mnie natomiast jedynie do obwarowania tego ideału pewnymi warunkami. Taki będzie przedmiot sporu.

Zanim do tego przejdę, chcę dla większej przejrzystości podkreślić momenty, których dyskutować nie będę, bo się w nich z moim adwersarzem zgadzam. Nie sposób oczywiście podważyć liberalnego przekonania, iż dla zakresu swobód jednostkowych zasadnicze znaczenie ma ograniczenie pola ingerencji władzy państwowej. Podobnie jest z tezą, że liberalne obyczaje sprzyjają wolnościom jednostek, zaś obyczaje egalitarne tym wolnościom szkodzą. Są to już dzisiaj założenia akceptowane w świecie daleko poza rodzinną myślą liberalną i w tym sensie można je zaliczyć do fundamentów cywilizacji zachodniej w ogóle.

Podobnie jak Krakowskiemu tak i mnie niepokojący wydaje się sposób oddziaływania na władzę komunistyczną, który polega na uczeniu moralnego geatu zdeponowanego w rękach rzykantów i moralnych szaleńców. Istotnie ten rodzaj przyjmowania politycznej odpowiedzialności może tylko śmieszyć. Zgadzam się także z analizą dominujących w Polsce poglądów na zagadnienia społeczne i gospodarcze. Wprawdzie o dokładne dane z badań opinii publicznej w kraju jest dziś trudno, a niektórzy autorzy*) wskazują na pewną przemianę mentalności społecznej w ostatnich latach, ale co do egalitarnego nastawienia, skromnie licząc, wikszości naszego społeczeństwa chyba nie może być wątpliwości. Zauważenie tego faktu prowadzić musi z kolei do pytań o niebezpieczeństwa polskiej potencjalnej demokracji - niezależnie od tego, czy się to zwolennikom tej ostatniej /sam do nich należę/ podoba, czy też nie. I ma rację Florian Krakowski, gdy pisze, że to egalitarne nastawienie wikszości wyraża "dysproporcję /.../ jaka zachodzi pomiędzy głoszonym w kraju i na emigracji ideałem demokracji w sensie politycznym oraz równościowymi aspiracjami większej części społeczeństwa polskiego". Niezależni działacze i publicyści powtarzają bowiem jak gdyby zupełnie bezrefleksyjnie hasło "demokracji parlamentarnej" i zupełnie do głowy im jakoś nie przychodzi, że realizacja demokracji w stylu zachodnim może napotkać w praktyce na pewne przeszkody właśnie w postaci egalitarnych tęsknot Polaków.

Wreszcie traktuję poważnie opcję Krakowskiego na rzecz demokracji liberalnej, to jest takiej, jaka realnie funkcjonuje na Zachodzie. Uważam, że polityczna partycypacja ogółu społeczeństwa nie jest wystarczającą gwarancją respektowania wolności osoby i że nowoczesne społeczeństwo godne tego miana musi w swojej organizacji opierać się na dwóch fundamentach: obok suwerenności ludu także na ograniczeniu zakresu władzy reprezentantów tegoż ludu.

Czas przejść do sedna rzeczy. Po tym co napisałem dotąd, nie muszę chyba przekonywać, że mam do czystej demokracji zastrzeżenia zupełnie podstawowe. Dostrzegam jej słabości; zarówno te, których obawia się Florian Krakowski, jak i takie, których on nie zauważa - przynajmniej w tym artykule. Nie miejsce tutaj, by je szczegółowo omawiać, wystarczy je sprowadzić do formuły syntetycznej: groźba pewnej anarchizacji życia publicznego i wymknięcia się władzy z rąk reprezentantów ludu a zmonopolizowanie jej przez wielopartyjną elitę polityczną prowadzącą swoje rozgrywki z pozornym tylko udziałem mas obywateli. To tylko zasygnalizowanie problemu. W każdym razie nie uważam demokracji za ustrój

*) Np. Ryszard Bugaj w rozmowie z Januszem Jankowskim, Tygodnik Powszechny, nr 28 z 1986 r.

idealny, takiego jeszcze w praktyce nie znaleziono. Widząc teoretyczne braki demokracji, tym bardziej obawiam się ich w Polsce z jej powszechnym egalitaryzmem, ale także zacołaniem gospodarczym, brakiem nawyków i do demokracji i do samodzielności gospodarczej, przedsiębiorczości. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach dalej uważam demokrację - także w Polsce dzisiejszej - za rozwiązanie najmniej złe.

Gdybym miał jak najkrócej omówić casus Krakowskiego, posłużyłbym się cytowaną przez niego maksymą: primum vivere deinde philosophari. Mój adwersarz przejął się do tego stopnia słusznymi skądinąd założeniami ogólnymi, że nie zauważył samego życia, politycznego konkretnego takiego, jakim on jest w rzeczywistości PRL-u. Zasadniczo nie zgadzam się z twierdzeniem, że działania na rzecz demokratyzacji "są nie tylko niedorzeczne ale i szkodliwe", ponieważ prowadzą do egalitaryzacji, a więc zawężają zakres wolności osobistych. W ten sposób dochodzi Krakowski do wniosku, że ni mniej ni więcej tylko Październik, Grudzień i Sierpień przyniosły Polakom jako skutek większe niż dotąd zniewolenie /co prawda rozumiane szerzej niż tylko opresja policyjna/ a nie większe swobody - jak sądziliśmy dotąd. Krakowski pewny jest także aktualności swojej diagnozy na dziś: "...pochopny wydaje się pogląd, że demokracja, rzędu opinii publicznej, jest tą formą, która najlepiej odpowiada naszemu życiu społecznemu". Niecierpliwym demokratom autor zaleca zatem "odłożyć ów ideał na czas nieokreślony".

Myślę, że najlepiej będzie odwołać się tu do faktów. Proponuję mojemu adwersarzowi poszukanie odpowiedzi na kilka pytań podstawowych z historii PRL. Kiedy - przed czy po Październiku - prywatny handel, rolnictwo i rzemiosło miały lepsze możliwości rozwoju? Kiedy - przed czy po Grudniu - łatwiej było o wyjazd na Zachód, a prasa mniej była cenzurowana? Kiedy - przed czy po Sierpniu - nauka polska miała większą swobodę badań i publikacji ich wyników, a polska literatura /cała/ większe możliwości wydawnicze w kraju? Dla pełnego obrazu proponuję zamienność miesięcy pisanych z dużej litery na wzór słynnej zbitki L. Kołakowskiego: socjalistyczno-liberalny-konserwatywa. Zwracam uwagę, że powyższy, skrótowny z konieczności, wykaz zawiera także - jeśli nie głównie - tak drogie liberałom wolności negatywne, wolności "od". Myślę, że ludzie w Polsce Solidarności czuli na sobie zarówno mniejszą presję władzy, mniejszą ilość zakazów, jak i do większej ilości rzeczy byli uprawnieni, mieli więcej wolności pozytywnej, wolności "do", niż ludzie w Polsce Edwarda Gierka. Mam zresztą prywatnie poczucie, że jest to nader skromna definicja polskiego doświadczenia owych niezwykłych 16-tu miesięcy.

Rozumiem, że liberałów /szczególnie świeżo nawróconych/ denerwowały kartki wprowadzone - było nie było - na życzenie rozpolitykowanych wtedy mas. Więcej: było to niewątpliwie ograniczenie wolności konsumenta, rozwiązanie co najmniej wątpliwe z ekonomicznego punktu widzenia. Nie bardzo rozumiem, jak ci sami liberałowie mogli nie widzieć, że wymuszane przez Solidarności reformy ekonomiczne stanowią gospodarczy postęp w stosunku do ekonomii "gospodarczej troski", sternika "manewru gospodarczego"; jak likwidowano najbardziej absurdalne i krępujące gospodarkę przepisy; jak usamodzielniały się przedsiębiorstwa; jak powstawały autentyczne, nie państwowe, spółdzielnie; jak zmniejszała się presja na sektor prywatny. Oczywiście, że ideałem gospodarczym Solidarności nie był czysty liberalizm, ale nie był nim też czysty socjalizm w dotychczasowym prł-owskim wydaniu. W ówczesnej sytuacji był to postęp, było to - także w ekonomii - zwiększenie zakresu wolności. Zupełnie nie rozumiem, jak można było nie widzieć radykalnego wzrostu wolności osobistych i grupowych we wszystkim omal dziedzinach: wolności słowa i druku, zgromadzeń i stowarzyszeń, podróży i nic nie robienia /patrz obecna reglamentacja prawa dotycząca "niebieskich ptaków", wolności nauki, wolności religii i tylu innych. Przecież miało się wtedy wrażenie, że w

porównaniu z epoką gierkowską żyje się w wolnym kraju. Jasne, że kraj ten tak naprawdę wolny nie był i że w tej swobodzie mnóstwo było zamieszania i patriotycznej hysterii, i że Solidarność, czyli z grubsza biorąc my wszyscy, w sposób zasadniczy nie doceniła znaczenia prawa do prywatnej własności środków produkcji, do wolności ekonomicznych.

Wszelako, jeśli demokraci i liberałowie uznają wspólnie za cnotę zwykły umiar, unikniemy posuwania się do absurdu, jakim jest nazywanie Polski Edwarda Gierka krajem bardziej wolnym, krajem bardziej wolnych ludzi niż Polska Solidarności. Być może wtedy przestanie naszych kolegów liberałów straszyć koszmarna wizja jutrzejszej Polski demokratycznego totalitaryzmu, jaką już dziś przygotowują ci, którzy pracują na rzecz demokratyzacji. Le rationalisme oblige - en tout cas les libéraux.

MATEUSZ ZAWIEJA

ZAGONIONA ZWIERZYNA ?

- dyskusja o muzyce rockowej

Dzisiejsza rozmowa będzie dotyczyć polskiej muzyki rockowej, jej rozwoju, wręcz eksplozji w ostatnich latach. Muzyki, która stała się dla młodzieży próbą własnej, autentycznej ekspresji, towarzyszącą procesom określania własnej tożsamości, muzyki, która stała się wyrazem buntu przeciw zastanej rzeczywistości. W rozmowie wzięli udział: socjolog zajmujący się od wielu lat muzyką młodzieżową i problemami subkultur, literat i krytyk rockowy, pracownik naukowy zajmujący się kulturą polską, psycholog.

W.Z. Spróbujmy sobie ustalić pewien "plan sytuacyjny", zgodnie z którym będziemy rozmawiać o tzw. muzyce młodzieżowej. Możemy założyć pewien schemat, w którym ta muzyka, w pewnym planie, funkcjonuje. I tak jest ona stymulowana przez, w cudzysłowie, dwa "ośrodki dyspozycyjne". Jeden z nich to spontaniczna twórczość młodzieży, jej dążenie do ekspresji, do poznania własnej tożsamości i odrębności. Drugi - rzeczywistość w sensie bardziej dosłownym - to coś, co na Zachodzie nazywa się przemysłem rozrywkowym, a co w Polsce jest bardziej skomplikowane. Ten ośrodek, mniej lub bardziej bezpośrednio zależny od władzy politycznej, stara się /lub robi to/ stymulować kształt i treści, które są wypowiedziane za pomocą owej muzyki młodzieżowej. W dotychczasowej historii muzyki młodzieżowej, w różnych jej okresach występowały różne proporcje między owymi dwoma aspektami, różnej siły presje ze strony tych dwóch "ośrodków". Ujmując nadal schematycznie - rynek młodzieżowy okazał się niezwykle chłonny, ale i odrębny od innych "rynków" związanych z zapotrzebowaniem na kulturę. Muzyka młodzieżowa jako podstawowy typ, forma ekspresji artystycznej czy paraartystycznej młodzieży, jest jednocześnie tworem, który można sprzedać jak każdą inną formę muzyki rozrywkowej. Jest ekspresją istotnych treści, a jednocześnie przedmiotem obrotu handlowego. Na Zachodzie, a trochę i u nas można przedśledzić momenty, w których te dwa aspekty niejako zbliżyły się do siebie. Czyli to, co było autentyczną wypowiedzią młodego pokolenia było jednocześnie świetnie sprzedawane. Było kupowane przez show business i "odsprzedawane" młodzieży. Tak było pod koniec lat 60, kiedy muzyka rockowa była silnie związana z subkulturami, głównie z subkulturą hipisowską i ten muzyczny bunt odnosił również sukces komercyjny. Potem podobnie stało się z muzyką PUNK. Ale okres od połowy lat 70 i chyba teraz - to okre-

sy, w których muzyka jest w większym stopniu tworzona przez show business, który jest przede wszystkim instytucją handlową zajmującą się ku powaniem i sprzedawaniem tego, co się na sprzedaż nadaje. U nas ów pośrednik między twórcą a odbiorcą jest również pośrednikiem politycznym i wychowującym /tzw. "mecenat państwowy"/. W związku z tym funkcje tego stymulatora muzyki młodzieżowej są inne niż na Zachodzie. Ja bym nie demonizował tego, co jest w Polsce; że u nas jest zupełnie źle, a na Zachodzie świetnie. Na Zachodzie też jest często źle, tylko inaczej. U nas polega to oczywiście na blokowaniu pewnych treści i na stymulowaniu i preferowaniu przez państwowe mass media takiego bardziej wygładzonego modelu muzyki rockowej. Ale nie jest to sprawa prosta. Bo żeby ta muzyka, poza funkcjami wychowawczymi i propagandowymi, spełniała również funkcje handlowe, żeby się sprzedawała, musi zachowywać jakiś związek z jej naturalną bazą społeczną czyli z młodzieżą. Po prostu nie może być całkiem podporządkowana mecenatowi państwowemu i spełniać tylko funkcje przewidziane przez propagandzistów czy wychowawców, bo byłaby kompletnie nie nośna, odrzucana i tych właśnie zamierzonych funkcji nie mogłaby spełniać.

A.B:red. Po pierwsze - bunt dobrze się sprzedaje, a po drugie - sprzedaż tego buntu może być chwyttem polityczno-propagandowym, tak jakby władza mówiła: "popatrzcie jacy jesteśmy liberalni, jakie dajemy możliwości swobody i autentycznej ekspresji".

W.Z. Tak. I myślę, że wszystkich nas interesuje fenomen erupcji polskiego rocka w stanie wojennym. Interesuje, bo w tamtym czasie pojawiło się kilka znaczących faktów kulturowych, znaczących artystycznie bądź socjologicznie. Ciekawy też jest mechanizm relacji między młodzieżą jako grupą społeczną współtworzącą i odbierającą te fakty, a władzą jako "wychowawcą", a także relacji między artystami, wykonawcami, i z jednej strony - młodzieżą, z drugiej - władzą. Otóż ten polski rock, który pojawił się na antenie radiowej w 1982 r. i potem jeszcze w 1983, miał bez wątplenia cechy muzyki kontestacyjnej o wyraźnych akcentach politycznych. Często też dawał czarny obraz świata, obraz zupełnego braku perspektyw dla młodego pokolenia, alienacji młodzieży w tym świecie, niechęci do niego. W obiegu radiowym dość swobodnie funkcjonowały piosenki o elementach wprost wyrażających bunt, bezpośrednio wymierzonych przeciwko systemowi. Jeśli spojrzeć z perspektywy 85 roku, to takie nagrania tworzyły nie tylko te grupy rockowe, które postanowiły w sposób "ideowy" oddać się pewnej misji wypowiedzenia tożsamości swojego pokolenia, bycia rzeczywistym przedstawicielem swoich równieśników, przedstawicielem na estradzie, ale takie nagrania tworzyły również grupy, które od początku postanowiły odnieść sukces komercyjny. Jedną z najbardziej udanych piosenek kontestacyjnych tego okresu to, moim zdaniem - "Przeżyj to sam" zespołu Lombard. Dalsza kariera tego zespołu pokazała, że nie jest to grupa, która aspiruje do wyrażania tożsamości swojego pokolenia czy ekspresji jakichś istotnych treści.

I już wtedy, w 82 roku zadawaliśmy sobie pytanie: dlaczego oni to puszczają? Pewna hipoteza z tego okresu w pewnym stopniu potwierdziła się. Otóż cały ten boom kontestacyjnego rocka jest potrzebny, dopóki alternatywą dla koncertów rockowych są barykady i manifestacje. W momencie, kiedy ucichła ta największa, bezpośrednia ekspresja społeczna, manifestacje - również ewolucji uległ rock, a właściwie ten wierzchołek góry lodowej rocka, który jest lansowany i emitowany przez mass media. Jeszcze w 83 r. pojawiły się nagrania w jakiś sposób zahaczające o rzeczywistość społeczną, w 84 było ich już bardzo niewiele i dotyczyły one nie społeczeństwa w ogóle, lecz specyficznej sytuacji młodzieży. Przykład - przełom roku 84 "Skóra" grupy Aya RL. Jedno z niewielu nagrań, które w ogóle o czymś mówią i które można było usłyszeć w radio. Ale jeśli analizować takie piosenki jak "Przeżyj to sam" czy nawet "Dorosłe dzieci" zespołu Turbo i porównać je ze "Skórą", to można zauważyć znaczące przesunięcie akcentów. Otóż bohaterowie dwóch pierwszych

są w sytuacji, z którą może się utożsamiać, w większym lub mniejszym stopniu, prawie każdy z tego społeczeństwa. Natomiast w "Skórze" przymoc, która jest tematem tej piosenki i która dokonuje się na jej bohaterce, jest spowodowana jego odmiennością kulturową. Jest on bowiem uczestnikiem subkultury Punków. Oczywiście, "Skóra" nie jest piosenką punkową.

2,5, 3 lata temu nie sprzedawało się nic, co by nie mówiło o rzeczywistości społecznej, problemach pokoleniowych, co by nie zahaczało o społeczny konkret. Wszystkie hity z tamtego okresu, np.: "Autobiografia", "Przeżyj to sam", "Dorośli dzieci", starsze utwory Oddziału Zamkniętego, pierwsze Lady Pank - korespondowały jakoś z "czarną" sytuacją wokół, "czarną" wizją świata. Mniej lub bardziej autentycznie, lepiej czy gorzej, ale starały się o coś mówić korzystając z konkretności społecznego czy obyczajowego. W tej chwili w kraju się "poprawiło", sytuacja "znormalizowała się", a w związku z tym tylko nieliczni, niepoprawni krytykanci dostrzegają jakieś ciemne strony, natomiast przeważająca część grupy społecznej pod nazwą "muzycy rockowi dopuszczani na antenę radiową" widzi świat w barwach może nie tyle radosnych, co niżej. Analiza treści tych ostatnich hitów z 84 i 85 roku byłaby po prostu nudna.

K.L. Pewnie jest tak, że zmieniły się trochę potrzeby. W 1982 podstawową potrzebą była właśnie ekspresja napięcia, które stale się gromadziło, a teraz pewnie podstawową potrzebą tych zespołów jest to, żeby się ustawić, zarobić.

W.Z. Napewno jest to argument, który trzeba brać pod uwagę. Poza tym - ci muzycy, którzy byli kiedyś autentyczni i zbuntowani jednocześnie, właśnie dzięki temu - stali się pokupni. No a jak ich utwory zaczęły się dobrze sprzedawać, to zaczęli wchodzić na pewną orbitę. Bo to, że się osiągnęło, nawet o tym nie marząc, jakąś pozycję społeczną, jakiś tam szmal itd., to nagle staje się sprawą, której wcale nie chce się stracić. A warunki "nie tracenia" są określone. Oczywiście, zespoły nie przestały tworzyć piosenek o elementach, ogólnie mówiąc, kontestacyjnych, ale selekcja i lansowanie w radio idzie bardzo wyraźnie w kierunku coraz ostrzejszego blokowania pewnych treści. Ostatnio "nie puszczone" kilku piosenek nawet Mogielnickiemu, który przecież nie jest kontestującym punkiem, a wieloletnim profesjonalistą - tekściarzem. Np. Lady Pank - "Hip, hip, hura" - taka ironiczna piosenka o nietolerancji, nota bene wykonywana na koncertach - nie poszła w radio ze względu na.. możliwość "szerzenia niepokojów społecznych". Inne nagranie Lady Pank zakwestionowano pod zarzutem, że namawia do samobójstwa. Jest to oczywiście potężne narzędzie kierowania rockiem - te zatrzymania, zakazy. A w związku z tym utrwała się sytuacja funkcjonowania takiego "pół-podziemia" np. punkowego czy rasta. Ono istniało w roku 80, 81 i 82, ale w tej chwili mamy już bardzo wyraźną rozdrożenie, ostry podział między tą muzyką, która jest w ogóle brana pod uwagę przy dopuszczaniu na anteny RiTV i tą, która kształtuje się w wyniku rzeczywiście spontanicznych działań młodego pokolenia, a która jest wciąż jeszcze i na szczęście, dopuszczana do sal koncertowych.

Firmy polonijne mają trochę większy margines swobody w nagrywaniu płyt czy kaset. Zresztą część piosenek, które ukazują się na płytach, nie jest dopuszczana do radia. A wobec wątlutkiej fonografii, ono przecież jest głównym źródłem muzyki dla młodych Polaków. Nie dopuszczono na anteny w ten sposób np. wielu piosenek z płyty Klausa Mittfocha, piosenek Republiki np. "Będzie plan" i "Mój imperializm".

M.O.P. W społeczeństwie, głównie w jego młodej części, narastała pod koniec lat 70 potrzeba artykulacji postaw, również postaw politycznych. W momencie, w którym pojawiła się możliwość tworzenia czegoś publicznego, sprawdzenia siebie w konfrontacji z własnym audytorium, okazało się, że jest to lawina, że potencjał jest olbrzymi i zaczęło to rosnać błyskawicznie.

Tu potrzebne było przetarcie szlaku przez takie zespoły jak Kombi, Krzak, Exodus, które pokazały, że można wejść i przedostać się do tej "niedosiężnej" telewizji, radia. Że z trudem, ale można, nagrać płyty. W rezultacie w latach 78-81 ilość zespołów występujących publicznie zaczęła bardzo szybko rosnąć. Rozwój treści werbalnych był oczywiście najślaby. Wiąże się to z pewną opresją, przemocą kulturową, wywieraną na młodzieży jako "klasie upośledzonej", opresją, która powoduje, iż proces wyzwalania się słów jest trudny i długotrwały. Okazało się, że łatwiej było wyzwolić te słowa młodym, strajkującym robotnikom i ludzmi działającym potem w ruchu znanym pod nazwą NSZZ Solidarność, niż muzykom, którzy grali i byli bardziej swobodni zanim ten ruch zaistniał. To znaczy, z drugiej strony, w jakiś sposób muzyka rockowa wyprzedziła wydarzenia Sierpniowe niosąc nieokreślony przekaz pewnej potrzeby wolności. Koncerty rockowe były w tamtym okresie pierwszymi miejscami, w których można było poczuć się wolnym /mniej lub bardziej/ Np. w czasie imprez znanych pod nazwą Muzyka Młodej Generacji organizatorzy dążyli do tego, by na salach nie było policjantów. Policja musi być, takie są wymogi, ale niech będzie na zewnątrz. A w środku uczestnicy koncertu muszą się "samo-rządzić". Publiczność ma być odpowiedzialna za stan sali i za to, żeby koncerty dalej się odbywały.

I to uczenie współodpowiedzialności całkiem dobrze szło. Jeśli chodzi o treści werbalne - zachodziła potrzeba nie tylko oblokowania pewnych dziedzin, ale również - nauczenia się ich wyrażania. W roku 81 czy nawet 80 spotykało się już sporo tekstów politycznych, szczególnie u młodych zespołów, ale było one praktycznie nie do publikacji, ze względu na nie tylko politycznych, lecz również po prostu - estetycznych. No bo trudno, żeby ktoś śpiewał np.: "rżnij czerwonego siekierą bo jest mi bariera". Mniej więcej taki poziom.

Pierwszym tekstem politycznym na pewnym poziomie, który pojawił się w mass mediach były słowa piosenki Perfectu "Ale wkoło jest wesoło" /koncerty - jesień 80 r., radio - wiosna 81/. Potem w Jarcinie 81 dość często pojawiały się teksty polityczne wśród młodych zespołów, a jesienią 81 był to już nurt wyraźnie nasilający się, w związku z tak zwaną "wzrastającą polaryzacją społeczeństwa" i nasilaniem się konfliktów. W tym czasie wystartowała Republika i kilka innych nowofalowych zespołów, które miały wiele utworów o zdecydowanie politycznym charakterze. A PUNK, którego język ekspresji stale się rozwijał, właśnie zawsze poruszały sprawy bliskie gruntowi politycznemu czy społecznemu. I nie jest dla mnie zaskoczeniem, że stan wojenny spowodował, iż ten nurt muzyki rockowej stał się dominujący. Ten kop, który ludzie dostali przy pomocy 13 grudnia musiał wywołać efekt politycznego protestu w muzyce, protestu bardziej gwałtownego niż jeszcze jesienią 81 r. No dobrze - te rzeczy mogły wtedy powstawać, ale niekoniecznie musiały być puszczane. Hipoteza, że należało młodzież zciągnąć z barykad na sale koncertowe jest słuszna, ale tylko częściowo. Było jeszcze kilka innych przyczyn tego boomu rockowego.

Zaczął się od pierwszych problemów technicznych. W radio była cenzura, eliminowano ludzi, mnóstwo ludzi odeszło w ogóle z Radiokomitetu, odpadły całe bloki programowe, bloki publicystyczne, powstały olbrzymie "dziury" w programach, a nie było ludzi, którzy potrafiliby te "dziury" zapełnić, bo tacy albo odeszli albo zostali wyrzuceni. Radiowców zajmujących się rockiem uznano za osoby "apolityczne" i pozwolono im przejść "weryfikację", nawet tym, którzy byli w "Solidarności" lub wręcz jakoś działali - ale "ten od rocka to niepoważny facet, to może pójść na redaktora". I tak zostali różnymi tam redaktorami. I o ile do 13 grudnia mieli trudności z przebicciem się, np. przez bloki znakomitej często publicystyki, to nagle teraz okazało się, że jest koniunktura, dużo luk programowych i można tego rocka grać. Potem, wiosną 82 był taki czas, że rock szedł bez przerwy na czterech programach. Ać dla czego puszczano np. Perfectu "Chcemy być sobą" a nie np. Led Zeppelin czy

Cream'ów? I tu warto zwrócić pod uwagę hipotezę, o której mówiono. Władza traktowała to jako smutną konieczność uznania tego "potwornego wynaturzenia" jakim jest rock, żeby sobie nie dokładać jeszcze jednego problemu z młodzieżą szczególnie, że naokoło jest zbyt dużo problemów. Ale z innej strony: po maju 82 r. muzyka, która "chodziła" już w radiu i TV nagle znikła, odwołano wszystkie imprezy do wakacji, koncerty, zamknięto dyskoteki. Taka kara za 3 msja. A więc można było tego rocka nie dawać. No bo co się stało, jak zamknięto te dyskoteki? Nic. Później wprawdzie zespół Reykowski, składający władzom ekspertyzę "stanu społeczeństwa" stwierdził, że władza popełniła kolejne "harakiri", bo obróciła przeciw sobie wszystkich cinkciarzy i prostytutki, którzy lubią dyskoteki. No, ale to żart. W każdym razie wszystko to są rzeczy, które ani nie są proste, ani jednoznaczne.

Wielokrotnie np. oskarżano rock o to, że jest narzędziem manipulacji młodzieżą, że kanalizuje niepożądane przez władzę emocje społeczne itp. Ale oczywiście wiele innych rzeczy kanalizuje takie emocje. Teatr kanalizuje, Kościół kanalizuje - o, jeszcze jak kanalizuje. W gruncie rzeczy wszystko może być funkcjonalne wobec społeczeństwa, ale zarazem wytwarza też pewne rzeczy, wartości kulturowe, które by bez tego nie zaistniały.

Teraz, jeżeli chodzi o kanalizację rocka, to jest to proces, który był do przewidzenia. No bo jak się "uspokoi" ulicę, wytkłami manifestacje, poradzi z robotnikami, intelektualistami, to trzeba zabrać się za młodzież. Bo jest zbyt pesymistyczna, a nie ma do tego powodu, bo trzeba wreszcie skończyć z tym wynaturzeniem, z tymi rockowymi wygłupami. Bo jak pan pułkownik z żoną patrzy w akren na tych wyjwców, to ich szlag trafia, a tu trzeba by ich wszystkich z tej estrady do obozów pracy itd. itp. Zresztą faktycznie można było usunąć z TV wykonawców, którzy byli "skandalicznie umalowani". Tak było z videoclipem Oddziału Zamkniętego "Twój każdy krok", z Felicjanem Andrzejczakiem i Budką Suflera. Więc po prostu jsk pułkownikostwo siedzą i patrzy w TV, to takich rzeczy nie mogą ścierpieć. Na razie, jakiś pułkownik Kwiatkowski, trochę rozsądniejszy, tłumaczy im, że jeszcze nie można tym młodym rockomanom dokopać, ale trzeba i powoli, powoli to też się załatwi.

Komercjalizacja rocka jest procesem, który zawsze grozi i zawsze się dzieje. Wydawało się, że w pewnym momencie te mechanizmy zostały przełamane ze względu na siłę i jakość rockowego uderzenia. W r. 81, na początku 82 środowisko muzyków jakoś się trzymało. A potem, jak wiele innych, zaczęło się "rozleźć". Muzycy rockowi są częścią społeczeństwa i jak więzi społeczne zaczęły się rwać /jeszcze nie w pierwszym okresie stanu wojennego, lecz nieco później/ - to tak samo w środowisku rockowym.

Jeszcze jedno. Przecież tyle zostało jednak powiedziane, wyśpiewane, wykrzyzcane. Cały ten bunt. No i co? Zmieniło się coś? Nic. No to po cholere człowiek ma się szarpać: z raportami ubeków, zakazami, zdjętymi tekstami, odwołaniem koncertów, niemożnością wejścia do radia, z niemożnością pracy. Dość typowym przykładem może tu być chyba Z. Hołdys, który przeżywał to na własnej skórze. Hołdys, który swój okres walki "podsumował" bardzo zaskakującą płytą - "I ching", będącą odejściem w refleksję, poszukiwaniem wyrefinowanej formy. Po prostu przedtem już jakby zagonił się w kozi róg.

D.E. Czasem wydaje się zastanawiające, że rock, który jest przecież muzyką buntu, muzyką niezgody na zastaną rzeczywistość, tak łatwo daje się kupić przez ahow business, czy, u nas, przez ośrodki władzy i polityki kulturalnej. A przecież korzenie rocka tkwią w bluesie, w kontrkulturze, muzyce pokolenia hipisów, pokolenia Woodstocku. Pamiętamy też np. o muzyce reggae, przeszczeptionej na nasz grunt i funkcjonującej w dość dziwnej subkulturze RASTA w Polsce, a będącej u nas wyraźnym i spóźnionym reflekssem kontrkultury i hipizmu, spóźnionym o kilkanaście lat...

M.O.P. Siła rocka jest zarzewiem jego słabością. Rock daje się sprzedawać. Po to, żeby był faktem społecznym musi się sprzedawać. To nie jest muzyka dla elity, dla nielicznych. To jest muzyka dla całych pokoleń młodzieży.

D.E. Cały czas mówimy o tej stronie, o tym aspekcie rocka, który daje się bardzo łatwo przekładać na semantykę werbalną. Tymczasem siła tej muzyki, siła zmierzająca ku rewolucji, mieści się także w semantyce brzmieniowej. Są oczywiście różne nurty w muzyce i taki np. Presley dał się kupić i sprzedawać bardzo łatwo i szybko. Rhythm and blues też dość szybko z muzyki więźniów, muzyki rewolucyjnej wszedł w fazę pełnej adaptacji przez system. Ale niezależnie od tego, nawet w komercyjnej wersji, to brzmienie buntu, niezgody, dotyka społeczności i w jakiejś mierze oddziałuje na zmiany w jej zachowaniach, generuje nowe wzorce zachowań.

W Polsce mamy tski paradoksalny rodzaj szczęścia, że w krótkim czasie mogliśmy obserwować zjawiska społeczne towarzyszące muzyce rockowej, które np. w USA musiałyby być obserwowane przez ok. 20 lat. Mówimy o tym, że od 78 roku zaczął się ten impet rocka, a w 80, 81 część rockmenów młodej generacji miała zażółcić takim lokomotywom polskiego rocka, jak Perfect, że zbyt miękko weszły w naszą rzeczywistość...

M.O.P. No oczywiście, jeżeli porównamy teksty Perfectu z tekstami np. Śmierci Klinicznej, WC albo Dezertera czyli SS-20...

D.E. Nie mówię o tekstach, lecz o tradycyjnej w gruncie rzeczy muzyce Perfectu. Ci młodzi ludzie znali podobną muzykę z całkiem innego przekazu. Muzyka Perfectu, to muzyka dla 30, 35-latków. A np. ich przebój "Autobiografia", którego słuchały nastolatki identyfikujące się ze zbuntowanym pokoleniem 30-latków, był utworem właśnie o człowieku 35-letnim i w gruncie rzeczy do takich ludzi adresowanym. Zresztą - czy ci młodzi ludzie analizowali tekst "Autobiografii", czy analizowali np. teksty Led Zeppelin, których muzyki chętnie słuchali?

Muzyce Perfectu stawiali zarzuty, że jest anachroniczna, że zbyt łatwo wchodzi w rzeczywistość naszej rozrywki, daje się zaadaptować do promocji w radio i TV, że jest zbyt mało prowokująca. Sądzę, że wiele grup rockowych pozostało w swoich klubach i grs to, co chce grać i nie wchodzi na anteny, w układy promocyjne nie tylko ze względu na ograniczenia zewnętrzne, brak umiejętności, lecz przede wszystkim ze względu na świadomy wybór. Dotyczy to np. środowisk PUNK-owych. Protestujemy nie tylko przy pomocy tekstów, ale i muzyki. Możemy śpiewać teksty z gazety /jak np. Deuter/ - ważna jest muzyka, czasem jedno słowo-klucz, jak np. "wojna". Ważny jest cały zespół tekstów poza tekstem werbalnym: ostre brzmienie, prowokacyjne zachowania. To, co jest znaczące tylko dla ludzi uczestniczących w tym koncercie-misterium, a co jest bezsensowne i zagrażające dla ludzi spoza środowiska. Przed jednym z punkowych koncertów byłem świadkiem, jak tzw. "szarzy ludzie" odbierają punkową młodzież wysiadającą z autobusu. Stała tam matka z dorastającym synem, który był wyraźnie zainteresowany tym, jak ci ludzie /punk/ wyglądają, o co im chodzi, dlaczego właściwie są tacy dziwni. Matka skwitowała to: "to są chuligani, ty na nich nie patrz, to wszystko jest wynikiem braku wychowania i kultury". Gdyby ta kobieta poszła na koncert - to byłby dopiero dla niej szok.

Myślę i wiem to, że są takie kapele, które starają się w jakimś sensie zrewoltować wrażliwość i mniej lub bardziej świadomie czynią duży wyzom w tym, co w Polsce nazywa się muzyką młodzieżową. Związane to jest z bardzo istotną wartością dla zgromadzonej na koncercie publiczności - z własną odrębnością. W naszej rzeczywistości, dla tych młodych ludzi staje się to wartością ostateczną i jedyną, bo nie ma już żadnych innych. Tą jedyną wartością, która pozostała, jest bycie razem, bycie we własnej, odrębnej, innej grupie. "Mówią nsm różne rzeczy, ale my już w to nie wierzymy, albo jeszcze nie wierzymy, albo w ogóle nie

rozumiemy". Na taką postawę nakłada się mnóstwo kompleksów. Np., że mój starszy brat siedział za "Solidarność", że w radio puszczają muzykę, której nie akceptuję itp. Te nakładające się zjawiska wytwarzają jakiś odruch. Wymiotny. Odruch negacji, obrzydzenia i buntu. I tylko "koncertowa wspólnota" daje lepsze samopoczucie.

Trochę podobnie jest z muzyką reggae. Mam wrażenie, że tylko niewielu tych młodych ludzi grających u nas reggae zdaje sobie sprawę z korzeni tej muzyki. Ta "nieświadoma" większość na pewno jest autentyczna w tym, co robi...

M.O.P. Kiedyś byłem świadkiem konfrontacji takich wykształconych "rastmanów erudytów" z tymi dziećkami. Ci młodzi nie śpiewają dla JAH, tylko do Boga, po prostu do Boga i bezbłędnie wyczuwają, o czym jest reggae. I niezwykle świeżo i po swojemu tę muzykę interpretują.

D. E. Sytuacja reggae w Polsce jest jeszcze bardziej zaskakująca i niespotykana niż sytuacja punków. Nagle bowiem okazuje się, że ktoś, kto śpiewa reggae, musi to śpiewać przeciwko wszystkim oficjalnym instytucjom, nawet przeciwko Kościołowi. W ten sposób jakby przełamuje się "kompleks starszego brata", bo niezależnie czy Kościół jest za "Solidarnością", czy nie jest; czy "Solidarność" była taka czy inna, ale i tak funkcjonowała oficjalnie; Kościół jest Instytucją, a cały ten świat wokół to Babilon i my występujemy przeciw niemu.

M.O.P. To, co powiedziałeś, przypomina mi rozmowy z młodymi ludźmi, które prowadziłem w Jarocinie w 81 r. Pamiętamy, że lato było głodowe, w sklepach kompletnie nie było nic do żarcia, do ostatniej półki. Napicie polityczne rośnie, wszyscy gadają: "wejda, nie wejda" - a tu po-lebie namiotowe. I co tam się odbywa? A no, przez analogię, tam się odbywa Porto Bello rok 70, 71, Christiania rok 74; tu chodzą buddyści Zen, tam wyznawcy Kriszny, tu dyskutuje się o hinduizmie, gdzie indziej o yodze, jeszcze w innym miejscu pali się trawkę albo daje w kanał. Jakby czas cofnął się o 10 lat, w kontrkulturę. Ja w to wszystko wchodzę i próbuję ich podpytywać: "co sądzicie o tym, co się dzieje między rządem a "Solidarnością", o polityce" itp. I co odpowiedzieli? To nas nie obchodzi, to są ICH sprawy. ICH - dorosłych. Tego świata, który ma nas dotyczy. "No dobrze, jak to nas nie dotyczy - przecież jesteście głodni?". Głodni. To nie jest problem. Problem w tej chwili to jest Kosmogonia, Jedność Wszechświata itp.

K. L. Oczywiście, rozmawiając tutsj o wszystkim, trudno nam pokusić się o rzetelną analizę funkcji, jakie spełnia muzyka rockowa wobec władzy państwowej i młodych ludzi. Ale myślę, że w tym dążeniu do określenia siebie, do zaznaczenia własnej odrębności, w tym poszukiwaniu własnej tożsamości przez muzykę i wokół muzyki, jest jeszcze jeden bardzo ważny element. Mianowicie dążenie do zgodności z doświadczeniem. To oczywiście nie zawsze wychodzi, bo często szybko następuje wchodzenie w jakikąś tam układy, kanały. Ale gdzieś u podstaw leży coś, czego w naszej muzyce rozrywkowej nigdy nie było: dążenie, żeby śpiewać tak, jak ja to czuję, tak jak ja to widzę; niezależnie od tego, czy to będzie "dobrze", popularne, mądre, literackie. To może być nieporadne; czy wręcz głupie, ale chodzi o to, żeby wyśpiewać to, co się widzi i czuje. My chyba jesteśmy znacznie bardziej przyzwyczajeni do życia w schizofrenii, do tego, że można żyć w świecie, którego po swojemu się nie nazwałoby. Bo tak nas wychowano, bo myśmy przyjęli taki świat, w którym jakos można się orientować. Natomiast ci młodzi nie rezygnują z własnego nazywania świata. A co dzieje się potem, np. z zespołami, które zaczęły od takiego ostrego, buntowniczego wejścia i nazywania rzeczy po imieniu? Często zaczynają się liczyć z uwarunkowaniami zewnętrznymi: co się dobrze sprzeda, co pójdzie przez cenzurę itp. Inna sprawa to określenie siebie w kategoriach muzycznych, estradowych. Jeżeli zaczyna się grać reggae, to wykorzystuje się pewien stereotyp i dostosowuje się do tego stereotypu muzyczno-estradowego, a nie - śpiewa o tym, co napraw-

dę chce się powiedzieć...

W.Z. Część zespołów reggae operuje np. frazeologią zupełnie nie przystającą do doświadczenia.

M.O.P. Poruszyłeś tu bardzo istotną sprawę nazwania świata. Np. Perfect może nie odpowiadać małolatom, bo ich sposób nazywania świata jest jakby doroślejszy, bardziej domyślny, literacki. A z kolei język punków - zwięzły, a zarazem wieloznaczny, poszukujący własnej ekspresji. To rzeczywiście ważne. Nstomiszst to, co powiedziałaś, że nastolatki nie są przyzwyczajone do życia w społecznej schizofrenii, wydaje mi się nieprawdą. Do tego nikt się nie może przyzwyczaić, a z drugiej strony - oni też są do tego wdrażani od kilkunastu lat. Tu okazuje się, jaką funkcję pełni m.in. ich muzyka. I to bardzo jasno wynikało z ubiegłorocznych badań w Jarocinie: ta muzyka pełni rolę psychoterapeutyczną; jest relaksantem, ratunkiem, nałogiem. Jest po prostu sposobem na redukcję dysonansu poznawczego płynącego z owej schizofrenii społecznej. Jest dzieciinną "terapią emotywno-racjonalną". Sprzyja odreagowaniu, upustowi nagromadzonych emocji, ale również jest próbą racjonalizacji, nazwania świata. Podsuwa także sposoby identyfikacji ze wspólnotą. W Perfekcie, mimo całej literackości tekstów, było dużo autentyzmu. I mimo, że to trzydziestolatkowie tworzyli Perfect, wielu młodych ludzi identyfikowało się z tym hipisowskim, kontrkulturowym nawrotem. Bo można go było po 10 latach wypowiedzieć, a nie odbiega on tsk bardzo od zapotrzebowań dzisiejszych nastolatków.

K.L. To, co dla jednego jest autentyczne, dla innego jest sztuczne. W Jarocinie pytano ludzi: "które zespoły uważasz za najbardziej autentyczne, a które za najbardziej sztuczne?". I w obu odpowiedziach pojawiały się te same zespoły. Myślę, że jest to związane z własnym doświadczeniem. Ludzie, którzy potrafią samodzielnie doświadczać świata, fałsz łatwiej wyczuwają. Wielu innym - byle co, co nie jest oficjalną propagandą, już wystarcza, już wydaje się autentyczne.

M.O.P. To dotyczy sprawy, o której właściwie nie mówiliśmy. Za badaniami amerykańskimi możemy przyjąć różne "stopnie uczestnictwa w młodości", w młodzieżowej kulturze. Bo młodość nie jest kategorią biologiczną, "fsktem fizycznym", młodość jest pewnym stanem. W określonych sytuacjach kulturowych możliwe jest bezpośrednio przejście od dzieciństwa do dorosłości - w naszej cywilizacji stało się faktem społecznym przechodzenie przez okres młodości, "bycia młodzieżą". Przechodzenie - na różnych poziomach "zaangażowania", wciągnięcia w tę młodość jako kategorię społeczną. W młodość - a więc w kulturę młodzieżową; oczywiście tam, gdzie ona istnieje w sposób odrębny, autonomiczny, na większą skalę, jak np. w USA czy Anglii.

Grupy ludzi, którzy w pełni uczestniczą w tej kulturze - to grupy wzorotwórcze, rodzaj awangardy. Inni uczestniczą w mniejszym stopniu, częściowo; jeszcze inni - w ogóle. Dla ludzi z grup wzorotwórczych, w pełni uczestniczących, wiele zespołów może wydawać się sztucznymi, ponieważ patrzą oni na nie z pewnym dystansem, osadzają konkretny zespół w pewnej perspektywie, wynikającej ze znajomości różnorodnych przejawów kultury młodzieżowej i kultury w ogóle. Dla wielu innych /uczestniczących w mniejszym stopniu lub wcale/ jakaś kapela może być tym pierwszym kontaktem z kulturą młodzieżową i dlatego może wydawać się im jej autentyczną przedstawicielką.

Przy okazji. Pamiętajmy, że mimo dążenia, czy chęci ośrodków władzy, aby młodzież dostosować do obowiązującego wzorca ideologiczno-wychowawczego, mimo płynących stamtąd głosów, że młodzież powinna być bardziej optymistyczna, dziarska, uśmiechnięta - tak nie będzie. Bo, pomijając sprawę obecnego kryzysu, obecnego ustroju politycznego, w ogóle młodość nie jest stanem szczęśliwości!!! A dlatego, to psychologowie na przykład, wiedzą doskonale...

W.Z.Chcę wrócić do wątku zmniejszania się ekspresji społecznej czy też treści politycznych obecnych w muzyce rockowego "topu", establishmentu. Poza przyczynami zewnętrznymi takiego procesu są też jakby wewnętrzne. Otóż uzdolnieni autorzy chcą robić muzykę, a przede wszystkim - pisać teksty kreacyjne, przetwarzać świat, budować własny /np. Kora i Maanam/. Nowet w swej istocie polityczne teksty Grzegorza Ciechowskiego i Republiki są polityczne nie wprost, są metaforyzowaniem świata, wizją poetycką, uogólnieniem. Wiele kapel, np. Cdział Zamknięty, chce tylko opisywać świat, bezpośrednio, wprost odtwarzać rzeczywistość społeczną, obyczajową. Ale jak długo można śpiewać o tym, że jestem głodny i zdzieram buty, jest mi źle i naokoło jest koszmarnie. Szczególnie, że to się powtarza, a poza tym stają się popularny, wchodzi na "top" i już nie jestem głodny ani nie zdzieram butów. Jestem w innym miejscu, mówię z innego mikrofonu. Wtedy czasem zaczyna się szukać innych możliwości ekspresji, próbuje budować własny świat poetycki. Czasem, niektórzy stają się dojrzałymi artystami, przetwarzają swoje doświadczenia, przestają krzyczeć i używają metafory do opisu świata. Nie dlatego, że cenzura łatwiej puści teksty metaforyczne. Krzyk po prostu jest sposobem ekspresji, który szybko się eksploatauje.

M.O.P.Jeszcze w latach 70, mając kontakt z młodymi grupami rockowymi, starałem się wpływać właśnie na ich teksty, które były pretensjonalne, wydumane, kiczowate, nie mające związku z rzeczywistością. Lata 80-82 i teraz - punk - rock, to trochę jakby przeciwieństwo tamtego okresu. A przecież nie trzeba być koniecznie głodnym, żeby o tym pisać, jak też nie koniecznie, jeżeli nie jesteś głodny, to nie masz o czym pisać, albo jak nie leją się na ulicach, to nie masz o czym pisać. Nieprawda. Ale ci młodzi chyba jednak nie przekroczyli pewnej bariery. Bariery, za którą tekst nabiera walorów literackich mimo, że jest opisem, spojrzeniem na siebie i własnych znajomych. Jest paru takich facetów w Stanach, w Anglii, którzy robią dziełka literackie z sytuacji np. związanej z seksem, z opowiadania, że ktoś tam chciał się przepasać z jakąś babką, a kogoś napadł narkoman w metrze itd. Albo teksty Dylana: z konkretnego zdarzenia czynią metaforę. U nas - jeśli ktoś stosuje metaforę, to czasem coś z życia do niej pasuje, bardzo rzadko jest odwrotnie, że opis konkretnego zdarzenia staje się metaforą.

D.E.Różne strategie są dobre. Stosowanie metaforyzacji, jak i bezpośredniego opisu. Wszystko zależy od funkcjonalizacji metafory, od możliwości jej odbioru. Fajne są oczywiście teksty mający bezpośredni związek z taką pulsującą rzeczywistością. Myślę, że wielu ludzi nie odbiera ich jednak w taki sposób, że uogólniają je na społeczeństwo, że je uniwersalizują. Najczęściej odnoszą je do swojego doświadczenia, do swojego grona, środowiska, subkultury. Myślę również, że większość tekstów "okresu przełomu", z lat 80-82, tekstów punkowych, nie była odbierana jako metafora np. stanu społecznego, lecz jako metafora sytuacji grupy, środowiska, młodzieżowej subkultury.

M.O.P.Problem recepcji tekstów rockowych jest oczywiście słabo rozpoznany. Ale, być może, można jakoś ekstrapolować wyniki badań np. dotyczących znaczących negatywnych wydarzeń w życiu młodzieży. Okazywało się w nich, że wydarzenia o charakterze społecznym, np. 13 grudnia, są na dalszym planie, niż np. śmierć kolegi z przedawkowania narkotyków czy porzucenie przez dziewczynę...

Zastanawiam się nad sprawą wrażliwości na świat, nad, jak sądzę, wznrastającym poziomem lęku, zagrożenia u tych najmłodszych rockmenów. Kilkanaście lat temu, jak byliśmy w ich wieku, nie było widać, tak jak dziś, tego strasliwego pesymizmu. Myśmy nie byli takimi pesymistami.

Te wszystkie badania socjologiczne, ankiety, pokazują niezwykle wysoki stopień znerwicowania, depresji u młodzieży.

R.S.Przy okazji tego, co mówisz o znerwicowaniu, depresyjności młode-

go pokolenia, chcę zapytać o następującą sprawę. Muzyka młodzieżowa jest uwikłana w różne procesy społeczne, jest kształtowana i kreowana przez młodzież, ale pośrednio - również przez polityków, którzy znają sytuację młodzieży i sytuację muzyki. Czy więc tzw. polityka kulturalna, sterowanie rockiem, ma w naszym zdaniem cel i sens, czy jest próbą aktywnego oddziaływania na młodzież, czy też jest to sfera pozostawiona "odłogiem" przez aparat władzy?

M.O.P. Szybciutko i w krótkich słowach ci odpowiem. Ta polityka nie ma żadnego celu i głębszego sensu. Podobnie jak polityka "niekulturalna". To jest polityka generalnie nastawiona na przetrwanie. Ta ekipa rządząca ma jedyną założenie swoich działań: przetrwać i zapanować nad sytuacją, jako tako uspokoić ten kraj. Dlatego skuteczne stają się jedynie doraźne posunięcia, małe kroki. Tu nie szukaj żadnych celów. To jest zbiór przypadkowych poczynań.

R.S. Czyli mamy taką sytuację: z jednej strony spontanicznie pojawiająca się twórczość młodzieży, s z drugiej - doraźne, chaotyczne posunięcia władzy.

M.O.P. Tsk. I nawet nie warto o tym mówić, ponieważ generalnie rzecz biorąc, mniej więcej od 1954 roku władze państwowe w PRL nie mają żadnych aktywnych założeń polityki kulturalnej. Mają tylko defensywny program: program na "nie". Wiedzą, czego nie chcą, nie wiedzą, czego chcą. W latach pięćdziesiątych wiedziały jeszcze, czego chcą, ale to nie wyszło.

D.E. Myślę jednak, że analizowanie tej tzw. polityki kulturalnej ma pewien sens. Możemy dzięki temu prześledzić w jaki sposób różne deklaracje, dokumenty, to co na papierze - wpływało na konkretne posunięcia. Pozy tym, kolejno zmieniające się ekipy miały z reguły jakieś pomysły na politykę kulturalną. Można to prześledzić już od... 1943 roku, od pierwszej odezwy PPR w tej sprawie. Albo rok 1946, przemówienie Gomułki i tzw. "ofensywa" - to co było w morzu ogólników i pustosłowia zaczęło się jakoś konkretyzować. Oczywiście, nawet w latach 50 założenia polityki kulturalnej były nieco splagiatowane ze Związku Sowieckiego. Przy zmianach ekip, z jednej strony pojawiają się różne deklaracje, papiery, potem to się jakoś konkretyzuje - raz - w szczegółowych opracowaniach, artykułach ideologicznych, dwa - przez zalecenia i wytyczne dla wydawnictw, cenzura, RiTV itd; s lbo w rzeczywistości, czym jesteśmy zaskakiwani, np.: przez zamykanie dyskotek, znikanie muzyki country z anteny itp.

M.O.P. A mnie papierowe "chcienia", "humanizmy", cały ten papierowy "socializm liryczny" nie interesuje.

A zamykanie dyskotek, zakaz grania na antenie są właśnie przykładami destrukcyjnego i doraźnego resgowania. To nie są przykłady na aktywne kształtowanie, formowanie, budowanie; to jest program niszczenia tego, co się pojswia. Wyłącznie.

D.E. Co nie przeszkadza, że w "Odrze" ukazuje się wywiad z tow. Kubiakiem, z którego niezbitcie wynika, że obecna ekipa rządząca jest, jeśli chodzi o politykę kulturalną, najbardziej liberalna ze wszystkich dotychczasowych. "No i to by było na tyle", jak mawiał pewien satyryk..

Z.J. Czy to, co się dzieje w Polsce z młodzieżą i to, co robią politycy może prowadzić np. do "zejścia do podziemia" przez niektóre zespoły rockowe? Bo blokowanie pewnych treści w rocku, hamowanie jego ekspansji musi wywołać zmiany. Jakież?

D.E. Poszukajmy analogii historycznych. Czy w Polsce istniał underground muzyczny? Właściwie nie, bo jakieś kluby studenckie, kabarety, możemy tu pominąć. A np. w Czechosłowacji istniał, i to bardzo rozbudowany, wręcz zaczynający Nową Falę w muzyce /grupy TG 307, Plastic Pe-

ople/. Impet muzyczny rewolty końca lat 60 zbiegł się tam z bardziej istotnym i ich własnym przeżyciem Praskiej Wiosny, roku 68 i 69, ze słynnym meczem hokejowym ZSRR-Czechosłowacja i manifestacjami po nim itd. W Polsce w latach 80-82 nie pojawili się pokoleniowi bardowie, którzy nie tylko w słowach, werbalnie, ale i brzmieniowo rewoltowali by, przeciwstawiali pewną świadomość estetyczną zastanej rzeczywistości. Nie mówiąc już o pokoleniu lat 70...

M.O.P. W Polsce nie zaistniała potrzeba zejścia w "podziemie" przez rock. Istniał w NOW-ej nawet taki pomysł, żeby wydać kasetę lub kilka, tych najbardziej nonkonformistycznych zespołów. Nie został ten pomysł zrealizowany z kilku powodów. Po pierwsze, jednak większość tych artystycznie lepszych kapel trafia jakoś do radia, na płyty, może grać koncerty. W sposób ograniczony, ale jednak. A zasięg radia w porównaniu z kasetą /szczególnie podziemną/ jest nieporównywalny.

Po drugie: póki co, nie ma sensu ustawianie tego ruchu rockowego w jednoznacznie politycznej płaszczyźnie. A jeżeli jakiś nawet "mało polityczny" czy tylko z rzadka śpiewający politycznie zespół zostanie nagrany na podziemnej kasecie, automatycznie staje się "bardzo polityczny" i ma pełną blokadę na radio i na występy. Kaczmarek czy Gintrowski są świadomi tego co robią, świadomi swoich prsw, wiedzą, że mogą pójść do adwokata itp. i dają /lub dawali/ sobie radę. Takich chłopców z zespołu MOSKWA czy SIEKIERA, z jakichś Puław czy Kalisza miejscowy komendant tak zgnoi, że ich wyłowią z rzeki i nikt o niczym nie będzie wiedział. Więc dopóki można różne treści przemycać na koncertach, kanałami oficjalnymi - to trzeba to robić.

W.Z. Jest jeszcze jedna różnica między sytuacją w Czechosłowacji i w Polsce. W Czechosłowacji po 68, 69 roku najbardziej świadoma i aktywna politycznie i społecznie część młodego pokolenia została bardzo szybko i bardzo brutalnie odcięta od możliwości zdobywania wykształcenia, u nas ludzie o analogicznej postawie jakoś pchali się przez ten system instytucjonalny, na pewien jego szczebel i znajdowali inne kanały ekspresji politycznej niż np. muzyka rockowa - po prostu bezpośrednią działalność polityczną. W Polsce są alternatywy, jest Kościół, jednak znacznie większy pluralizm społeczno-polityczny i kulturalny, który władza zmuszona jest tolerować, "podziemie"; od połowy lat 70 bardzo rozwinięty i niemal "instytucjonalizowany" drugi obieg wydawniczy, literacki, publicystyczny, teatry takie jak "Csmego dnia" itd. itd. W Czechosłowacji underground muzyczny był jedną z niewielu szans na ekspresję polityczną młodych ludzi.

M.O.P. Stale mówimy o muzyce młodzieżowej, a przecież jest to jedna z oryginalnych form kultury młodzieżowej, wytworzonych przez młodzież dla siebie. Ale można znaleźć inne formy, niekoniecznie u nas i niekoniecznie w tej chwili. Mówimy dużo o rocku, bo tak, niestety, rysuje się w Polsce ta mapa przejawów kultury młodzieżowej. Tę ostatnią należy traktować nie tylko jako zbiór wytworów i manifestacji artystycznych, ale przede wszystkim jako zbiór wartości, postaw, zachowań - potencjalnie generujących własne, oryginalne przejawy /np. artystyczne/. A po 13 grudnia mnóstwo rzeczy dziejących się w kulturze młodzieżowej w latach 80-81 po prostu zniknęło; wiele działań, ruchów, inicjatyw zostało zablokowanych. Został rock. I dlatego ta mapa jest, poza nim, bardzo uboga.

Powstała luka, dziura, pustynia - tak jak w radiu - którąś czymś trzeba było wypełnić. Rock musiał wypełnić zbyt wiele funkcji, zastąpić zbyt wiele rzeczy. Dlatego też w roku 84 i 85 muzyka młodzieżowa jest zbyt "przeciążona" tyloma funkcjami, trochę cofnęła się do jednej ze swych właściwych ról - do roli muzyki rozrywkowej po prostu. Ale niestety nie widać, żeby powróciły tamte inicjatywy, działania dopiełniające, obok rocka, społeczną mapę kultury młodzieżowej. Rock powraca do funkcji ekspresji artystycznej młodzieży, "rezygnując" z funkcji zastępczych z lat 82, 83 a nie pojawiają się nowe grupy wzorotwórcze, al-

ternatywne style życia, twórczości.

Czyli, jeśli mówimy o prognozowaniu, jeżeli rock zostałby zablokowany, można wtedy przewidywać całą gamę konsekwencji społecznych - bo byłoby to zablokowanie jednego już w tej chwili w miarę powszechnego kanału ekspresji. Jedyne zagrożenie bezpieczeństwa. Wtedy może zacząć się gotować; a ponieważ siła opresyjna systemu jest na tyle duża, żeby utrzymać kontrolę - to możemy przewidywać wzrost dewiacji, autoagresji itp. To się zresztą dzieje cały czas i to nie od stanu wojennego, lecz wcześniej, od lat 70. Np. narkomania stała się zjawiskiem społecznym przed Sierpniem. A jak dzisiaj wiemy, nawet demonstracje uliczne młodzieży, które można by też przewidywać w sytuacji zablokowania rocka, systemem nie wstrząsną i go nie zmieniają, bo system nauczył się już je kompensować.

R.S. Z mojej pracy jako psychologa coraz częściej wynoszę wstrząsające doświadczenie, może raczej poczucie, że właściwie całe pokolenie, cała młodzież w wieku szkoły średniej - staje się dewiacyjna. Czyli, ujmując rzecz statystycznie - tworzą nową normę, którą jeżeli opisać, to jest ona bliska naszemu rozumieniu dewiacji. Jej przejawy najostrejsze to np. narkomania, próby samobójcze itp., a najpowszechniejsze: postawa totalnej negacji, zubożenie umiejętności głębokiego kontaktu interpersonalnego, depresyjność. Tożsamość tych ludzi zaczyna być niejako budowana wokół takich pojęć jak samozniszczenie, specyficzna abnegacja psychiczna /i nie tylko/, życie bez planu, niechęć do ekspansji, poznawania, uczenia się /nie w sensie edukacji oświatowej/, życie z poczuciem - "mniej niż zero". Albo też - ucieczka, np. w wątpliwy mistycyzm, ruch religijny czy inny, który nie jest próbą dotknięcia Absolutu, doskonalenia siebie, spotkania z Bogiem, lecz - autystycznym wycofaniem. Na tym tle młodzi, dojrzały, zdrowi i zadowoleni ludzie wydają się dziwadłami.

M.O.P. W pewnym referacie wygłoszonym w PTS porównuje się badania robione w Polsce w 78 r. z badaniami młodzieży RFN-owskiej z 82 r. Maturzyści tu i tam. Polskie badania z 78 roku, czyli jednak ze znacznie lepszego okresu niż 82 rok i było to badanie młodzieży normalnej, nie żadnych tam "odchyleńców". I co się okazało? Ogromna większość młodzieży badanej wykazywała /w Polsce/ osobowość depresyjną, wycofaniową, z obcięty mi horyzontami zainteresowań, z typowymi objawami depresji, autodestrukcji, niemożności, nieumiejętności rozwiązywania problemów. Młodzież z RFN natomiast odznaczała się stosunkowo dużym poczuciem bezpieczeństwa, dużą wiarą we własne siły i możliwości, zadowoleniem i chęcią radości i zabawy. W dyskusji po referacie jedna z uczestniczek dała krótką i trafną diagnozę: "młodzież z RFN przypomina swawolnego Dyzia, a ta nasza - zagonioną zwierzynę". A to przecież były lata 70, a nie stan wojenny.

Właśnie w latach 70 było szereg badań dowodzących, że w Polsce nie ma konfliktu pokoleń, że rodzice i dzieci mają podobne systemy wartości, że u obydwu grup ceni się spokój, stabilizację, rodzinę, przyjeźdźców, prywatność itd. No i decydenci i rządowi eksperci bardzo się cieszyli - jaki to miłutki obraz. A przecież z tego powodu należało się martwić, jak czynili to Godowski i Jawłowska w książce /chyba jedynej/ "Młodzież w procesie przemian"; martwić, że ta młodzież nie ma w sobie ekspansywności, szerszych niż rodzice horyzontów i już niczego nowego nie oczekuje od życia na samym starcie. Więc nie jest to efekt 13 grudnia i stanu wojennego. To jest efekt wieloletniej "pracy" systemu i to się nasiliło w latach 82-85. Lata 80 i 81 były nieudaną próbą przekroczenia takiego stanu, próbą wyjścia z depresji, wyrwaną się z tego dołu. Ale przecież, żeby to zmienić, po latach depresji, trzeba czasu. A jeżeli okazuje się, że mechanizm systemu jest nie do pokonania - następuje jeszcze głębsze cofnięcie w mechanizm przystosowania negatywnego.

ROZSTAWNE CYTATY

Esencję dziewiętnastowiecznej Rosji odkrył markiz Aatolph de Custine w czasie trzymiesięcznej podróży, której patronował rozmokły trakt, ginący we mgle, być może podobny do tego, jaki zapamiętał Józef Mackiewicz: "Jest on szeroki na rozwinięcie szwadronu kawalerii, miękki, zryty koleinami furmanek, pylny latem, błotnisty jesienią, dający cień podróżnikowi pieszemu, a w zimowe zawieje chroniący sanki przed zbłądzeniem z drogi". Dzieło markiza składa się z trzydziestu sześciu listów pisanych do przyjaciół, które zebrał w czterech tomach i opatrzył lakonicznym tytułem "La Russie en 1839".

Autor, któremu udało się połączyć talent Prousta z precyzją podręcznika historii, urodził się w niebezpiecznym dla artystów roku 1790 w cieniu zapracowanej gilotyny. Jej nóż spadł na szyję ojca i dziadka de Custine'a. Przyszły pisarz rósł "pod czułą opieką cudem ocalałej matki, pięknej Delphine", kochanki Chateaubrianda, przyjaciółki pań: Recamier i de Staël. W młodości przedstawiono go Goethemu, znał Talleyranda, bywał u Metternicha, przyjaźnił się z Balzakiem, Stendhalem, Chopinem, Heinem, Hugo i Baudelaire'm. Na próżno usiłowano zrobić z niego oficera. W dyplomacji przy Talleyrandzie na Kongresie Wiedeńskim popełnił sporo błędów. Ostatecznie karierę urzędniczą zdruzgotał incydent z roku 1824, gdy młody arystokrata odsłonił swoje skłonności homoseksualne, czego salony paryskie nie potrafiły mu wybaczyć. Od tej pory przyjaciele i wrogowie uznali go za bankruta noszącego wielkie nazwisko i postawili na nim krzyż. Heinrich Heine nazwał markiza "un demi-homme de lettres". Zmieniono zdanie dopiero w roku 1843, kiedy ukazało się sprawozdanie de Custine'a z podróży do Rosji.

Okoliczności powstawania dzieł literackich mają własną legendę. W roku 1835 zamieszkał u markiza Ignacy Gurowski, młodszy brat publicysty i polityka emigracyjnego, Adama Gurowskiego. De Custine, który żył wówczas z pewnym Anglikiem, postanowił wystarać się u cara o emnesticę dla Gurowskiego, i w tym celu udał się do Petersburga, omijając Polskę, ponieważ, jak sam mówił, współczując Polakom nie chciał pisać o ich licznych wadach. Jadąc przez Ems, Frankfurt i Berlin przybył do Lubeki, gdzie oberżysta dowiedziawszy się dokąd zdąży, próbował go odwieść od tego zamiaru twierdząc, że Rosja jest "złym krajem".

"- Zna pan Rosję? - spytałem go.

- Nie, ale znam Rosjan, wielu z nich przejeżdża przez Lubekę, a ja oceniam kraj po twarzach jego mieszkańców.

- Cóż pan takiego widzi w wyrazie ich twarzy, co miałoby mnie skłonić do zaniechania wizyty u nich?

- Monsieur, oni mają dwie twarze, nie mam na myśli lokajów, którzy mają tylko jedną, mówię o panach: gdy przybywają tu w drodze do Europy mają miny wesołe, swobodne, zadowolone; to konie, co się wyrwały na wolność, ptaki, którym otwarto klatkę; mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, wszyscy są szczęśliwi jak uczniowie na wakacjach; ci sami ludzie w drodze powrotnej wyglądają smutno, ponuro i niespokojnie: mówią niewiele, wyrażają się sucho; czoła mają zatroskane; z różnicy tej wnoszę, że kraj skąd wyjeżdża się z taką radością i doką powraca się z taką niechęcią, jest złym krajem".

De Custine wyruszył z Travemünde rosyjskim parowcem "Mikołaj I" i dotarł do Kronsztatu. Po przybyciu do stolicy został przyjęty na audiencji przez parę carską. Mikołaj I nie domyślił się jak szyderczy

portret jego despotycznych rządów sporządzi ten francuski arystokrata. Kiedy książka "La Russie en 1839" stała się głośnie w całej Europie, car komentuje to ze złością: "Moja wina, to ja ukatwiłem temu łajdaskowi przyjazd do Rosji". Markizowi nie udało się pomóc Gurowskiemu, zresztą nie było to potrzebne, ponieważ młodzieniec zrobił błyskotliwą karierę, o jakiej mu się nie śniło. Początkowo kochał się w sławnej aktorce, Rachel, po czym uwiódł i poślubił autentyczną infantkę hiszpańską, kuzynkę Izabelli II i miał z nią dziewięcioro dzieci. Żoną Ignacego Gurowakiego była cioteczna prababka obecnego króla Hiszpanii, Juans Carlosa. W każdym razie perypetie młodego emigranta polskiego stały się pośrednim powodem powstania przenikliwego obrazu dziewiętnastowiecznej Rosji. Podróż przez dzieło de Custine'a można odbyć rozstawnymi cytatami:

1. "Rosjanie wciąż jeszcze wierzą kłamstwu i iluzja ta zdumiewa mnie u ludzi, którzy mają w nim tyle praktyki. Nie znaczy to, że umysłom ich brak finezji i daru rozumienia: ale w kraju, gdzie rządzący nie pojęli jeszcze korzyści wolności nawet dla siebie samych, rządzący muszą odstraszać bezpośrednie następstwa szczerości. Jest się zmuszonym powtarzać raz po raz: tutaj wszyscy, lud i panowie, przypominają Greków z Bizancjum".

2. "Rosjanie mordują się wzajemnie nie zmieniając swego charakteru, spełniają tylko obowiązki. Oddziaływanie mechanizmów społecznych na ten posłuszny naród we wszystkich jego klasach jest tak silne; bezwiednie wpojone nawyki tak dominują charaktery, że najokrutniejsze akty zemsty wydają się tu podlegać jeszcze pewnej dyscyplinie. Zaplanowanych zabójstw dokonuje się systematycznie, ludzie uśmiercają ludzi po żołniersku, obrzędowo, bez złości, bez emocji, bez słów, ze spokojem straszniejszym niż szal nienawiści. Rzucają się na siebie, przewracają, miażdżą i idą po trupach jak części maszyny, obracające się regularnie na osi. Ta niewzruszoność pośród najstraszniejszych czynów, ta potworna bezwzględność w zamiarach, ten chłód w wykonaniu, ta milcząca zacieklność, ten niemy fanatyzm, ta - jeśli tak można się wyrazić - bezgrzeszność zbrodni; w tym zaskakującym kraju najbardziej niesłychanymi ekscesami kieruje jakiś sprzeczny z naturą ład; tyrania i rewolta idą tu w ramię, podając sobie wzajemnie krok.

Nawet krajobraz tutaj, monotonia pól, narzucają symetrię: zupełny brak odmiany w jednostajnym i pustym najczęściej terenie, brak jakiegokolwiek malowniczego akcentu na bezbrzeżnych równinach, gdzie jedno i to samo osiedle zdaje się prześladować podróżnego i podążać za nim jak zmora z krańca na krańce imperium; czego zaś nie stworzył w tym kraju Bóg, uzupełnia niezakłócona jednolitość politycznego i społecznego bytu jego mieszkańców".

3. "Ponieważ wszystko jest jednakowe, bezkres obszaru nie jest przeszkodą, by wszystko w Rosji działo się z czarodziejską punktualnością i równocześnie. Gdyby powiodło się dokonać w narodzie rosyjskim prawdziwej rewolucji, rzecz byłaby tak regularna, jak manewry pułkiem. Ujrzano by wsie zamienione w koszary i zbrojnych wykonawców systematycznego mordu opuszczających chaty tyralierą, w ordynku; od Smoleńska po Irkuck Rosjanie przystąpiliby do rabunku tak samo, jak marszerują w paradzie na placu przed petersburskim Pałacem Zimowym. Jednorodność taka stwarza pomiędzy naturalnymi dyspozycjami narodu i jego społecznymi nawykami harmonię, która może dać rezultaty niebywałe, zarówno w dobrym jak w złym.

Przyszłość świata jest ciemna; lecz jedno jest pewne, że ludy ujrzą niezwykle widowisko, które odegra przed nimi ten naród naznaczony przez los".

4. "Nigdy dość często powtarzać, że ich rewolucja tym będzie straszniejsza, że dokona się w imię religii: rosyjska polityka doprowadziła do stopienia kościoła z państwem, do zmieszania nieba z ziemią: człowiek, który widzi Boga w swym panu, jedynie z łaski cesarza spodziewa się raju".

5. "Rosja widzi w Europie łup, który prędkiej czy później przypadnie jej na skutek naszej wewnętrznej niezgody: podsyca u nas anarchię spodziewając się wykorzystać miły jej rozkład, bo z jej punktu widzenia korzystny: to nowa historia Polski w powiększeniu. Paryż od wielu lat czytuje dzienniki rewolucyjne, rewolucyjne pod każdym względem, opłacane przez Rosję. Europa - powiada się w Petersburgu - obrała drogę, którą szła Polska, spala się w czym liberalizmie, my zaś pozostajemy potężni właśnie dlatego, że nie jesteśmy wolni; znośmy ją - zrazo - cierpliwie, za naszą hańbę każemy zapłacić innym".

6. "Nie ma narodu trudniejszego do acharakteryzowania. Bez średnio-wieczna, bez starożytnych pamiattek, bez katolicyzmu, bez tradycji rycerskiej, bez szacunku do własnego słowa, wciąż bizantyjscy Grecy, o-gładzeni konwenansem jak Chińczycy, nieokrzesani czy choćby szorstcy jak Kałmucy, brudni jak Laponczycy, piękni jak aniołowie, ciemni jak dzicy /pomijam kobiety i paru dyplomatów/, chytry jak Żydzi, intry-ganci jak wyzwolenicy, opanowani i godni w ruchach jak ludzie Wschodu, okrutni w uczuciach jak barbarzyńcy, sarkastyczni i butni z rozpachy, podwójnie szycerzy - z usposobienia i z poczucia niższości, beztros- cy, lecz tylko na pozór. Rosjanie nadają się w istocie do spraw poważ- nych; wszyscy wystarczająco zdolni, by w sobie wyrobić wyrefinowany takt, lecz żaden nie dość wialkoduszny, by wzniesić się nad wychowa- nie; brzydziła mnie ta cecha, niezbędna by u nich żyć. Nieustannie ma- jący się na bacności - wydają mi się najbardziej godnymi współczu- cia ludźmi na świecie".

7. "W narodzie tym, pozbawionym awobody i woli, widać jedynie ciała bez duszy, i dreszczem przejmuję myśl, że na taką mnogość rąk i nóg przypada jedna tylko głowa.

Despotyzm jest mieszaniną niecierpliwości z lenistwem; przy nieco większej pobłażliwości ze strony rządu i nieco większej aktywności ze strony poddanych można by uzyskać te same rezultaty o wiele taniej; lecz coś z tyraniją?... okazałaby się zbędną. Tyrania to u narodów cho- roba z urojenia; przebrany za lekarza tyran wniósł im, że zdrowie nia jest naturalnym stanem człowieka cywilizowanego, i że im większe zagrożenie, tym arozsze musi być lekarstwo; w ten sposób hoduje się zło pod pretekstem leczenia. Porządek społeczny w Rosji kosztuje zbyt drogo, bym go podziwiał".

8. "Nie mam za złe Rosjanom, że są tym czym są; co im wyrzucam, to usiłowanie wydania się tym, czym jesteśmy my. Są jeszcze nieogładzeni; stan ten pozwala przynajmniej żywić nadzieję, ale widzę ich nieustan- nie trawionych żądzą imitowania innych nacji, a naśladować je sposobem małym, drwiąc z tego co kopiują. Mówię więc sobie: oto ludzie straceni dla stanu dzikości, a niedorośli do cywilizacji, i przychodzi mi na myśl straszne powiedzenie Woltera czy Diderota, zapomniane we Francji: "Rosjanie zgnili zanim dojrzeli".

9. "Kto się choć trochę wybije nad tłum zyskuje tym prawo, więcej, podejmuje zobowiązanie pomiatania innymi, którym winien przekazywać ciosy, jakie sam odbiera z góry; innymi słowy zło, które wyrządza, ma wynagradzać mu to, którego doznaje".

10. "Tutaj umieją tylko musztrować; umysły maszerują jak żołnierze; co wieczór wracając do domu obmacują się, żeby stwierdzić jaki noszą uniform, lustrują swe myśli by zbadać ich rangę, bowiem w tym kraju myśl segreguje się według osób; na takim a takim stopniu ma się lub figuruje taki a taki pogląd, a im wyżej się awansuje, tym mniej się myśli, czyli tym mniej ma się odwagę powiedzieć".

Oto rejeatr rozterek wystarczający na dziesięciu Dostojewskich.

EUROPA ŚRODKOWA: anegdota i historia

część II

17 Wizytówką środkowoeuropejskiej melancholii bywa często anonimowy skrót. Nuda codzienności niechętnie przedstawia się pełnym nazwiskiem, wymieniając tylko pierwszą literę. Lecz i to nierzadko jest indyferentne, przypadkowe. Musil oznacza miejsce akcji jako punkt, wybrany punkt W. Ziarno maku zastępuje cały wszechświat. Wszystko, co ważne, rozgrywa się wewnątrz, w wewnętrznej przestrzeni psychicznej.

Nie tylko miasto może utracić nazwę, podobnie ma się sprawa z człowiekiem. Wystarczy przypomnieć Kafkowskiego nietypowego bohatera, Józefa K. Któż to jest, co wiemy o jego ludzkiej kondycji? Z anonimowego zbioru wybrał Kafka jeden jedyny punkt, punkt K. Jest to identyczny proces redukcji, który u Musila i Kafki sprowadza pamięć do punktu biologicznej egzystencji. Codziennosc totalnie niweluje rzeczywistość, czyniąc z niej płaski, schematyczny obraz.

Mentalność środkowoeuropejską charakteryzują dwie podstawowe cechy: przygnębienie i przesadna wesołość. Jedno bez drugiego jest w gruncie rzeczy niemożliwe. Z melancholii rodzi się groteska, z groteski zaś pozostaje melancholia. Anonimowość zmienia miasto w labirynt, człowieka w figurkę ze starego mechanicznego zegara. Ahistoryczne życie jest nieustanną powtórką, zamkniętym cyklem. Józef K., bliźniacy manekinowi aniżeli żywej postaci, tuła się po anonimowym, obcym mieście. Melancholia wędrowca pogłębia się aż do egzystencjalnej rozpacz, groteska utożsamia się z absurdem.

Ociążyły intelekt Europy Środkowej zapada się nazbyt głęboko, moralizuje. Na drugiej zaś stronie narasta niepewność, skłonność do żartu, anegdota.

18 Człowiek śmieje się, ponieważ na więcej go już nie stać. Komizm czeski jest świadectwem sytuacji doprowadzonej do absurdu. Śmiejący się Szwejk jest w gruncie rzeczy w tym samym stopniu anonimowy, jak poważny Józef K. Wprawdzie Szwejk podaje swe personalia, lecz nie ma to dla nas większego znaczenia. W krótkim słowie odautorskim Haszek zapewnia nas, że Szwejk nie jest Napoleonem ani Aleksandrem Macedońskim, a tylko zwykłym, tuzinkowym mężczyzną, który nawet nie wie, jaką odgrywa rolę.

Historyczna buta jest dla Szwejka uczuciem absolutnie obcym. On nie podpalił świątyni w Efezie, jak Herostrates, ażeby trafić na łamy gazet i do szkolnych wypisów. Wielka i nieśmiertelna historia jest Szwejkowi serdecznie obojętna. Anonimowość to naturalny żywioł tej postaci. Szwejk nie potrzebuje już chować się za inicjał nazwiska. Jest niezborny, rozproszony, podzielony na niezliczoną ilość bśnalnych faktów lub historyjek. Nie da się go ująć w konkretne ramy – jego byt jest mistyfikacją.

W momencie zagrożenia anonimowość daje szansę uniku lub obrony. Człowiek wtula głowę, przykuca, aby nie być większym od pozostałych. Byt apływa z szarym tłumem, anonimową masą. Z nudy i obojętności powstaje program, ostrożność staje się najwyższą racją. Mały czeski człowiek robi się mniejszy niż w rzeczywistości. Indywidualność zostaje zastąpiona przez typ, model zbiorowej psychologii.

Człowiek odczuwający zagrożenie ucieka w przeciętność, w bezproblemowe życie z dnia na dzień. Monotonia codzienności zaczyna władać myśleniem, krokiem, językiem, zwyczajami, zachowaniami. Ideałem bytu

jest przeżycie. Mały człowiek ucieka do tego, co mu najbliższe, gdzie czuje się jak u siebie w domu. Biedermeier jest barykadą Europy Środkowej. Mały człowiek przykryty ciężką pierzyną banału przeczekuje epokę historii. We współczesnej anonimowości tłumu jedynie intelektualny arystokrata może się jeszcze maskować inicjałem nazwiska - ludowa anonimowość małych Szejkwów jest zdecydowanie bardziej wyrafinowana.

Był czeski w wieku dwudziestym przeżył kilka takich metamorfoz anonimowości. Jest to w zasadzie jeden długi proces przepoczwarzania. Każdy okres wymaga innej mimikry. Po wojnie przyszyły lata pięćdziesiąte - i proces trwa nadal. Rozwój typu przechodzi nową metamorfozę.

Współczesny człowiek ma za sobą już tyle przemian i maskarad, że często nie wie, kim właściwie jest - jakby od urodzenia był anonimem.

19 Melancholii, a ponadto jeszcze silniejszemu wrażeniu groteskowości ulega także Brunon Schulz. Życie młodego galicyjskiego miasteczka Drohobycz, gdzie pisarz był nauczycielem rysunków i prac ręcznych w miejscowym gimnazjum, jawi się jako majak, nierzeczywisty sen. Ludzie poruszają się w sposób nienaturalny, niczym wielkie kukły z panoptikum. Schulzowski "Traktat o manekinach" daje dokładny opis "wędzy uwieżnionej materii", bierny, przejściowy stan istnienia, "straszny smutek wszystkich błazeńskich golemów, wszystkich pałub, zadumanych tragicznie nad śmieszny swym grymasem". Jest wręcz absurdalne, że Schulz stał się subtelnym wrażliwym piewcą tak beznadziejnie nudnej, prowincjonalnej prozy. Wszystko jest u niego przerysowane, frapujące, barwne, podniecające, przenicowane, teatralne, kokieteryjne, groteskowe, komiczne, fałszywe. Schulz opiewa piękno śmietnika, ugoru, zapomnianego kąta Europy. Do najbardziej ulubionych metafor należą bujne chwasty, wszechobecny pył z osypujących się tynków, zaduch nie wietrzonych pomieszzeń, wszystkie zapachy rozkładającej się monarchii...

Należy powiedzieć, że chociaż twórczość Schulza przypada na lata trzydzieste, to jednak przesycona jest nostalgicznym marzeniem za stonkami przedwojennymi, powiedzmy z przełomu wieków. Austro-Węgry zniknęły w otchłani historii, lecz legenda o sędziwym monarsze jest wciąż żywa. Dla Schulza prowincjonalizm środkowoeuropejski nie stanowi tragedii, wręcz odwrotnie - jest idyllą, utraconym rajem wspomnień o minionej epoce ustabilizowanego, choćby nawet poniekąd gnuśnego, sennego życia.

Józef Roth, pochodzący również z Galicji, cierpiał na identyczny kompleks Edypa. Także dla Rotha ojcowski cesarz Franciszek Józef był ostatnią podporą galicyjskiego Żyda. Zagłada monarchii austro-węgierskiej nie oznaczała dlań drogi do wolności, lecz utratę jedynej ojczyzny.

20 /.../

21 Historyczna struktura Europy dzieli się na trzy bloki, trzy strefy historyczne: historyzm Zachodu, absurdalną historię Europy Środkowej oraz brak historii Wschodu. W zestawieniu z potężnym wschodnim despotyzmem demokracja zachodnie sprowadza się do wąskiego pasma wzdłuż wybrzeża Atlantyku. Potęga Wschodu jest tak ogromna, że stale zagraża Europie Środkowej, która broniąc się przed tym wpływem - opiera się na Zachodzie. Właśnie przez Europę Środkową przebiega płynna granica historii europejskiej.

Brak historii Wschodu pokrywa się w zasadzie z dziejami Rosji. Czas nawaństwa się, nie płynie, nie dzieje się, lecz wypełnia jako wieczność, zastany stan spraw. Przed nami stoi monolit codzienności, gdzie nie rządzą żadne prawa historyczne, a tylko despotyczna władza. Już Czaadajew twierdził, że Rosja nie ma historii. Ogłoszono, że jest psychicznie chorej i kwalifikuje się do osadzenia w areszcie domowym. Od tamtych czasów niewiele się zmieniło. Historia rosyjska ciągle jest mętna, nietypowa, monolityczna. Historycy mówią o braku fundamentu historycznego.

Na historię rosyjską wyłączny monopol posiada państwo. Każda zmiana rządów oznacza, że historycy muszą spisać dzieje na nowo. Odczuwalny jest brak naturalnej ciągłości w czasie, pamięci historycznej. Historyzm zostaje zastąpiony przez obowiązującą interpretację. W ten sposób historia jest systematycznie fałszowana, podporządkowywana panującej ideologii /.../. Despotyzmowi nie zależy na historii, ponieważ jest ona w swej istocie liberalna, respektująca prawo i człowieka.

Wschodni brak historii bardziej jest bliski naturze aniżeli społeczeństwu. Szeroka dusza rosyjska jest podmiotem niezróżnicowanym, nie podlegającym logice historycznej, a tylko instyngtom. To świat rytuału, gdzie nie panuje prawo, lecz siła, szczęście, los, łaska, podstęp, miłość i nienawiść. Prawo jest Rosjanom obce także dlatego, że jest bezosobowe, wprowadza rozróżnienie między ludźmi oraz nie daje zbawienia. Intelktualne wymogi prawa są krytykowane jako niestosowny przejaw europejskości, w warunkach lokalnych nie do przyjęcia. Prawda znaczy w Rosji więcej niż prawo. Z kolei władza absolutna musi zostać okupiona przez absolutną równość, absolutną sprawiedliwość - w postaci prawosławia lub komunizmu.

Rozbrat z historią leży u przyczyn rosyjskiego problemu. Z jednej strony codzienność, z drugiej piękne, wzniosłe idee usiłujące zdominować banał. On bóg ducha wyziera z całej twórczości Antoniego Czechowa. Z dusznej atmosfery nudy, melancholii i obojętności, z zatrzymanego czasu rozlegają się, niczym w malignie, ludzkie głosy przemawiające płomiennie w imię wzniosłych ideałów moralnych. Konflikt jest tragiczny. Piękna, wspaniała idea w praktyce zawodzi, nie ma bowiem wsparcia w tradycji, prawie ani historii. Znowu zwycięża bagno, żywioł i masa.

22 Po upadku Napoleona Rosja zaczyna odgrywać znaczącą rolę w polityce europejskiej. Obawa Europy Środkowej przed rosnącą potęgą jest uzasadniona, i to podwójnie: przed dominacją oraz przed wpływem rosyjskiego braku historii. Rosyjski modus vivendi jest bowiem w równym stopniu niebezpieczny jak despotyzm. /.../

Zwłaszcza Czesi byli narażeni na zrusyfikowanie pod płaszczykiem zjednoczenia Słowiańszczyzny. Już Palacký zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa rosyjskiego panslawizmu, który pośrednio był wspomagany przez Austrię, w następstwie ustanowienia dualizmu. Problem Europy Środkowej, zdaniem Palackiego, mogła rozwiązać tylko sfederalizowana trójjedyną monarchia. I jeśli Czesi będą w przyszłości optować za Rosją, będzie to z ich strony desperacki krok w celu osłabienia ucisku niemieckiego oraz węgierskiego.

W polemice z Makuszewem zakwestionował Palacký zrusyfikowanie Czechów w oparciu o zasadę wzajemności słowiańskiej. Dla Makuszewa narodowość czeska była tylko plemieniem w obrębie jednego wielkiego narodu słowiańskiego /czytaj: rosyjskiego/. Pierwszym krokiem do zjednoczenia miałyby być przyjęcie przez Czechów cyrylicy. Dla zagorzałego federalisty Palackiego, który zawsze bronił indywidualnej autonomii jako autentycznego przejawu wolności ogółu, wymóg taki był nie do przyjęcia. Swą polemikę kończy zdecydowanym sprzeciwem: "Pan Makuszew będzie musiał kontentować się tym, że w nas, Czechach, nie przyszłych Rosjan, lecz szentych ich przyjaciół upatrywać może - wszelako żałujący, że przyjeźdź sprawdzi się z obopólną wzajemnością. Za sprawą Opatrzności nie każdemu narodowi dane jest ekstensywnie być wielkim, lubo intensywnie wielkim być albo stawać się jest wedle woli i mocy każdego, który na sprawy ogólnoludzkie swych oczu nie zamknie".

Palacký przypisał małemu narodowi rolę nosiciela humanizmu, tolerancji, kultury. Mały naród nie ma i mieć nie może ambicji imperialnych, w sferze jego zainteresowań leżą inne sprawy. Kultura dla Czechów zawsze miała znaczenie egzystencjalne. Pomiędzy kulturą a polityką zawsze istniała ścisła zależność. Kultura dawała krajowi historię, a zarazem wprowadzała mały naród do historii światowej.

Idealnie byłoby, gdyby Europa Środkowa mogła zapożyczyć od Zachodu rozum, od Wschodu zaś uczucie. Jednakże tak nie jest i nigdy nie było. Oprócz Cyryla i Metodego nie mamy ze Wschodem nic wspólnego. Kultura przychodziła do nas zawsze z Zachodu, podobnie jak się nań orientowała. Jesteśmy w znacznie większym stopniu zachodni aniżeli wschodni. Emocjonalne manifestacje "słowiańskiej duszy" poskramiamy humorem. Dialog z Zachodem jest dla nas duchową koniecznością. Nasze problemy nie są obce ani Polakom, ani Węgrom, którzy także głoszą swoją przynależność do kultury zachodniej.

23 Historia Europy Środkowej dzieje się w zamkniętym pokoju. Dialektyka myślenia jest bogata, lecz nie są to myśli w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Każdy ma na sprawę własny pogląd, swoją rację. Lokalna dyskusja o historii przypomina kawiarnianą debatę o polityce.

W Europie Środkowej nawet rewolucja musi wyglądać jak farsa. Małe stosunki czynią małą historię. Wielkie wyderzenie historyczne przypomina przedziej ludowy festyn aniżeli rewolucję. Jan Nepomucen Nestroy, "środkowoeuropejski Szekspir", opisuje echa roku 1848 w Pikutkowie jako śmieszne spotkanie marionetek z historią europejską. Zaczyn rewolucyjny jest już z góry ograniczony przez wymiary naczyń. Być może zmienia się dekoracje, ale farsa trwa przez wszystkie akty. "Wszystkie elementy rewolucji, wszystko jątrzące, co gdzie indziej mają w słusznych rozmiarach, my w Pikutkowie mamy ledwie tycie. Mamy absolutnego tyranika, mamy nieodpowiedzialne ministerstwo, mamy biurokracyjkę, cenzurusię, państewko ma długi, na które nasze rączusie zapracować nie mogą - zatem musimy zrobić rewolucyjkę, dzięki rewolucyjce dochrapiamy się konstytucyjki i staniemy się wolnymi ludzikami".

Pikutkowo leży gdzieś w Europie Środkowej, ale nie ma sensu szukać go na mapie - wszyscy dobrze wiemy, o co chodzi. Historia europejska przelatuje nad głowami mieszkańców Pikutkowa, docierając do nich jako ciekawostka z "wielkiego świata". Fala rewolucji ledwie dociera do Pikutkowa. Dla małego miasteczka pośrodku Europy historia jest przede wszystkim wspaniałym widowiskiem. Każdy obywatel Pikutkowa to rasowy voyer, swojsko zwany po prostu gapiem. Przygląda się taki wydarzeniom z zainteresowaniem, ale na wszelki wypadek zachowuje do historii dystans. Wszyscy wolą się rewolucji przypatrywać, aniżeli ją robić. Jedyną odszłą "Rewolucji w Pikutkowie" nie mogła więc wyglądać inaczej. Kobiety pikutkowskie: Stać! Stójcie, chłopcy, stójcie!

Brzinkalowa: Dokąd to?

Brzinkal: Na rewolucję popatrzeć troszczykę.

Brzinkalowa: No, no, jeszcze ci się tam co przytrafi...

Szwabowa /do męża/: Marsz mi zaraz do domu!

Szwab: Nie, zónecko, muszę tam skoczyć, choćby na pięć minut.

Brzinkal: Kto wie, kiedy znowu będzie jakaś rewolucja.

Brzinkalowa: Nic z tych rzeczy!

Szwab: Umrę w domu z ciekawości!

Mężczyźni: My tam musimy!

Kobiety: Zostaniecie tutaj!

Mężczyźni: Za nic w świecie! Musimy zobaczyć rewolucję!

Rola kobiet, rządzących mężczyznom, jak winni zachować się w historycznej chwili, jest typowa dla Europy Środkowej. Rodzina to podstawa państwa, niestety. Umysł kobiecy nie akceptuje rewolucji, kobieta chce spokoju i zadowolenia z życia. Na płaszczyźnie małych stosunków o polityce dyskutuje się w knajpie, ale ostatnie słowo i tak należy do pani domu. Ideologia kobieca wywiera nieustanny wpływ na sposób myślenia mężczyzn Europy Środkowej.

/.../

24 Dla Europy Środkowej typowy jest koloryt małomiasteczkowy. Ludzkie figurki, historyjki oraz fetysze, banalna codzienność rozbita na detale - wszystko to tworzy specyficzną strukturę lokalną. Gemütlich-

keit biedermeieru środkowoeuropejskiego decyduje o wyborze gatunku. W Europie Środkowej nie wieszcie się epice, ale małym formom bulwarowym: grotesce, farsie, parodii...

Świat małych ludzi zawsze jest nieco małostkowy i śmieszny. Identyczną strukturę banalnego mikroświata znajdziemy u Tyla, Nestroya, Horvatha, Nerudy, Haszka lub Hrabala. Wszystkie ich ludzkie figurki, historyjki oraz fetysze mają coś wspólnego ze środkowoeuropejskim biedermeierem. "Opowiadania ze starej Pragi" nie są wcale tak oddalone od "Opowiadań z łasku wiedeńskiego". Także Szwajk jest w zasadzie zdegradowanym biedermanem - rubaszny, ale cwany chłopina, knajpiany gaduła, człowiek o mentalności drobnego rzemieślnika lub chałupnika.

Mały humanizm Europy Środkowej jest wytworem małych stosunków. Małego człowieka nie stać na radykalizm, to historyczny luksus. Środkowoeuropejczyk woli liczyć na umiarkowany postęp w granicach prawa. W matriarchalnym biedermeierze pierwsze miejsce zajmuje rodzina. Stąd też bierze się owa ostrożność mentalności środkowoeuropejskiej. Dopiero później można myśleć o sytuacji historycznej.

Europą Środkową rządzią nie wielkie idee, lecz małe stosunki. Jest tu humor, ale praktycznie nie występuje entuzjazm. Historycznej panoramy nie da się ogarnąć jednym spojrzeniem. Uwagę przykuwa zbyt wiele detali wiodących do drugorzędnych, ale dla Środkowoeuropejczyka ważnych spraw. Jest to podstawowa formuła Europy Środkowej. Figurki ludzkie, historyjki oraz fetysze stanowią najodpowiedniejszy materiał literatury środkowoeuropejskiej.

Jak zmienić małą formę w historyczny epos? Co uczynić z okruciami? Czy w Europie Środkowej może powstać powieść? Wydaje się, że powyższe pytania są na miejscu. Bez absurdałnej woltury z trudem można przełamać gatunkowy koloryt lokalnej scenarii. Haszek rozwiązał tę kwestię spontanicznie - przytaczając historyjki jedną za drugą usypał gigantyczną górę banału. Szwajk jest monstrum, historycznym i literackim. Historia jako idea została postawiona na głowie, powieść zaś jako forma epicka - przenicowana. "Szwajk" ma zminimalizowaną fabułę, za to mnóstwo banalnie groteskowych detali. Wszystko, co istotne, rozgrywa się w ramach historyjki, nawet wojna należy bardziej do tła, umieszczona jest na drugim planie.

Groteskowy epizod jest fundamentem historyjki, śmieszne wydarzenie stanowi podstawę anegdoty. Dziwaczna sytuacja powtarza się niezliczoną ilość razy, przekazywana jest jako przesłanie. Myślenie zbiorowe stopniowo dojrzewa do końcowej puenty. Dla Europy Środkowej anegdota jest klasyczną postawą wobec wszelkich spraw. Z ludowych pogwerek anegdota przechodzi do literatury, historyjka staje do konfrontacji z historią.

Literatura środkowoeuropejska transponuje strukturę rzeczywistości w formy literackie. Hipertrofia banału odciska się na metodzie i stylu. Figurki ludzkie, historyjki oraz fetysze wkraczają do literatury typu ludowego, tworząc barwny obraz plebejskiej rzeczywistości. Materiał i rękopis odznaczają się wielością mniej i bardziej istotnych detali. Mikrostruktura świata małych ludzi ma swój podział wewnętrzny, życie toczy się między przepięrzeniami.

Europa Środkowa to przyziemny labirynt, plaster banału. Wszystko rozgrywa się wewnątrz, na pokawałkowanej neurotycznie przestrzeni. Pierwszy lepszy rzut poziomy małych stosunków pozwala wnioskować o przyczynach skłonności do absurdu. Ahistoryczne, banalne labirynty szykują gagi, szoki, przypadki, niespodziewane groteskowe spotkania, tragicomiczne sytuacje lub anegdoty. Świadomość zbiorowa wymyśla najprzeróżniejsze inwektywy, pomówienia, plotki, przygody, legendy, pogłoski, kawiarniane bujdy, historyjki oraz lokalne zdarzenia.

Dla obcokrajowca, Żyda, intelektualisty lub materialisty labirynt banału zmienia się w ciasną przestrzeń, getto. Dla Szwajka labirynt to naturalny sposób istnienia, lecz dla Józefa K. środkowoeuropejskie getto jest cierpieniem.

25 Kiedy nadporucznik Lukasz przyjmuje Szwejkę do służby, ten serwuje mu historycykę o nauczycielu Marku, skończenie dumny przykład ludzkiej uczciwości. "Mój Boże, przecież i ja często plotę takie bzdury - pomyślał Lukasz - a różnica jest tylko w formie, w jakiej to podają". Szwejk zawsze ma na podorędziu jakąś historycykę, którą opowiada przy byle okazji. Kiedy zaś później dojdzie do konfliktu z pułkownikiem Fryderykiem Krausem w sprawie skradzionego psa, rozwścieczony Lukasz wygraża Szwejkowi: "Jesteście skończonym durniem, ale mówię wam, że mną żartów nie ma". W tym momencie Lukasz zaczyna poważnie wątpić w głupkowatą dobroduszość Szwejka - dociera doń, że historyjka jest dla tamtego przebiegłym wybiciem.

Lukasz ma rację. Szwejk opowiada o niby naiwnym, pozbawionym logiki, wesołym wydarzeniu z anegdotycznym podtekstem czy puentą. Cwaniactwo Szwejka nie wychodzi na jaw wprost, lecz opłótkami, poprzez opowiastkę. Zresztą przebiegłość zawsze manifestuje się w ten sposób. Wykazanie winy dobrem wojakowi jest trudne, ponieważ jego historyjki dopuszczają inną możliwość interpretacji. Jest oczywiste, że chodzi o wyrefinowaną mistyfikację... Jaki zatem sens mają opowiastki Szwejka - są komentarzami, modelowymi sytuacjami czy też tylko luźnymi przykładami?

Genialna powieść Haszka nie jest freskiem historycznym, raczej komiksem. Panoramiczny obraz I wojny światowej wypełniają drobne wydarzenia z życia, opowiastki, groteskowe epizody, anegdoty. Pustka wielkiej historii jest wypełniona przez przedwojenną materię życiową, przez lokalną historię. Zdegradowana lokalna banalność przeżywającego się biedermeieru zostaje wciągnięta do historii. Codziennosc małego człowieka nagle znajduje się pośrodku wojennych zdarzeń.

Okazuje się /i jest to chyba główne przesłanie powieści/, że Szwejk inaczej pojmuje wojnę, stosuje inne kryterium oceny sytuacji. Właśnie dlatego, że nie ma "zmysłu historycznego", historycznej optyki, nie stosownie komentuje obiektywny rozwój wydarzeń wojennych: opowiada swoje historyjki. Dla Szwejka wojna nie jest historią, lecz stanem bezsensownym, czyli "historią" niewłaściwą. Haszek stawia pojęcie historii do góry nogami, opisuje historię absurdalną. W dramatycznej chwili historycznej mały czeski człowiek zschowuje się, jak gdyby nigdy nic, jakby był u siebie w domu. Szwejk nie czym się nie przejmując, siedzi w swojej knajpce, popija piwo, bawi się, serwuje wszystkim swe opowiastki.

Haszkowski Szwejk nie ma zrozumienia dla historycznej ofiary na polu bitwy, jego życie biegnie innym torem. Cynizm Szwejka jest rezultatem braku świadomości historycznej. Szwejk nie ma poczucia ważnej misji, ponieważ dobrze wie, że nie odniesie żadnej korzyści z ewentualnego zwycięstwa. Nie poruszony Szwejk kroczy w poprzek historii i myśli po swojemu. Czy naprawdę po swojemu? Mistyfikacja tak mocno zlała się z naturalnością, że trudno odróżnić jedno od drugiego. Szwejk to poczciwiec, ale jest równie bezwzględny. Banalna historyjka nie ma dydaktycznej puenty. Musimy przyjąć Szwejka bez retuszu, jako fakt, jako monstrum. Szwejk nie jest metaforą ani symbolem, lecz hieroglifem egzystencji.

W Haszkowskim antyeposie powieściowym anonimowość zderzyła się z historią Europy. Ponieważ Szwejk nie jest charakterem indywidualnym, ale typem psychologii zbiorowej, należy zbadać warunki ogólne oraz przyczyny jego powstania. Skąd bierze się jego skłonność do anegdotyzowania, jaką ma przeszłość historyczną i jaką przyszłość, które z cech społecznych go stworzyły? Haszek nie dał nam opisu psychicznych procesów zachodzących w jednostce, lecz schemat świadomości zbiorowej. Bez analizy stosunków środkowoeuropejskich Szwejk jest bezwolnym kłownem, statystą, któremu nakazano odegrać dużą rolę. Wszystko to wygląda jednak nieco inaczej.

26, 27, 28, 29, 30 /.../

31 Intelektualista czeski akceptuje Szwejkę pod jednym warunkiem: Szwejkę literacki - tak, ale bez jego szwejkowstwa. Intelektualista, który zawsze przejawia ciągoty ku moralistycy, nie może pogodzić się z wątpliwą, nie wyjaśnioną do końca egzystencją. Bliższy jest mu Józef K. aniżeli Szwejk. Józef K. przynajmniej poszukuje, Szwejk natomiast jedynie vegetuje - żyje jedynie po to, by istnieć.

Klasyczny czeski intelektualista jest z zasady podmiotem nieustępliwym, nieprzejednanym. Trwa przy swoich racjach z uporem godnym lepszej sprawy. Jest nieelastyczny, konserwatywny, niechętnie odnosi się do wszelkich zmian. Jest romantykiem, a jednocześnie moralistą. Prawda jest dlań ważniejsza od poznania. Krótko mówiąc, na intelektualistę czeskim odciśnie zbyt mocno swe piętno gotyk i reformacja, brakuje mu lekcji renesansu. Mamy wyłącznie samych Husów. Sztitnych, Chelczickich, nauczycieli narodu, braci czeskich, uczniów Masaryka itp. W takiej tradycji, rzecz jasna, nie ma miejsca dla humoru.

Z jednej strony nasz intelektualista jest naiwny jak dziecko, z drugiej zaś cechuje go podejrzliwość. Jedna cecha nie wyklucza drugiej, ponieważ nie istnieje myśl krytyczna, zdolność do analizy. Dynamika podmiotu jest dla trzeźwego, gotyckiego ducha czeskiego intelektualisty czymś absolutnie obcym. Prawda zwycięży - jeszcze tylko w ten slogan może wierzyć mały czeski naród. Prawda zwyciężyć musi, bowiem jest to prawda absolutna.

W Czechach od niepamiętnych czasów upór podniesiony został do rangi najwyższego przymiotu moralnego. Nieustępliwy człowiek ma rację, bowiem przy niej obstaje. Być może tę rację i ma, ale za jaką cenę? Jego uparte trwanie przy swojej racji uczyni z niej dogmat. Nadal będzie racją, tyle że skostnieją, nieprzydatną w życiu, racją absolutną samą dla siebie.

Intelektualista czeski chętnie wdziewa włosiennicę czeskich braci, nie przejawia skłonności artystycznych. Manifestuje swą bliskość z ludem, aczkolwiek wcale nie jest doń tak zbliżony, jak mu się często wydaje. Jest żarliwym kaznodzieją, dobrym nauczycielem, ofiarnym budzi-cielem świadomości narodowej, gorącym patriotą, miłośnikiem języka oj-czystego, człowiekiem postępowym. Jednakże rzadko kiedy myślicielem w pierwotnym tego słowa znaczeniu. Krzewi oświatę, przypisując inte-ktowi misję szczególną. Niepotrzebnie wszak spala swe siły w owej "służbie narodowi", cierpiąc na przedziwny kompleks. Nasz naród nigdy nie miał filozofów, wszyscy pożytkowali rozum na coś innego aniżeli myślenie. Niestety, także filozofia Tomasza G. Masaryka zawiera wszyst-kie złe cechy czeskiego intelektualizmu. Masaryk wyjaśnia, poucza, in-spiruje lecz nie potrafi ostro sprowokować, sprowadzić logikę do para-doksu.

Charakter czeskiego intelektualisty wypracowała czeska historia. Myśl czeska nie miała nigdy dość czasu, aby mogła dojrzeć, osiągnąć postać doskonałą. Ciągłe zaczynamy od nowa, ciągle do czegoś nawiazu-jemy - istnieje zatem zapotrzebowanie na nauczycieli. Przeżywamy nie-ustanny kryzys duchowy. Historia czeska jest luźnym tokiem wydarzeń. Zadanie czeskiego intelektualisty polega wobec tego na uporczywym wy-szukiwaniu związków między nimi, on jednakże nie ma wsparcia w wiel-kiej tradycji, tak jak np. jego francuski kolega. Siły intelektualne są podporządkowane potrzebom rekonstrukcji historii czeskiej.

Nieszczyśny czeski moralizm to właściwość niejako wymuszona. Upór i nieustępliwosć są odruchami nabytymi sztucznie, cechami chroniącymi intelektualistę przed "utrataą rozumu". Jednakże statyczne pojmowanie intelektu utrudnia komunikację, dopomagając jednocześnie powstawaniu sekciarstwa. Stąd bierze początek nietolerancja, zarozumiałość, a do uporu i nieustępliwosci dochodzą jeszcze: zgorzknienie, nieszczerosć i sarkazm. Zadufany czeski intelektualista ulega sceptycyzmowi: nie da się zwojować niczego z narodem Szwejków. W decydującej chwili brakuje czeskiemu bratu wyzwalającego humoru.

Jeśli czeski intelektualista stanie twarzą w twarz ze Szwejkiem, musi sobie wówczas uświadomić, że to właśnie on niweczy jego dzieło. Śmiejąca się "czeska hołota" gładko pokonuje wszelkie problemy, kłopoty i przeszkody. Etyka jest zaletą absurdalną. Czeski intelektualista musi siedzieć ze Szwejkiem przy jednym stole, tylko o czym ma z nim rozmawiać? W takiej sytuacji niczym na zawołanie zjawia się sobowtór - Józef K. Intelektualna "kafkiada" zadomowiła się w Czechach na dobre, pomieszanie z poplątaniem sięga szczytu.

32, 33, 34, 35. /.../

36 Po drugiej wojnie światowej intelektualista czeski ponownie stawia kwestię egzystencji narodowej. Jaką powziąć decyzję, czyją wziąć stronę? W reaktywowanym piśmie "Kritický měsíčník" /Miesięcznik Krytyczny/ już w roku 1945 Wacław Czerny ogłasza znaczący szkic "Między Wschodem a Zachodem". Jak scalić zachodnią tradycję czeskiej kultury z nową rzeczywistością sowieckiej Rosji? Nie jest to nota bene kwestia należąca li tylko do sfery kultury, lecz o pierwszorzędnym znaczeniu politycznym.

Dla frankofila Czernego Zachód to przede wszystkim Francja, Anglia, jakby nie zauważa, ta bowiem jest Europą same dla siebie, podbite Niemcy zaś nie mają zwolenników. Skoro Europa Zachodnia jako tradycyjna całość jest osłabiona, podzielona i niejednorodna, tym bardziej jednolity oraz wzmocniony jawi się Wschód. Powojenna sympatie prosowieckie są bez wątpienia silne, i to w takim stopniu, że dylemat "Wschód czy Zachód" łatwo może zostać rozstrzygnięty na korzyść Wschodu.

Czerny próbuje rozwiązać nową sytuację w drodze wielkiego akademickiego kompromisu, czymś w rodzaju humanistycznej syntezy. Ani Wschód, ani Zachód, lecz Zachód i Wschód. Nowa kultura winna być "autentycznie ludzka", winna czerpać z doświadczeń obu partnerów. Związek kultury czeskiej z Zachodem jest dla Czernego najzupełniej oczywisty, pozostający poza wszelką dyskusją, ze Wschodem zaś łączą nas więzy pokrewieństwa słowiańskiego, a zatem synteza jest możliwa. Autor szkicu przypomina tradycyjne dziewiętnastowieczne "pielgrzymki" do Moskwy, zainteresowanie literaturą rosyjską, dawne rusofilskie idee... Nie wspomina jednak o krytycznych głosach Palackiego, Masaryka czy Havliczka - zapewne w danym momencie historycznym byłyby one nie na miejscu...

Widać rozważania Czernego dotyczyły kwestii doniosłej, bowiem w kolejnym numerze "Miesięcznika Krytycznego" podejmuje ją na nowo. Pod głównym tytułem pojawił się dodatkowy podtytuł: "W sprawie kultury socjalistycznej w Czechosłowacji". Czerny najwyraźniej zdaje sobie sprawę z faktu, że Czechosłowacja - kraj ewidentnie przynależący do Zachodu - jako pierwsza wkracza w sferę wpływów rosyjskich. Dla Czernego stanowi to historyczny przywilej, z którego należy skwapliwie skorzystać, dając pozytywny przykład całej Europie. Nie wolno nam, zdaniem Czernego, nie podjąć roli "zwierciadła całego świata". Nareszcie została określona nasza funkcja w postaci idealnego środka, historycznego miejsca między Wschodem a Zachodem! Właśnie tutaj powinna narodzić się nowa kultura humanizmu socjalistycznego!

Powojenny entuzjazm Czernego jest całkowicie zrozumiały. Po latach cierpień spoglądano w przyszłość z optymizmem. Lecz czy rzeczywiście był to entuzjazm? A jeśli Czerny usiłował ratować to, co się jeszcze dało? Czy humanistyczna synteza nie jest przypadkiem rozwiązaniem niejako wymuszonym przez okoliczności? Jak w inny sposób obronić się przed siłą Wschodu, zachowując przy tym tradycję kraju o orientacji zachodniej? W całym szkicu nie znajdziemy ani jednej wzmianki o Europie Środkowej, mowa jest wyłącznie o Zachodzie i Wschodzie.

37 Zagadnienie czeskiej egzystencji narodowej wypłynęło publicznie po raz pierwszy w liberalnym okresie przed rokiem 1968. Przywołano po-

nownie fakty po części zakazane, po części zapomniane.

Także dla Milana Kundera Europa Środkowa stała się osobistym ważkim problemem intelektualisty i pisarza. Wystarczyło, by wspomniał H. G. Schauera - reakcja partyjnych działaczy była natychmiastowa. Kundera poruszył kwestię nazbyt drażliwą, o której mówić "nie należało". Na IV zjeździe pisarzy czechosłowackich otwarcie przypominano sprawę stosunku do historii, nieoczywistości czeskiego bytu. Kundera powiada: "Dla wielkich narodów europejskich z tzw. klasyczną historią kontekst europejski jest czymś naturalnym. Jednakże na przestrzeni dziejów Czesi mieli na przemian okresy czuwania i snu - przegapili niektóre z ważnych faz rozwoju europejskiego ducha, skutkiem czego sami musieli nadrobić zaległości, tworzyć i przyswajając ów europejski kontekst. Nic i nigdy nie dane było Czechom z natury, ani ich język, ani ich europejskość. Także ich przynależność do europejskiej rodziny jest odwiecznym albo-albo: albo pozwolić czeszczyźnie, by zesza do roli jednego z europejskich dialektów, a swej kulturze - europejskiego folkloru, albo być jednym z narodów europejskich w całym tego słowa znaczeniu".

Emigrant Kundera bynajmniej nie stracił zainteresowania historią - wręcz odwrotnie, jego refleksje przybrały postać bardziej konkretną. Oprócz twórczości strictly literackiej zjawił się u niego niezależny nurt esejistyczny. Kundera z uporem powraca do sytuacji czeskiej, traktując ją jako szerszy problem historyczny. Jego refleksje rządzą się specyficzną logiką, tok myślenia ulega samodzielnej ewolucji. Kundera coraz silniej uświadamia sobie, iż myślenie kategoriami tradycyjnego patriotyzmu nie wystarcza - należy poruszać się po obszarze wytyczonym przez historię Europy. Wychodząc od kwestii czeskiej /poruszonej na zjeździe/, pisarz przechodzi do pozornie kosmopolitycznego problemu Europy Środkowej. Jest to wszak naturalna konsekwencja toku rozumowania, przedstawionego na IV zjeździe w roku 1967.

"Francuski" esej Kundery pt. "W sprawie kulturalnego testamentu Europy Środkowej" broni interesów narodowych równie otwarcie, jak wystąpienia praskie. Zagranica musi zdać sobie sprawę z faktu, że nie chodzi o likwidację jednego małego kraju, lecz o likwidację części Europy. Kundera nie ogranicza się do czeskiego losu, jego szkic dotyczy powojennej Europy jako całości. Identycznie ma się sprawa z kulturą, która jest zresztą głównym obiektem refleksji. Nie chodzi zatem wyłącznie o sztukę czeską! Kundera nie przywołuje jedynie Haszka i Kafkę, ale też Freuda, Schönberga, Musila, Bartoka, Schulza, Martinu, Gombrowicza, Holana, Vanczurę, Dery'ego czy Formana.

Tekst Kundery zawiera wiele prawdy, a jeszcze więcej mądrości i smutku. Uczucie nieustannie oddalającego się zaniku, "obsesja rozpadu" jest gorzkim doświadczeniem Europy Środkowej, jej ciągłą frustracją. Przyszłość nie jest tu powodem do patosu. Środkowoeuropejczyk na własnej skórze doświadcza niekonsekwencji polityki europejskiej, następstwa której pokaże dopiero dalszy rozwój wypadków. Kundera słusznie wypomina zachodniemu światu jego niefrasobliwość, krótkowzroczność, niezdolność widzenia stanu faktycznego. Konstatuje z goryczą: "Pierwsi uciekinierzy z Austrii, którzy w latach trzydziestych schronili się we Francji i w Anglii, byli zszokowani niefrasobliwą obojętnością swych gospodarzy. Odnosili wrażenie, że ich własne doświadczenia pozwoliły im wyprzedzić Zachód o całą generację. My, którzy uciekliśmy z laboratorium historii, jakim jest Europa Środkowa, odnosimy takie wrażenie także dzisiaj".

38 Europa Środkowa jest dziś pojęciem zrozumiałym chyba już tylko dla meteorologów. Niekiedy dowiadujemy się, że w Europie Środkowej wystąpi zachmurzenie duże lub małe, będzie pochmurnie lub słonecznie. Żadnych innych doniesień. Czasem spadnie deszcz. Wiadomości są nazbyt ogólnikowe, aby mogły nas usaty fakcjonować. Należy dążyć do sprecyzowania tego pojęcia.

39 W sytuacji współczesnego zasadniczego podziału Europy na Wschód i Zachód nie ma miejsca na małoszkowe problemy lokalne. Klasyczna Europa jest podzielona jednym ostrym cięciem. Granica jest wyrazista jak nigdy dotąd. Jedno świśnięcie pańskiego bata nad głowami milionów przedzieliło w poprzek stary kontynent. Granice przecina nie tylko kraje, ale i narody, miasta, ludzi... Aktualnie mamy dwa państwa niemieckie i dwa Berliny. Do niedawna Niemcy były największym wrogiem Europy Środkowej, teraz zaś Niemcy wschodnie są składową socjalistycznej Europy Środkowej, i nieważne, czy pojęcie to traktujemy jako ideę, czy też jako fakt rzeczywisty.

Tradycja Europy Środkowej jest dziś najbardziej żywa wśród Węgrów. Monarchia habsburska zaspokoila w dużym stopniu ich narodowe ambicje, dlatego też nie są skazani na tak mieszane odczucia jak Czesi. Tradycyjna środkowoeuropejskość w wydaniu austro-węgierskim jest dla Węgrów nadal atrakcyjna.

Europa Środkowa to kadłub nieustannie omywany przez historię. Tak właśnie ujmuje zagadnienie Akos Puskes, który zatytułował swój esej wielce wymownie: "Powszechny opis historii europejskiej". Żyje się z resztek tego, co jeszcze pozostało. U Puskasa pobrzmiwa ton identyczny jak u Kundery. Przecież pomiędzy ciągłą powrozyczna egzystencją a wizją wiecznego początku różnica jest nader mała. Gorycz bytu środkowoeuropejskiego stanowi osobiste doświadczenia obydwu pisarzy.

Współczesną rzeczywistość Europy Środkowej odnajdziemy poza historią - w mentalności ludzi, w codziennym szarym życiu, ale także w sztuce, przede wszystkim w literaturze. Przywykliśmy już od dawna, że w Europie Środkowej literatura zastępuje politykę, że świadomość społeczna stwarza kulturę. Zakorzeniona iluzja wzajemności wszechświśńskiej powoduje, że literatura czeska szuka kontaktów z najbliższą jej literaturą słowiańską - oczywiście polską. Stosunki takie istnieją, przykładów można by podać bardzo wiele. Lecz i literatura węgierska ma takie same cechy środkowoeuropejskie, kto wie, być może nawet wyrazistsze. Niestety, za sprawą bariery językowej na ogół nie wiemy, iż Węgrzy, podobnie jak Czesi, posiadają doskonałe wyuczucie groteskowej banalności, absurdu i humoru. Wystarczy porównać dwie nowele - "Pociągi pod specjalnym nadzorem" Bohumila Hrabala oraz "Rodzinę Tothów" Istvana Orkenyi. Obie prozy przemawiają tym samym językiem, identycznie ustosunkowują się do podejmowanych kwestii. Oba autorzy konfrontują mentalność młodych ludzi z wielką historią. I tu i tam towarzyszą śmierci niestosowne żarty, tragizm miesza się z groteską. Mamy do czynienia z zupełnie banalnymi bohaterami. W II wojnie światowej Szwejk nie jest już możliwy, byłby nadzbyt wielką indywidualnością. "Humor wojenny" występuje w nowej postaci - został zatowimizowany, obdzielono nim większą liczbę osób, aby stał się nieuchwytny. "Czesi, wiecie, co to Czesi? - spytał radca Murarick. - To śmiejące się bestie!".

40 Mówić o problemach - to mało, problem jest dobry do akademickiej dyskusji. Bardziej adekwatne byłoby mówienie o kłopotach. Problem można jeszcze rozwiązać, natomiast z kłopotami sprawa się komplikuje. Kłopoty ciągną się, człowiek nie potrafi łatwo ich się pozbyć. Problem ma charakter racjonalny, kłopoty zaś odczuwamy bezpośrednio, fizycznie.

Europa Środkowa bez wątplenia zawsze miała kłopoty z historią. Nigdy nie był to wyłącznie problem historyczny, sprawa koncepcji dziejów. W Europie Środkowej historia dotyka człowieka wprost - i to jest właśnie ów kłopot. Wielka historia fizycznie napiera na ludzki byt. Jeśli człowieka bolą plecy od wymuszonego pochylania się, wówczas na pewno nie jest to problem, lecz kłopot. Zwykły Środkowoeuropejczyk nie uniknie tak łatwo historycznego losu.

Kłopoty należą do życia, podobnie jak trudności. Kłopoty zawsze są

banalne, nie zmuszają do głębszych przemyśleń. Człowiek w życiu codziennym nie interesuje się historią, lecz sprawami lokalnymi. Tak to już w życiu bywa - człowiek nie troszczy się o życie, za to życie troszczy się o człowieka. Kłopoty istnieją obiektywnie, wszakże nie można im poświęcać zbyt wiele uwagi. Zreaztą człowiek potrafi przyzwyczaić się do bólu w plecach.

Jak zatem sobie ulżyć, jeśli nie dowcipem? Historyjka jest żartobliwym komentarzem wielkiej historii, drobnym przypiskiem na marginesie podręcznika dziejów. Ostatecznie miarą wszytkiego jest człowiek. Anegdota środkowoeuropejska udowadnia absurdalność historii. Jeśli historia obroni się przed anegdotą, oznaczać to będzie, że ma swój "głębszy sens". W przeciwnym razie będzie tylko zwyczajnym ciągiem zdarzeń.

JÓZEF K.

Przełożył MACIEJ PRAŻAK

/Tekst opublikowany w paryskim kwartalniku "Svědectví" nr 63/1981 - fragment większej całości/

Czy Europa Środkowa istnieje ?

1

Środkowa Europa powróciła. Przez trzy dekady od 1945 roku nikt nie mówił o Europie Środkowej w czasie terażniejszym: było z tym jak z Ninią i Tyrem. W krajach niemieckojęzycznych wydawało się, że słowo "Mitteleuropa" umarło wraz z Adolfem Hitlerem, straszac tylko jako "Mitropa" z wagonów reatauracyjnych kolei niemieckich. Nawet w Austrii, jak zauważył były kanclerz Fred Sinowatz, jeszcze 10 lat temu nie wolno było nawet wspomnieć słowa "Mitteleuropa". W Pradze i Budapeszcie idea Europa Środkowej wciąż jeszcze była chokubiona w prywatnych rozmowach starszego pokolenie, ale ze sfery publicznej zniknęła tak całkowicie, jak na Zechodzie. Pojaźtański porządek dyktował ścisłą i jedyną dychotomię. Europa Zachodnia milcząco zaakceptowała ją przez zaliczenie do kategorii "Wschodnia Europa" wszystkich tych części historycznej Środkowej, Środkowo-Wachodniej i Południowo-Wschodniej Europy, które po 1945 roku znalazły się pod dominacją sowiecką. Wspólnota Europejska dopełniła tego chwytu semantycznego przez uzurpowanie sobie tytułu "Europa" bez przydawki.

W ciągu ostatnich kilku lat zaczęliśmy znów mówić o Europie Środkowej i to w czasie terażniejszym. Te nowe dyskusje zrodziły się nie w Berlinie czy Wiedniu, ale w Pradze i Budapeszcie. Człowiek, który bardziej niż ktokolwiek inny nadał im rozpędu, to Czech Milan Kundera /patrz jego słynny obecnie esej "Tragedia Europa Środkowej" w The New York Review, 26 kwiecień 1984/. Później Niemcy i Austriacy zaczęli gorliwie na różne sposoby rehabilitować niegdys tak bsrdo im.bliskie pojęcie. Wschodnioniemiecki przywódca, Erich Honecker, mówi o niebezpieczeństwie wojny nuklearnej w "Mitteleuropa". Zachodnioniemiecki socjaldemokrata, Peter Galtz, mówi, że Republika Federalna jest strażnikiem kultury "Mitteleuropu". Zaś Wiedeń Kurta Waldheima gościł ostatnio symposium pod elektryzującym tytułem "Heimat/ojczyzna/Mitteleuropa". Dwuznaczny przyczynek do nowej aktualności idei Europy Środkowej dało się słyszeć nawet z centralnego organu PZPR, "Trybuny Ludu", która w początkach tego roku opublikowała złośliwy atak na to, co nazywała "Mitem Europy Środkowej".

Istnieje pewien podstawowy sens, w jakim termin "Europa Środkowa" /lub Europa Środkowo-Wschodnia/ jest rzeczywiście użyteczny. Jeśli tylko przypomina amerykańskiemu czy brytyjskiemu czytelnikowi gazet, że Berlin Wschodni, Praga i Budapeszt nie leżą w tym samym regionie co Kijów i Władywostok, że Syberia nie zaczyna się na przejściu granicznym w Berlinie - to służy dobremu celowi. Również, jeśli sugeruje amerykańskiemu lub brytyjskiemu studentom, że uniwersyteckie studia nad tym regionem mogą być czymś więcej niż przypisami do sowietologii. Lecz oczywiście głosy z Pragi i Budapesztu, które zainicjowały tę dyskusję, oznaczają coś o wiele większego i głębszego, gdy mówią o Europie Środkowej.

Opublikowanie w języku angielskim najważniejszych esejów politycznych trzech wybitnych pisarzy daje nam sposobność zbadania tego nurtu i rzeczywistości. Byłoby absurdem twierdzenie, że jakiś pisarz jest "reprezentantem" swego narodu, a zresztą Václav Havel, Adam Michnik i George Konrád to różni twórcy, działający w zupełnie odmiennych warunkach.

Havel jest niemal ogólnie znany za intelektualnego rzecznika niezależnych czeskich intelektualistów, jakkolwiek istnieje duża różnorodność poglądów w obrębie Karty 77 /co widać z esejów innych sygnatariuszy Karty 77 zebranych pod nadaniem przez Havela tytułu. "The Power of Powerless" /Siła bezsilnych/. Jego eseje "polityczne" to bogate, poetyckie, filozoficzne medytacje, poszukujące głębszego sensu doświadczenia, "wyrwijące słowa z korzeniami", jak określił to Karl Kraus, które rzadko raczą zająć się polityczną powierzchnią rzeczy. /On nigdzie nawet nie wspomina nazwiska któregośkolwiek z komunistycznych władców Czechosłowacji. Wspaniała pogarda!/. Havel, od swego początkowego esaju "The Power of the Powerless" /Siła bezsilnych/, napisanego jesienią 1978 r., poprzez adres wygłoszony z okazji przyznania mu doktoratu honoris causa przez Uniwersytet w Toulusie w 1984 r. aż do listu otwartego do zachodnich ruchów pacyfistycznych, opublikowanego w 1985 r., jako "The Anatomy of a Reticence" /Anatomia powściągliwości/, jest bardzo konsekwentny. W tym co pisze słychać ciszę domu na wsi albo celi więziennej - za udział w Komitecie Obrony niesprawiedliwie prześladowanych /VONS/, Havel sam był niesprawiedliwie prześladowany i uwięziony od 1979 do 1983 - spokojny głos człowieka, który miał dużo czasu na samotną refleksję, dramaturga wtłoczonego przez okoliczności i nekaz sumienia, a nie przez temperament działacza politycznego, do roli "dysydenta". Zresztą jego pogarda dla polityki jest również charakterystyczna dla Czechosłowacji, gdzie ludziami na ogół trudno jest wyobrazić sobie, aby cokolwiek ważnego mogło się kiedykolwiek zmienić na nieruchomej, zakrzepłej powierzchni husakowskiego sterczego, "znormalizowanego" reżimu.

W odróżnieniu od Havela, Michnik widział trzęsienie ziemi w Polsce. Z wykształcenia historyk, jednak większą część swego życia spędził aktywnie zaangażowany w działalność opozycji politycznej. Jako centralna postać KOR-u a następnie doradca "Solidarności", Michnik, inaczej niż Havel czy Konrád, ma świadomość, że w tym co pisze, jego czytelnik będzie poszukiwał aktualnej wskazówki politycznej. Działacze podziemnej Solidarności, studenci zaangażowani w niezależnym ruchu wydawniczym oczekują od niego /i innych/ praktycznych odpowiedzi na pytanie "Cò robić?". To wszystko nadaje ostrzejszy polityczny sens jego pracy, ale także czyni ją bardziej kontrowersyjną.

Podobnie jak Havel, Michnik jest bohaterem dla wielu przedstawicieli swego narodu, zaś w odróżnieniu od niego jego poglądy są zeżarcie dyskutowane. Tradycja KOR-u, której jest on chyba najbardziej wymownym rzecznikiem /z pewnością najbardziej klarownym esejistą/ rywalizuje o popularność w Polsce z poglądami, które można scharakteryzować, z dużym przybliżeniem, jako katolicki pozytywizm /w bardzo specyficznie polskim sensie tego słowa/, katolicki nacjonalizm, liberalizm, liber-tarianizm lub nawet neokonserwatyzm. Zdumiewające, że większa część

jego prac została napisana w więzieniu i przemycona na zewnątrz pod nosem dozorców więziennych generała Jaruzelskiego. /Oprócz prawie 300 stron esejów politycznych, w tym "Rzecz o kompromisie", napisał także 285 stron esejów literackich/. Jego styl jest często polemiczny, pełen gryzącej ironii - zgrzyt pilnika o krstę więzienia - modulowany jednak przez subtelne poczucie moralnej odpowiedzialności oraz żywą inteligencję polityczną. Podobnie jak Havel, prezentuje on wielką konsekwencję swojej myśli politycznej, począwszy od eseju "Nowy ewolucjonizm" w 1976 r., do "Listów z więzienia" z 1985 r. /po raz pierwszy opublikowanych po angielsku w "The New York Review/ oraz najnowszego eseju "Rzecz o kompromisie", który, jak dotąd, ukazał się tylko w Polsce.

Jeszcze inny jest Konréd. Pisze on nie w więzieniu i z więzienia, ale w Wiedniu albo z Berlina Zachodniego. W tle jego długich dygresyjnych rozpraw słyszemy nie trzaskanie drzwi celi, ale brzęk filiżanek kawy w Café Londtmanna, albo towarzyski gwar seminarium ruchu pokojowego. W swojej książce "Antypolityka" /niemiecki podtytuł: Mitteleuropäische Meditationen - Medytacje środkowoeuropejskie/ i kolejnych artykułach, Konréd, wybitny pisarz i socjolog, rozwinął coś, co nazwałbym późnym stylem młodzieżowym: barwnym, bogatym, ozdobnym. "Antypolityka" to mieszanina idei, podejmowanych jedna po drugiej po to, aby się nimi pobawić, przeformułować, a następnie porzucić dla innych ładniejszych, młodszych /choć niestety przeciwstawnych/ idei, które podjęte i pogłaskane przedstawi w nowej formie kilka stron dalej. Wszystko to czyni eseistykę Konrédá jednocześnie pobudzającą i drażniącą. Wbrew rozpowszechnionej na Zachodzie opinii, niewielu ludzi w Budapeszcie uważa Konrédá za postać "reprezentatywną", nawet w tak ograniczonym sensie jak są nimi Havel czy Michnik. Z drugiej strony trudno im wskazać kogokolwiek innego, kto ogarnąłby w bardziej "reprezentatywny" sposób choćby połowę problemów zawartych w dziele Konrédá.

Tak więc Havel, Michnik i Konréd to bardzo różni pisarze, zajmujący różne miejsca w ich własnych krajach. Żaden z nich nie jest w pełni "reprezentatywny", nie są też do siebie podobni. A jednak wszyscy trzej są szczególnie dobrze nastrojeni na nutę pytań, jakie postawić może zachodni czytelnik i zainteresowani w udzieleniu na nie odpowiedzi. Wszyscy trzej są w równym stopniu przeznaczeni do prowadzenia dialogu pomiędzy ich krajami. "Siła bezsilnych" Havela została napisana specjalnie jako początek projektowanego dialogu pomiędzy Kartą 77 a KOR-em. Omawiając bogactwo polskiego niezależnego ruchu wydawniczego, Michnik wskazuje na dzieła niezwykle popularnego Vaclava Havela, zaś zarówno Havel jak i węgierski autor Miklosz Haraszti ukazali się wraz z Michnikiem na winiecie polskiego niezależnego kwartalnika "Krytyka". Konréd nieustannie nawiązuje do czeskich i polskich doświadczeń, a w pewnym uderzającym fragmencie zwraca się do Polaka określanego jako "Adam", którym bez wątpliwości jest Michnik. A więc jeżeli istnieje rzeczywiście jakiś wspólny obszar "Europy Środkowej", można oczekiwać, że odkryjemy go w politycznych esejach tych trzech autorów. Jeśli nie znajdziemy go tam, to prawdopodobnie w ogóle nie istnieje.

W pismach Havela i Konrédá występuje interesujący semantyczny podział. Obaj autorzy używają terminów Wschodnia Europa lub wschodnioeuropejski, kiedy kontekst jest neutralny lub negatywny; kiedy piszą Środkowa lub Środkowowschodnia Europa, wówczas kontekst jest niezmiernie pozytywny, akceptujący lub wręcz sentymentalny. W "Apolityce" Konréd pisze o "nowej środkowoeuropejskiej tożsamości", "świadomości Środkowej Europy", o "środkowoeuropejskiej strategii". Sugeruje, że "potrzeba samostanowienia jest ogniskową nową środkowoeuropejskiej ideologii". W "Anatomii powściągliwości" Havel opisuje pewien charakterystyczny środkowoeuropejski sceptycyzm: "jest nierozważną częścią duchowego, kulturalnego i intelektualnego fenomenu, jakim jest Europa Środkowa. Ten sceptycyzm ma mało wspólnego z, powiedzmy, angielskim sceptycyzmem. Jest on raczej dziwny, nieco tajemniczy, nieco

nostalgiczny, często tragiczny a nawet czasami heroiczny:

Później, w tym samym esej, mówi o "środkowoeuropejskiej umysłowości, sceptycznej, trzeźwej, antyutopijnej, powściągliwej" - krótko mówiąc takiej, która uważana jest za typowo angielską. I znów Konrad: "Historycznym nieszczęściem Europy Środkowoschodniej było, że nie zdołała uzyskać niezależności po załamaniu się na wschodzie hegemonii tatarsko-tureckiej, a później na zachodzie hegemonii niemiecko-austriackiej, a w końcu uległa ponownie hegemonii wschodniej, tym razem typu sowiecko-rosyjskiego. To właśnie uniemożliwia naszemu obszarowi geograficznemu realizowanie zachodniej opcji powziętej tysiąc lat temu, chociaż reprezentuje ona nasze najgłębsze historyczne skłonności." /podkreślenia T.G.A./

W tym ostatnim zdaniu historia została potraktowana po prostu jak mit. Ta poetycko-mityczna tendencja - skłonność do przypisywania przeszłości Europy Środkowej tego, co chciało by się znaleźć w jej przeszłości, przemieszanie tego, co powinno być z tym, co było - jest raczej typowe dla nowej środkowoeuropejskości. Mamy rozumieć, że to co było rzeczywiście "środkowoeuropejskie", było zawsze zachodnie, racjonalne, humanistyczne, demokratyczne, sceptyczne i tolerancyjne. Reszta była "wschodnioeuropejska", rosyjska, a może niemiecka. Europie Środkowej przynależą "Poeta i Myśliciel", Wschodniej Europie zostaje "Sędzia i Kat".

W najjaśniejszy i najbardziej skrajny sposób wyraził tę tendencję Milan Kundera. Jego Środkowa Europa jest lustrzanym odbiciem Rosji Sołżenicyna. Sołżenicyn twierdzi, że komunizm jest dla Rosji tym, czym choroba dla zarażonego nią człowieka. Kundera uważa, że komunizm jest dla Europy Środkowej tym, czym choroba dla zarażonego nią człowieka - a chorobą tą jest Rosja! Mit Europy Środkowej Kundery pozostaje w zasadniczej sprzeczności z rosyjskim mitem Sołżenicyna. Absurdalne wykluczenie przez Kunderę Rosji z Europy /nie aprobowane przez Havela czy Konrada/ najbardziej skutecznie skrytykował Josif Brodski. Jak uważa Brodski: "System polityczny, który odebrał panu Kunderze możliwość działania, jest produktem w równej mierze zachodniego racjonalizmu, co wschodniego emocjonalnego radykalizmu". Ale czy nie można by pójść o krok dalej? Czyż nie ma trsdycji specyficznie środkowoeuropejskich, które co najmniej ułatwiły ustabilizowanie reżimów komunistycznych na Węgrzech i w Czechosłowacji, tradycji, które umożliwiły przetrwanie tych reżimów do dzisiaj?

Superbiurokratyczny bezwład i formalistyczny legalizm doprowadzone do absurdalnych krańców /czasami już nieludzkie/ były szczególnie charakterystyczne dla Europy Środkowej przed 1914 rokiem. To właśnie jest powodem, że najbardziej dokładną, głęboką i przejmującą wizję totalitarnego koszmaru odnajdujemy właśnie w dziełach najbardziej środkowoeuropejskich autorów początku XX wieku: Kafki, Müsila, Brocha i Rothe. A dalej, co było rzeczywiście bardziej charakterystyczne dla historycznej Europy Środkowej: kosmopolityczna tolerancja czy nacjonalizm i rasizm? Jak trafnie zauważył François Bondy /w odpowiedzi Kunderze/, jeśli Kafka był dzieckiem Europy Środkowej, to był nim również Adolf Hitler. I znów nasuwa się pytanie: od kiedy "umysł środkowoeuropejski" jest "sceptyczny, trzeźwy, antyutopijny i powściągliwy"? Od tysiąca lat, jak wydaje się sugerować Konrad? W 1948 roku, jak żywo wspomina Kundera w "Księdze śmiechu i niepamięci", najbardziej środkowoeuropejscy z intelektualistów wzięli się za ręce i tańczyli na ulicach "witając przybycie raju na ziemię". A może jest on taki dopiero od 1968 roku?

Mit o czystej przeszłości Europy Środkowej jest, być może, dobrym mitem. Tak jak sołżenicynowski mit Rosji jest zrozumiałą przesadą rzucającą wyzwanie penującej ortodoksji. Tak jak współczesny mit Zachodnich Niemiec o zamachu bombowym na Hitlera z 20 lipca 1944 roku /mit o tym, że konspiratorzy byli prawdziwymi liberalnymi demokratami, modelami przyszłych obywateli Republiki Federalnej/, którego wpływ na

młoda generację może być inspirujący. Czy nie powinniśmy więc pozwolić kłamać dobrym mitom? Myślę, że nie. I w innych sytuacjach lub pod wpływem bezpośredniego wyzwania Havel i Konrád, jak i inni, również uważają, że nie.

W późnych latach siedemdziesiątych czeskosłowacki historyk J. Mlynárik /piszący pod pseudonimem "Danubius"/ rozpoczął w Pradze fascynującą i bardzo owocną dyskusję twierdząc, że wydaleni Niemców Sudeckich przez niekomunistyczny rząd czeskosłowacki jako bezpośrednie następstwo II wojny światowej było samo w sobie nieludzkiem i "totalitarnym" działaniem - precedensem i wytyczeniem drogi dla nadchodzącego totalitaryzmu komunistycznego. "Nie zapominajmy" - w poruszający sposób przypomniał nam czeski pisarz Jiří Grusa na nieoficjalnym sympozjum kulturalnym w Budapeszcie rok temu - "że to my /pisarze/ gloryfikowaliśmy nowoczesne państwo" i że "nasze nacjonalistyczne ody można znaleźć we wszystkich szkolnych podręcznikach Europy". Havel odstępuje od swego zwykłego sposobu myślenia, by wypuklić lekcję jaką jest "powojenne staczenie się w utopijność" jego przyjaciół intelektualistów. A Konrád oświadcza bezceremonialnie: "Ostatecznie my, środkowoeuropejczycy, rozpoczęliśmy dwie wojny światowe". Tak więc jeśli czasami ulegają poetyczno-mitycznej pokusie, to w tej nowej dyskusji o Europie Środkowej, wywodzącej się z Pragi i Budapesztu, pojawia się również rozwinięte poczucie historycznej odpowiedzialności, świadomość głębokiej dwuznaczności historycznych realiów; jednym słowem zrozumienie faktu, że Europa Środkowa jest czymś daleko więcej niż po prostu "częścią Zachodu, obecnie na Wschodzie".

Oprócz tych historycznych dwuznaczności są oczywiście i geograficzne. Nikt dobrze nie wie, gdzie Europa Środkowa, podobnie jak Europa, zaczyna się i kończy. Naturalnie Niemcy umiejscawiają centrum Europy Środkowej w Berlinie, Austriacy w Wiedniu, Tomas Masaryk definiuje ją jako "szczególny obszar małych narodów, rozciągający się od Przylądka Północnego do Przylądka Mstańca", tym samym zaliczając doń "Lapończyków, Szwedów, Norwegów, Duńczyków, Finów, Estończyków, Łotyszów, Litwinów, Polaków, Łużyczan, Czechów, Słowaków, Węgrów, Serbo-Chorwatów, Słoweńców, Rumunów, Bułgarów, Albańczyków, Turków i Greków" - ale nie Niemców czy Austriaków! Tak jak w wypadku całej Europy, tak i tu granicę najtrudniejszą do zlokalizowania jest granica wschodnia. Czytelnik może zastanawiać się, dlaczego jak dotąd mówiłem tak dużo o Pradze i Budapeszcie a nie o Warszawie; o Havelu i Konrádzie, a nie o Michniku. Powód jest prosty. Michnik nigdy nie pisze o Europie Środkowej. Jego eseje są pełne świątliwych nawiązań do historii europejskiej i do aktualnych problemów innych "wschodnioeuropejskich" krajów, ale w całym dziele tego pisarza nie znalazłem ani jednej wzmianki o "Europie Środkowej". Jest w tym typowy: pojęcie to prawie nie istnieje w ogromnej literaturze podziemnej, ukazującej się w Polsce w ostatnich kilku latach.

W polskiej części starej Galicji istnieje ciągle ślad nostalgii za elegancko-chaotyczną niedbałością rządów Habsburgów - co Musil nazwał "Kakonische Zustände" /w redakcji katolickiego "Tygodnika Powszechnego" w Krakowie portret cesarza Franza Jozefa wisi obok rzędu papieży/. Dla Michnika, jak i dla większej części opozycji demokratycznej, oczywistym jest, że małe państwa pomiędzy Rosją a Niemcami przyczyniły się do swojej własnej destrukcji poprzez konflikty nacjonalistyczne w okresie międzywojennym a tym samym, jeśli kiedykolwiek miałyby odzyskać niezależność, muszą współpracować tak blisko, jak to tylko możliwe - lub nawet zjednoczyć się. /Rząd Polski na wygnaniu z siedzibą w Londynie i Rada Wyzwolenia Czechosłowacji z siedzibą w Nowym Jorku potwierdziły ostatnio deklarację Sikorskiego-Beneša z 1942 roku o zamiarze utworzenia konfederacji Polski i Czechosłowacji/. Od strony emocjonalnej, kulturalnej a nawet geopolitycznej spoglądanie na wschód jest ciągle co najmniej tak samo ważne dla większości Polaków: spoglądanie na bezmierne wschodnie obszary, które przez wieki były częścią histo-

rycznej Polski. Jest to stracona, na wprost mityczna Litwa, którą Czesław Miłosz wysławia w swoich wierszach i prozie. A kiedy Papież Jan Paweł II mówi o "Europie" widzi oczyma wizjonera i wygnańca ponad sztuczną, syntetyczną, okaleczoną "Europą" EWG nie tylko Pragę, Budapeszt i swój ukochany Kraków, ale wiele, wiele dalej, ponad historyczną Europą Środkową, drogę przez bagna Prypeci, historyczne serce Europy Środkowej, Ukrainę, Białoruś, nawet cebuliste kopuły Zagorska; a kiedy głosi swą wizję Europy po polsku, wymawia prawie litewskie ł.

Powiedzieć, że Polska jest tym dla Europy Środkowej, czym Rosja dla Europy, byłoby bez wątpienia uproszczeniem. Ale być może powiedziałem już wystarczająco dużo, aby wykazać, jakkolwiek skrótowo, pewne złożone i budzące szacunek problemy historyczne, geograficzne i kulturalne, spreczne wspomnienia i reentymenty, które otaczają jak stado skrzęzących duchów tych, którzy chcą przywrócić do życia pojęcie "Europy Środkowej" - nie mówiąc już o "Mitteleuropie". Jeśli potraktujemy nowe pojęcie Europy Środkowej jako potwierdzenie wspólnej przyszłości Europy Środkowej w minionych wiekach, aż do roku 1945, co zdaje się sugerować Konrad i Kundera, natychmiast zgubimy się w lesie historycznych złożoności. Oczywiście, jest to las nieskończenie ciekawy, obszar gdzie ludzie, kultury, języki są fantastycznie splecione, gdzie każde miejsce ma kilka nazw a ludzie zmieniają obywatelstwa jak rękawiczki, zaczarowany las pełen czarodziei i wiedźm, ale las, nad którego wejściem widać słowa: "Ty, który wkraczasz tutaj, porzuć wszelką nadzieję, abyś zobaczył kiedykolwiek las, patrząc na drzewa! Każda próba wydestylowania z historii Europy Środkowej jakiejś ogólnej "esencji" jest albo absurdalnie redukcjonistyczna, albo zupełnie niejasna. W tym lesie odkrywamy za Stendhalem, że "cała prawda i cała rozkosz zawiera się w szczegółach".

Na szczęście nowa idea Europy Środkowej to nie tylko potwierdzenie przeszłości. To także, a może przede wszystkim, potwierdzenie teraźniejszości. Mówiąc otwarcie, zakłada się, że niezależnie intelektualistów z tej części świata dzielą dzisiaj szczególny zbiór poglądów, idei i wartości, zbiór dla nich wspólny, ale także w dużym stopniu specyficzny tylko dla nich. Jak bardzo jest on wspólny i specyficzny, zdają sobie oni sprawę, kiedy spotykają intelektualistów zachodnich w Paryżu, Nowym Jorku, czy Californii. Sugeruje się również, że zbiór poglądów ma wiele wspólnego ze specyficznie środkowoeuropejską historią - na przykład doświadczenie małych narodów poddanych wielkim imperiom, tradycja obywatelskiego poświęcenia wśród inteligencji, przyzwyczajenie do ironii mające swe źródło w życiu w klęsce - ale przede wszystkim ów zbiór poglądów ma związek z ich własnym, wspólnym i wyjątkowym doświadczeniem życia od czasu Jałty w sowieckim systemie komunistycznym. Są oni Europejczykami, którzy, że tak powiem, wiedzą o co chodzi i możemy się tego od nich dowiedzieć, jeśli tylko gotowi jesteśmy słuchać. Europa Środkowa to nie jest rejon, którego granice możemy odnaleźć na mapie - jak np. Ameryki Środkowej. Jest to królestwo ducha.

"Porównując geopolityczne realia Wschodniej i Zachodniej Europy - pisze Konrad - "Europa Środkowa istnieje dziś wyłącznie jako polityczno-kulturalna hipoteza. Być Środkowoeuropejczykiem to światopogląd a nie przynależność państwowa! Jest to "wyzwanie dla panującego systemu stereotypów". /To właśnie w tym sensie C.Miłosz również uważa siebie za Środkowoeuropejczyka/. Idea Europy Środkowej nie tylko wyrzuca nas z postjałtańskich schematów, wysadzając w powietrze to, co Niemcy nazywają Mauer im Kopf - mur berliński w naszych głowach. Rzuca także wyzwanie naszemu pojęciom, celom, wartościom szeroko akceptowanym na Zachodzie. Co więcej, ma coś do zaoferowania w zamian.

2

Takie są szeroko pojęte oczekiwania w stosunku do "wej" Europy Środkowej. Jak dalece ich powstanie wiąże się z esejem Havela, Michnika i Konrada? Jak wiele mają rzeczywiście wspólnego te niezależne

głosy z Pragi, Budapesztu i Warszawy? Czyż różnią się od siebie? Jak mogą wpłynąć na nasz sposób patrzenia na "Wschodnią Europę"? I na nas samych?

Przy dokładnym czytaniu porównawczym można, jak sądzę, odnaleźć wspólny grunt - jakkolwiek trzeba się do niego dokopać. Głównym składnikiem owego wspólnego intelektualnego podglebia są, jak mi się wydaje, następujące elementy. Po pierwsze "antypolitykę" z konradowskiego tytułu. Havel także mówi, w swoim wykładzie w Tuluzie w 1984 r.: "Wolę antypolityczną politykę", a chociaż Michnik wcale nie używa tego określenia częściej niż terminu "Europa Środkowa", to jednak rzecz ta przenika jego twórczość.

Antypolityk odrzuca to, co Konrád określa jako tradycję jałtańsko-leninowską a Havel /za czeskim filozofem Vaclavem Belhradskim/ nazywa "polityką jako racjonalną technologią władzy". W "Sile bezsilnych" Havel delikatnie krytykuje tych z Karty 77, którzy przecenili wagę bezpośredniej pracy politycznej w tradycyjnym sensie. Jest to, jak mi się wydaje, aluzja szczególnie do byłych starych komunistów, członków Karty 77, którzy ciągle pojmują swą działalność przede wszystkim jako poszukiwania "władzy w państwie", lub przynajmniej niewielkiego nań wpływu. Konrád stwierdza wielkodusznie: "Nikt myślący nie powinien chcieć odsunąć innych od władzy po to, aby samemu ją objąć. Nie chciałbym być ministrem w żadnym rządzie". Jako, że jest mało prawdopodobne, aby wybrano Konráda na stanowisko ministra w Budapeszcie, jego hipotetyczne poświęcenie nie wydaje się zbyt trudne.

Jednakże w wypadku Polski stwierdzenie: "Nie ubiegamy się o władzę w państwie" miało ostatnio bardzo realne i aktualne znaczenie. Byli w Polsce roku 1981 ludzie, którzy uważali, że Solidarność powinna sięgnąć po władzę, czego przywódcy Solidarności konsekwentnie nie zgodzili się zrobić. Oczywiście, głównym powodem była pragmatyczna kalkulacja, co skłonna jest tolerować Moskwa. Istniały jednak również dla tej postawy teoretyczne i etyczne fundamenty ze słownika "antypolityki". "Nauczenni przez historię" - pisze Michnik w 1985 roku w "Listach z więzienia" - "wiemy, że używając siły aby zburzyć istniejące Bastylie, nieuchronnie budujemy nowe". A w swoim ostatnim eseju powtarza: "Solidarność nie ma ambicji przejęcia władzy w państwie". W Polsce roku 1986 jest to znowu czyste hipotetyczne stwierdzenie. Jednakże antypolityczne teorie charakterystyczne dla KOR-u musi rywalizować z innymi, obecnie szeroko rozpowszechnionymi poglądami, które kładą nacisk na uprawianie polityki /jakkolwiek tylko na papierze/ w tradycyjnych kategoriach lewicy i prawicy.

Michnik i Havel uważają kategorie lewicy i prawicy za całkowicie niesadekwatne. Mówiąc w swoim wykładzie w Toulousie o pytaniach stawianych przez zachodnich intelektualistów, pytaniach wynikających z dobrych intencji ale świadczących o całkowitym braku zrozumienia, Havel stwierdza: "Weźmy pytania o socjalizm i kapitalizm. Przyznając, że sprawiają na mnie wrażenie, jakby wynurzyły się z mroku minionego wieku. Wydaje mi się, że te czyste ideologiczne i wiele razy przekłamane kategorie od długiego czasu nie trafiają w sedno". "Sam podział na Lewicę i Prawicę pojawił się w innej epoce" - powtarza jak echo Michnik w swoim ostatnim eseju - "i ich sensowna rekonstrukcja w dzisiejszej Polsce jest niemożliwa /a prawdopodobnie i w innych krajach rządzonej przez komunistów/. Czy reżim Jaruzelskiego jest lewicowy czy prawicowy? "Dla ogromnej większości Polaków "Prawica" i "Lewica" to abstrakcyjne rozróżnienie z innej epoki".

W zamian za stary podział na lewicę i prawicę, proponują nam jeszcze starsze rozróżnienie na dobro i zło. Twierdzą, że jest to rozróżnienie rzeczywiste przydatne dla ludzi żyjących w takim reżimie. Kategorie naturalne często pojawiają się u wszystkich trzech autorów /choć u Konráda rzadziej niż u Havela i Michnika/. Wszyscy trzej potwierdzają podstawowe przesłanki judeo-chrześcijańskiego indywidualizmu. Odwracając tradycyjne założenia socjalizmu zaczynają nie od pań-

stwa czy społeczeństwa, ale od indywidualnej istoty ludzkiej i jej świadomości "podmiotowości", jej obowiązku życia w prawdzie i jej prawa do życia w godności. Stwierdzenie: "Zacznij od zmieniania siebie" mogłoby służyć jako wspólne motto ich publicystyki. Jak wszyscy trzej podkreślają, postulat życia w prawdzie i godności ma głębokie implikacje nie tylko dla jednostki, może również stanowić poważne uderzenie w istotę komunistycznego państwa, ponieważ, jak ujmuje Havel: "głównym filarem systemu jest życie w kłamstwie".

Havel ilustruje swój pogląd popularnym przykładem kierownika sklepu jarzynowego, który umieszcza w oknie swego sklepu między cebulą i marchwią slogan: "Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!". "Dlaczego to robi?" - zapytuje Havel. "Co chce zakomunikować światu? Czy jest szczerym entuzjastą idei jednoci robotników z całego świata? Czy jego entuzjazm jest tak wielki, że odczuwa on niepoohamowaną potrzebę zapoznania opinii publicznej ze swymi ideałami?"

Oczywiście nie. Sygnalizuje on władzom swoją wolę podporządkowania, posłuszeństwa. Taka jest wymowa jego czynu. Owemu kierownikowi obojętne jest zawartość semantyczna hasła. Ale "gdyby kazano mu umieścić na wystawie slogan "Boję się i dlatego jestem bezwarunkowo posłuszny", nie byłby ani trochę tak obojętny na jego zawartość semantyczną, mimo, że stwierdzenie odzwierciedlałoby prawdę".

Kłamliwa tanka ideologii częściowo ukrywa prawdziwą naturę tej władzy, co ważniejsze, umożliwiła poszczególnemu obywatelowi ukrycie przed nim samym istoty jego posłuszeństwa. To właśnie sieć określonych przez ideologię kłamstw, argumentuje Havel, podtrzymuje system i utrzymuje posłuszeństwo w niewoli państwa. Każdy z tych niewielkich aktów zewnętrznego, werbalnego konformizmu, każdy sam w sobie tak trywialny, że z pozoru nieważny, jest jak jedna z małych nitek, którymi Lilipuci skrupowali Guliwera. Tylko, że tu ludzie krepują sami siebie. Poprzez złożenie tego, wydawałoby się nic nie znaczącego, haraczku, lub nawet poprzez nieprotestowanie przeciw niemu, ludzie "żyją w kłamstwie. Nie muszą akceptować kłamstwa. Wystarczy, że zaakceptowali życie z nim i w nim. Ponieważ poprzez ten właśnie akt potwierdzają system, robią system, są systemem".

"Linia konfliktu" nie przebiega po prostu między ludźmi-ofiarami a państwem-ciemiężcą, jak to jest konwencjonalnie widziane, ani też pomiędzy grupami społecznymi, jak w tradycyjnych dyktaturach. "W posttotalitarnym systemie linia ta przebiega de facto w każdym człowieku, ponieważ każdy jest na swój sposób jednocześnie ofiarą i podporą systemu". Z wyjątkiem tych kilku, którzy zdecydowali się "żyć w prawdzie" i na Zachodzie znani są pod nieprecyzyjnym określeniem dysydentów.

Nawet te nieliczne głosy miały siłę zupełnie nieproporcjonalną do swojej liczby. I gdyby więcej ludzi spróbowało żyć w prawdzie, żyć w godności... No cóż, spójrzmy na Polskę roku 1980-go, na to, co George Konrad, omawiając Solidarność, nazywa "pokojową siłą wypowiedanej wprost prawdy". "Polityka prawdy" - pisze Michnik i jest to jego własna interpretacja - "była jedną z dwóch podstawowych cech opozycji demokratycznej przejętych przez Solidarność! /Drugą było wyrzeczenie się przemocy/. Tak więc wszyscy trzej autorzy wyrażają przekonanie, że przemiany moralne mogą mieć wręcz nieproporcjonalnie duży efekt polityczny, że to świadomość ostatecznie określa byt i że klucz do przyszłości leży nie w zewnętrznym, obiektywnym stanie państwa - politycznym, ekonomicznym, militarnym i technologicznym - ale w wewnętrznym, subiektywnym stanie jednostki. To właśnie tutaj Europa Środkowa staje twarzą w twarz z Europą Wschodnią: w autonomicznej sferze kultury, w królestwie ducha.

Jeśli nie w strukturach władzy państwowej lub partyjnej, gdzie zatem, jeśli w ogóle, mogą połączyć się ci pojedynczy ludzie żyjący w prawdzie? W "społeczeństwie obywatelskim". Obaż, Michnik i Konrad, używają tego terminu, a Havel z pewnością wyznaje tę ideę. "W Polsce" -

pisze Michnik w "Listach z więzienia" - "struktury niezależnego społeczeństwa funkcjonują od kilku lat - prawdziwą c i nad Wisłą" - podsumowanie pierwszego roku Solidarności zatytułował "The Promise of Civil Society". "Antypolityk" - pisze Konrad - dąży do utrzymania polityki rządu /szczególnie w dziedzinie militarnej/ pod kontrolą społeczeństwa obywatelskiego". Dla historyka ideologii takie zastosowanie terminu o długiej i burzliwej historii może wydawać się niewybaczalnie mgliste. Jednak czytelnik w Pradze, Budapeszcie czy Warszawie zrozumie dokładnie jego znaczenie. "Widzisz, dla nas walka o społeczeństwo obywatelskie to codzienny wielki dramat" - powiedział mi ostatnio węgierski socjolog. To zdanie mogłoby być równie dobrze wypowiedziane w Pradze czy Warszawie, ale raczej nie w Paryżu, czy Moskwie. Można by napisać historię ostatniej dekady Europy Środkowo-Wschodniej jako historię walki o społeczeństwo obywatelskie.

Jak zauważył János Kis, węgierski filozof i publicysta społeczny, od połowy lat 50-tych aż do końca 60-tych /kluczowe daty to oczywiście 1956 i 1968/ "ogólną ideą ewolucji Europy Wschodniej było, że reformy są tworzone odgórnie, a popierane oddolnie". Znacząca zmiana byłaby zainicjowana przez rządzącą partię komunistyczną, oświeconą przez własnych tzw. rewizjonistów. Socjalizm miałby uzyskać tzw. ludzką twarz. Idea ta została zmiażdżona przez sowieckie czołgi w Pradze i pałki policyjne w Warszawie, ale pojawiła się inna, zyskując szeroką popularność pod koniec lat 70-tych. Tą drugą "ogólną ideą ewolucji" jest, że istotna zmiana może przyjść tylko poprzez ludzi organizujących się poza strukturami partyjnego państwa, w różnorodne niezależne ugrupowania społeczne. Roboczym celem nie jest reforma partyjnego państwa, ale rekonstrukcja społeczeństwa obywatelskiego, chociaż oczywiście, jeśli ta strategia okaże się skuteczna, partyjne państwo będzie zmuszone do zaadaptowania się do nowych okoliczności /choćby tylko przez niechętnie zaakceptowanie rosnącego ograniczenia obszarów całkowicie przez nie kontrolowanych/.

Ta strategia "społecznej samoorganizacji" lub "społecznej samoobrony" nakreślona została między innymi przez Michnika w jego podstawowym esej "Nowy ewolucjonizm" i to właśnie w Polsce była ona najszerzej stosowana. W 1977, w rok po założeniu KOR formalnie zmieniał nazwę na Komitet Samoobrony Społecznej KOR dla zasygnalizowania swego szerszego celu. W swojej historii KOR-u J.J.Lipski szczegółowo i dokładnie omawia bardzo różnorodną "pracę społeczną", wykonywaną przez członków KOR-u - od wydawnictw niezależnych do wspierania rolników indywidualnych i pierwszych komitetów wolnych związków zawodowych. Ile powstanie Solidarności zawięzająca bezpośrednią KOR-owi, a ile innym przyczynom, to problem dla historyka, ale nie ma wątpliwości, że Solidarność była "dzieckiem" tej "ogólnej idei ewolucji".

Największym dzieckiem, ale nie jedynym. Uderzająco podobne idee, głoszone w Pradze np. przez Vaclava Beňdę w esej "Państwo równoległe" z 1978 roku, zaś podobieństwo pomiędzy Kartą 77 a KOR-em jest niezaprzeczalne. "Ogólna idea" jest ta sama. Na Węgrzech rozróżnienie pomiędzy reformami zapoczątkowanymi odgórnie przez partyjne państwo a zmianami oddolnymi, to jest pochodzącymi od społeczeństwa aspirującego do miana "obywatelskiego", jest znacznie mniej jasne. Ale także tutaj idea "walki o społeczeństwo obywatelskie" jest szeroko aprobowana przez niezależnych intelektualistów. Nie jest zatem przypadkiem /jak zwykli mówić sowieccy komentatorzy/, że leitmotive "społeczństwa obywatelskiego" odnajdujemy w esejach tak Konrada i Havela, jak Michnika.

Innym wspólnym leitmotiwem jest wyrzeczenie się przemocy. Przyczyny tego są zarówno pragmatyczne, jak etyczne. Praktyczne, ponieważ od roku 1956 stało się jasne, że gwałtowna rewolta nie ma szans powodzenia w obecnym porządku geopolitycznym. Etyczne, ponieważ przemoc - a szczególnie przemoc rewolucyjna - deprawuje tych, którzy ją stosują. Dotyczy to również psychicznej przemocy, jaką jest nienawiść.

Przemoc i nienawiść, kłamstwa, potwarz, bicie i morderstwa to meto-

dy jakobińsko-leninowskich władców. "Niech te metody pozostaną tylko ich metodami" - powiedział mi Michnik w czasie rozmowy w jego warszawskim mieszkaniu jesienią 1984 roku, kilka dni po zabójstwie ks. J. Popiełuszki przez państwowych terrorystów z polskiej SB. "Nie walczymy o władzę, ale o demokratyczny kształt naszego kraju. Każdy rodzaj terroryzmu prowadzi do moralnego poniżenia, do duchowej deformacji". W swoim ostatnim eseju Michnik powtarza formułę często używaną przez ks. Popiełuszkę i przez Papieża: "Zło dobrem zwyciężaj".

Nie jest to tylko czysta retoryka. Jak podaje Lipski, Michnik osobiście pomagał uratować kilku milicjantów od zlinczowania przez gniewny tłum w Otwocku, w maju '81 roku /zdobył zaufanie ludzi mówiąc: "Nazywam się Adam Michnik. Jestem siłą antysocjalistyczną". W sumie wyzalenie się przemocy przez Solidarność wytrzyma porównanie z każdym ruchem pokojowym w Zachodniej Europie - i to w warunkach nieporównanie bardziej prowokujących. Ani Czesi, ani Węgrzy nie mieli ostatnio okazji /lub konieczności/ wprowadzenia owej retoryki w życie na mniej więcej tę samą skalę. Ale w zasadzie przywiązanie do tej idei jest równie silne u Havela i Konrada, jak u Michnika.

Jak podkreśla Lipski, jest to obszar, na którym najbardziej uwydatnia się wpływ etyki chrześcijańskiej. Ale patrząc z boku na zachodnie ruchy pokojowe Havel i Michnik jednocześnie wysuwają inną stronę i podstawową zasadę etyki chrześcijańskiej: przekonanie o wartości ofiary. Mówiąc o tym, co nazywa ruchami pacyfistycznymi, Michnik pisze: "Etyka Solidarności oparta była na przeciwnej przesłance: że są sprawy, za które warto cierpieć i umierać". Zaś Havel przytacza niemal identyczną formułę Jana Patočki: "Są rzeczy, za które warto cierpieć".

Właśnie w reakcji na pokojowe ruchy Zachodniej Europy odnajdujemy najlepiej sformułowane wspólne poglądy tych trzech autorów. W swojej "Anatomii powściągliwości" Havel nazywa to "wspólnym minimum niezależnego środkowo-wschodnioeuropejskiego myślenia o pokoju". Zaczynają oni od wyrażenia instynktownej, "przedracjonalnej" /Havel/ sympatii dla ludzi, którzy wydają się stawiać wspólne dobro ponad własny egoistyczny interes. Ale jednocześnie żywią zdrową podejrzliwość wyhodowaną na środkowoeuropejskim doświadczeniu w stosunku do utopijnych tendencji, ruchów pokojowych i "różnych przesadnych i o wiele za poważnych stwierdzeń /za które jednocześnie i nieprzypadkowo nie płaci się zbyt wiele/, z którymi wychodzą do nas niektórzy zachodni pacyfiści". /Raczej zawiłe zdanie Havela warto przeczytać uważnie dwa razy/. Stanowczo twierdzę, wbrew zachodnim pacyfistom, że niebezpieczeństwo wojny nie jest konsekwencją zbrojeń, ale politycznych realiów stojących za nimi.

"Przyczyną niebezpieczeństwa wojny nie są zbrojenia jako takie, ale realia polityczne... Żaden trwały, prawdziwy pokój nie może być osiągnięty po prostu przez przeciwstawienie sobie systemów uzbrojenia, ponieważ takie przeciwstawienie ma do czynienia tylko ze skutkami, a nie z przyczynami". Tyle Havel. Z celi więziennej Michnik śle niemal identyczne przesłanie: "Zachodnia opinia publiczna dała sobie narzucić sowiecki sposób myślenia - broń jest ważniejsza niż ludzie. Ale to nieprawda. Żadna broń nie zabija sama".

Główne "polityczne realia" to podział Europy i sowiecka dominacja na jej jednej połowie. "Nieuważny Europejczyk" - pisze Konrad - nie spostrzeżę, że żelazna kurtyna jest zrobiona z wybuchowego materiału. Zachodnie Europa opiera się o ścianę z dynamitu, beztrudno popatrząc na Atlantyk". "To, co zagraża pokojowi w Europie" - zgadza się Havel - "to nie perspektywa zmiany, ale istniejąca sytuacja". Kluczem do trwałego pokoju nie jest zbrojenie, czy kontrola zbrojeń jako taka, ale zmiana politycznych realiów. Na dłuższą metę musi to oznaczać przecięcie podziału Europy /który w skrócie nazywamy Jałtą/ i dążenie do tego, co Havel nazywa "ideałem demokratycznej Europy, jako przyjaznego związku wolnych i niezależnych narodów". Trudno się nie zgodzić z tą wizją, a jeszcze trudniej wyobrazić sobie jej realizację. Jednak-

że na krótką metę oznacza to przede wszystkim symboliczny związek pomiędzy "zewnątrznym pokojem" /pomiędzy państwami/ i "wewnętrznym pokojem" /w nich samych/, gdyż "państwo, które ignoruje wolę i prawa obywateli, nie może dać żadnej gwarancji przestrzegania woli i praw innych ludów, narodów i państw. Państwo, które odmawia swym obywatelom prawa do publicznego nadzoru nad sposobem sprawowania władzy, nie byłoby podatne na nadzór międzynarodowy. Państwo, które pozbawia swych obywateli ich podstawowych praw, staje się równie niebezpieczne dla swych sąsiadów: arbitralne rządy wewnętrzne znajdują odbicie w arbitralnych stosunkach zewnętrznych".

Takie właśnie są państwa Wschodniej Europy, których obywatele w przeciwieństwie do obywateli krajów Europy Zachodniej nie cieszą się "wewnętrznym pokojem". Przeto - i to jest przesłanie zarówno do zachodnich ruchów pokojowych jak i rządów - kluczem do trwałego, prawdziwego pokoju między Wschodem a Zachodem w Europie /w przeciwieństwie do obecnego stanu "nie-wojny"/ muszą być działania w kierunku większego poszanowania praw ludzkich i wolności obywatelskich w Europie Wschodniej. Walka o rozbrojenie i prawa obywatelskie nie tylko idą ze sobą w parze /jak utrzymuje mniejszość - wciąż tylko mniejszość działaczy w zachodnich ruchach pacyfistycznych/. Walka o prawa człowieka ma absolutne logiczne pierwszeństwo. Michnik: "Warunkiem zmniejszenia niebezpieczeństwa wojny jest pełne respektowanie praw człowieka". Havel: "Poszanowanie praw człowieka jest podstawowym warunkiem i jedynym prawdziwym gwarantem pokoju".

A więc z jednej strony "umysł środkowoeuropejski" /"sceptyczny, trzeźwy, anty-utopijny, powściągliwy"/ występuje z ostrzeżeniem co do prawdziwej natury państw bloku sowieckiego, ostrzeżeniem, które jest jak balsam na serce Ronalda Reagana. W ostatnim swym esejku Michnik cytuje z aprobatą pewne uwagi Reagana dotyczące trudności w rokovaniach ze Związkiem Sowieckim na temat kontroli zbrojeń. Z drugiej strony, omawiani autorzy mówią o przestrzeganiu praw człowieka jako podstawowym warunku i jedynym prawdziwej gwarancji pokoju - na co mogłyby się zgodzić zachodni pacyfista. I kto tu jest utopistą? Przesłanie, które wyraża te dwa aspekty, może być brutalnie sformułowane tak: najlepsza rzecz, jaką może zrobić dla pokoju zachodnioeuropejski pacyfista, to popieranie demokratycznej opozycji w Europie Wschodniej.

To jest konkluzja, jaką mogę wyciągnąć z krótkiej listy wspólnych poglądów, opinii i myśli przewodnich w politycznych esejach Konrada, Havela i Michnika. Jednak, gdy odchodząc od wspólnego środkowoeuropejskiego podglebia, kierujemy się na powierzchnię zjawisk, odnajdujemy różnice i niezgodności równie uderzające, jak podstawowe podobieństwa.

3

Jak mogłaby zajść zmiana w Czechosłowacji? Havel nie daje jasnej odpowiedzi na to pytanie. Sugeruje, że bardzo stopniowo, pośrednio, w poplątany i w dużym stopniu nieprzewidywalny sposób nacisk jednostek żyjących w prawdzie i godności i zorganizowanych w luźnych strukturach "społecznej samo-organizacji", "piąta kolumna społecznej świadomości" musi ostatecznie zmienić sposób rządzenia krajem; ale jak i kiedy, tego nie można przewidzieć. Kiedy rozmawialiśmy ostatnio w jego wiejskim domu w północnych Czechach, dał nieco bardziej konkretny przykład. Powiedział, że po Czarnobylu ludzie w Czechosłowacji narzekali otwarcie i głośno na ulicach. Swoją drogą, nie zorganizowali otwartej demonstracji protestacyjnej, ani nie pisali petycji /to pozostawiono kilku austriackim studentom, którzy specjalnie przyjechali do Pragi/, ale 10 lat temu ludzie nie odważyliby się publicznie protestować, chociaż oczywiście czyniliby to prywatnie. A może za 10 lat będą podpisywać petycje. Ewolucja jest tak powolna, że niemal niedostrzegalna dla przypadkowego widza, czy dla młodych gniewnych zaangażowanych w opozycję. Ale wracając do społeczeństwa po 4 latach więzienia, mógł Havel zaobserwować różnice, jak między dwoma klatkami

filmu, i był przyjemnie zaskoczony.

Oczywiście, nikt nie może przewidzieć jak reżim odpowie na oddolne naciski. W książce, którą właśnie skończył, rodzaj intelektualnego pamiętnika podsumowującego jego pierwsze półwiecze /kończy 50 lat tej jesieni/, Havel opisuje, jak jego zdaniem nacisk oddolny był decydujący w prehistorii Praskiej Wiosny. Ale czy w partii jest dziś ktoś, kto odpowie na presję tak, jak to czynili wówczas intelektualiści i reformatorzy partyjni? Wówczas byli jeszcze prawdziwi przekonani komuniści i socjaliści w partii. Teraz, jak się zdaje, są tylko cynicy i karierowicze i to im młodsi, tym gorsi. "Piąta kolumna społecznej świadomości" działa powoli, o jak powoli, jak korzenie drzewa stopniowo podważające dom /moja metafora, nie Havela/. Ale nikt nie może być pewien skuteczności ich działania. Mogą zostać ucięte. Na szczęście, głównym celem korzeni nie jest podważanie domu. "Dysydent" to niejako myślący korzeń. Jego dążenie do życia w prawdzie i godności jest wartością samo w sobie, bez względu na odległe społeczne i polityczne efekty, które mogą zaistnieć lub nie.

Jako polityczna analiza i wskazanie jest to rzeczywiście "sceptyczne, trzeźwe, anty-utopijne, powściągliwe" - obecne warunki Czechosłowacji każą nam nie ufać żadnej analizie, która nie miałaby tych cech. Jednak są również momenty, gdy Havel wyraża się jak wizjoner, niemal apokaliptycznie: "Oczywisty... staje się zadziwiający fakt, że pojedynczy pozornie bezbronny człowiek, który odważy się wykrzyzczyć słowa prawdy i stać za nimi całym sobą i całym awym życiem, ma większą siłę - choć formalnie pozbawiony prawa głosu - niż te anonimowe tysiące idące do urn wyborczych". Tutaj wzorem jest Sołżenicyn; którego Havel stawia za przykład w następnym zdaniu. W 1970 roku Sołżenicyn napisał w związku z przyznaniem mu nagrody Nobla /"Słowo prawdy"/: "Pomiędzy kłamstwem i przemocą istnieje najbardziej ścisły, naturalny i podstawowy związek: przemoc można ukryć tylko kłamstwem, a kłamstwo można utrzymać tylko przemocą". I dalej prorokuje: "W chwili, gdy kłamstwo zostanie ujawnione, objawi się w całej nagości ohyda przemocy, która rozpada się obezwładniona". Pierwsza część tego proroctwa zrealizowała się w Polsce w 1981 roku, ale niestety, nawet w Polsce druga część oczekuje dopiero potwierdzenia.

W swojej "Antypolityce" Konrad odczytuje prostą lekcję z pozornej klęski Solidarności, zadanej przez przemoc okrytą kłamstwem. Węgry próbowali w 1956, Czesi i Słowacy w 1968, Polacy w 1980-1981. "Trzy próby, trzy błędy" - mówi Konrad. "Narodowe drogi do uwolnienia Europy Wschodniej nie doprowadziły nas zbyt daleko" i dalej pisze: "Uważajcie, mówiliłem do Adama /tj. Michnika/, trzecia próba powinna się powieść. Nie powiedła się. Adama oczekuje być może proces. To niewiarygodne, że Michnik mógł być wygłosić odczyt w Warszawskiej Politechnice o roku 1956 na Węgrzech i w Polsce. Odczyt był pierwszorzędny. Michnik nie jękał się, był cięty, dialektyczny i trafiał w sedno. Potem słyszałem, że zakochał się szalenie w wielkiej aktorce. Potem był aresztowany i zbity niemal na śmierć. Potem słyszałem, że jest zdrowy. Co nam to wszystko mówi, Adamie? Jest was 35 milionów i nie dalsiście rady. Teraz cóż? Co byś powiedział, gdybym Ci przedził »Teraz niech to zrobią Rosjanie«?"

No cóż, prawie zgaduję, co Adam Michnik odpowiedziałby na to: /skreślono brzydkie słowo/. Ale może teraz dałby nam własną odpowiedź, skoro niespodziewanie uwolniono go z więzienia w sierpniu. "To" co powinni zrobić Rosjanie, to wrócić do siebie. To doprawdy dobry pomysł, choć nie całkiem nowy. Wyciągnięcie z "Antypolityki" Konrada tego, co stanowi logiczną argumentację, byłoby możliwe tylko przy bezceremonialnym potraktowaniu tekstu. Swoistą /i swoście środkowoeuropejską/ jakością tej książki stanowi, jak już powiedziałem, zawarcie w jej stonkowo niewielkiej objętości ogromnego bogactwa sformułowań i argumentów, tak różnorodnych i wielorakich, jak różnorodne są narody byłej monarchii austro-węgierskiej - i równie trudnych do pogodzenia. Np.

"Rosjanie powinni mieć zapewniony spokój, aby mogli zreformować swój system gospodarczy i administracyjny". Ale z drugiej strony: "byłoby słuszne, by ograniczać udzielanie kredytów proporcjonalnie do liczby więźniów politycznych". Jednak w "Antypolityce" spoza ozdobnego stylu późnej moderny da się wyróżnić trzy główne podstawy argumentacji.

Po pierwsze, propozycja już wzmiankowana powyżej: skoro narodowe drogi do wolności zawiodły, spróbujmy międzynarodowych, ogólnoeuropejskich. Zaproponujmy, by armia amerykańska została wycofana z Zachodniej Europy, a sowiecka ze Wschodniej. Niech przestaną istnieć bloki. "Dla mnie osobiście byłoby to przepiękne" - komentuje zgrabnie Havel tę nie całkiem nową propozycję - "tylko nie jest całkiem jasne, co i kto mógłby skłonić Związek Sowiecki do rezygnacji z orszaku europejskich satelitów. Szczególnie odkąd wiadomo, że bez wojsk sowieckich na terytoriach tych państw prędzej czy później dominacja nad nimi stałaby się niemożliwa". Baata.

Dla Konrada tym kimś czy czymś, co może wpłynąć na Związek Sowiecki jest "międzynarodowa arystokracja intelektualistów". To jego drugi motyw przewodni. "Wydaje się" - pisze - "że inteligencja a nie klasa robotnicza jest nosicielem internacjonalizmu". "Dysydenci, autonomiczni intelektualści są tacy sami na całym świecie, bez względu na swą polityczną filozofię". Powinniśmy zatem zjednoczyć się i wypracować intelektualną konstrukcję, która umożliwi wyjście poza "intelektualnie bezpłodne działania wojny ideologicznej". A nawiąsem mówiąc "każdy kto wierzy dzisiaj, że dwa systemy i dwie ideologie zmagają się ze sobą, ten pada ofiarą zeświecczonej metafizyki naszej cywilizacji, która chce widzieć pojedynek pomiędzy Bogiem a Szatanem tam, gdzie chodzi tylko o grę! /Co Adam powiedziałby na to?/. Stąd jego własny "plan opuszczenia żelaznej kurtyny" przez intelektualistów na programy polityki światowej. Bowiem to nasze intelektualne słabości doprowadziły ostatecznie do nieszcześniejszej sytuacji podzielenia naszego kontynentu". Wystarczy dobrze myśleć, a wszystko potoczy się jak trzeba.

Jednakże, na wypadek gdyby twardogłowi na Kremlu i w Pentagonie nie chcieli widzieć światła, które podsuwa im przed oczy "międzynarodowa arystokracja intelektualistów", Konrad może wycofać się przejściowo na z góry upatrzoną pozycję: jest nią "węgierska droga". Wprawdzie chwilami Konrad wyraża zdrowy fundamentalizm /"Naród węgierski nie spocznie póki nie uzyska samostanowienia tu, w obszarze Karpat"/, ale więkzość jego pism przedstawia w niemal entuzjastyczny sposób obecną sytuację Węgier, a szczególnie rolę Janosa Kádára, porównywanego do cesarza Franciszka Józefa. "Najlepsze, co możemy mieć nadzieję osiągnąć, to oświecone paternalistyczne rządy autorytarne, połączone z umiarkowanymi dążeniami do podejmowania stopniowych reform. Najmniejszym złem dla nas jest liberalno-konserwatywna wersja komunizmu, mniej więcej taka, jaką mamy na Węgrzech".

Biorąc pod uwagę okoliczności, zadaniem "inteligentów twórców" lub "inteligentów naukowców" jest podejmowanie dialogu z "inteligentami u władzy", aby pomóc im w przekształceniu oświeconej dyktatury w jeszcze bardziej oświeconą. "Intelektualna arystokracja" - uważa Konrad - "zadawała się popychaniem administracji państwowej w kierunku bardziej inteligentnej, bardziej odpowiedzialnej strategii". I z zadumą pyta: "Czy jest możliwa umiarkowana autorytarne reformy na skalę imperium - oświecona monarchia partyjna, "węgierski styl" rządzenia?".

Może są to rzeczywiście realistyczne twierdzenia i propozycje dla niezależnego intelektualisty, który pragnie skutecznie działać w szczególnych okolicznościach współczesnych Węgier. Ale nie znajdują one odzwierciedlenia w pracach Havela czy Michnika. Dla Havela taka rola niezależnego intelektualisty w Czechosłowacji jest niewyobrażalna. Żyje on w kraju, gdzie intelektualna arystokracja zatrudniona jest w charakterze palaczy, czyszcicieli okien i niewykwalifikowanej siły roboczej. A nawet gdyby była wyobrażalna, sprzeciwia się jej jego koncepcja antypolityki. Dla Michnika w Polsce taka rola intelektualistów jest cał-

kowicie możliwe i całkowicie nie do przyjęcia. Polski Kadaryzm jest marzeniem strażnika więzienia, w którym siedzi Michnik, ale nie jego. Generał Jaruzelski odspiewałby hymn do Matki Boskiej Częstochowskiej, gdyby polscy twórcy i naukowcy przyjęli rolę proponowaną przez Konrada. Ale nie przyjmą.

Dla Michnika fakt, że Polska nie cieszy się swobodami Kadaryzmu jest miarą jej sukcesu, nie klęski. Na pewno nigdy nie podpisałyby się pod formułą Konrada "trzy próby, trzy błędy". Solidarność dla niego nie była "błędem". Fakt, że Solidarność została zwyciężona siłą nie oznacza, że jej podstawowa strategia była niesłuszna; oznacza, że ludzie bez karabinów /i świadomie opowiadający się przeciw użyciu siły/ zostali przepędzeni z ulic przez ludzi z karabinami /i wolą ich użycia/. A przecież, nie była to tylko porażka. Stan wojenny z 13 grudnia 1981 był "niepowodzeniem niezależnego społeczeństwa", ale "klęską totalitarnego państwa".

Teraz głównym zadaniem jest utrzymanie naprawde autonomicznego, silnego; dobrze zprganizowanego "społeczeństwa obywatelskiego". Dla Michnika, jak dla Havela, głównym składnikiem, niejako podstawową komórką, tego "obywatelskiego społeczeństwa" jest jednostka żyjąca w prawdzie. Moralny absolutyzm jest jedynym pewnym przewodnikiem w takich czasach - taką lekcję odczytuje Michnik w swojej książce poświęconej literaturze - z przykładu ludzi jak Zbigniew Herbert, którzy nigdy nie "skompromitowali się" moralnie, nawet w najgorszych czasach. Z drugiej strony właśnie dlatego, że jednostki, a szczególnie intelektualści, nie przyjmują roli, jaką przypisywać by im można w tak zwanym kadaryzmie, właśnie dlatego, że istnieje silne i całkowicie niezależne "społeczeństwo obywatelskie", jest szansa pozytywnego politycznego kompromisu z władzami.

Większość cstatnich esejów Michnika poświęconych jest badaniu istoty tego ewentualnego kompromisu poprzez żywą i szczegółową analizę historii KOR-u i Solidarności. Nie wszystkie wnioski z tej analizy są przykonywające. Na przykład pisze: "nikt z aktywistów Solidarności nie wierzy dziś w dialog i kompromis z twórcami grudniowego zamachu. Ja też nie". A przecież, jeśli nie z nimi, to z kim? Ostrzeża, że Solidarność powinna odrzucić filozofię "wszystko albo nic", a parę stron dalej sugeruje, że warunkiem wstępnym ugody z władzami musi być uznanie istnienia niezależnej, samorządnej Solidarności i że taka ugoda musi unikać nawet najmniejszych śladów nowomowy, które występowały /i były przedmiotem kontrowersji/ w negocjacjach z kierownictwem Solidarności w 1980 i 1981 roku. Jeśli to nie jest "wszystko", to jest mu bardzo bliskie. W całej książce Michnika wyczuwa się napięcie między argumentami moralnymi i politycznymi. Przedyskutowanie tego problemu wymagałoby osobnego esaju. Chciałbym tylko tutaj podkreślić, że Michnik zmaga się z pytaniami, które Konradowi czy Havelowi w ogóle się nie nasuwają, stąd dla nich jego odpowiedzi nie mają znaczenia. Ale jeśli Konrad jest od czasu do czasu skłonny zalecać, jako prawy internacjonalista, że "węgierska droga" może być w końcu drogą najlepszą dla sąsiednich narodów, Michnikowi nie jest całkiem obca myśl przeciwna, że "to Polacy pokazali światu, że coś takiego jest możliwe. Prędzej czy później okaże się, że te działania dały pewien przykład. A kiedy inne narody zaczną go naśladować, sowiecki porządek stanie wobec najpoważniejszego zagrożenia".

Krótko mówiąc, gdy tylko - unosząc się ponad wspólne podglebie - próbujemy zadać polityczne pytanie "Co robic?", stwierdzamy, że ci trzej pisarze, najgłębiej zainteresowani środkowoeuropejskim trójporozumieniem, otwarci na tradycje i idee partnerów dialogu, dają bardzo odmienne a nawet sprzeczne odpowiedzi, które w dużej mierze odzwierciedlają różnice w sytuacji ich narodów. Mówić, jak to czyni Konrad, że mamy do czynienia jedynie z różnymi narodowymi "strategiami" lub drogami do tego samego celu, to pokrywać różnice smakowitym lukrem, zamiast budować mosty nad nimi.

Ponadto, oprócz głębokich różnic, pewne ograniczenia i przeoczenia są wspólne dla tych trzech autorów. W ich analizach sytuacji kraju najbardziej może uderzającym brakiem jest pominięcie całej materialnej strony życia, ich pogarda dla ekonomii. Można twierdzić - wbrew Markowski - że świadomość ostatecznie określa byt, że idee są ostatecznie ważniejsze niż siły materialne, ale to nie usprawiedliwia ignorowania tych ostatnich. Bez subtelności idei KOR-u nie byłoby Solidarności /a przynajmniej byłaby zupełnie inna/, ale u narodzin Solidarności stała wulgarna podwyżka cen mięsa. Najbardziej rozpowszechnioną, niemal ogólnie stosowaną formą niezależnej działalności we Wschodniej Europie jest dziś praca lub "działanie" w "drugiej gospodarce". Działalność na czarnym rynku jest anty-polityką szarego człowieka.

Konrad czyni gest w tym kierunku, nawołując do "połączenia drugiej gospodarki z drugą kulturą", ale jak to zrobić? Tomasz Masaryk ukazywał Czechom drogę do niepodległości /z Europy Habsburgów/ głosząc podwójne hasło "Nie kłam, nie kradnij". Ale oechy potrzebne, by odnieść jakikolwiek sukces w "drugiej gospodarce" w kraju o systemie socjalistycznym, są dokładnie przeciwne tym, jakich domaga się intelektualny antypolityk. Nie kłam, nie kradnij? Każdy, kto zajmuje się jakąkolwiek działalnością ekonomiczną gdziekolwiek w Europie Wschodniej nie przeżyłby 5 minut, o ile nie tolerowałby pawnych - powiedzmy - terminologicznych niedokładności i o ile nie stosowałby - nazwijmy to - nieortodoksyjnych metod nabywania dóbr*). /Pewien ksiądz w Polsce powiedział mi kiedyś, że jeśli ludzie wyznają mu w konfesjonale, że muszą stosować nieortodoksyjne metody zakupu, poucza ich, by nie traktowali tego jako grzech. W tym bezbożnym systemie jest to konieczność. A w jakiś inny sposób budowano by te nowe kościoły na większą chwałę Pana?]

Ani Konrad ani Havel nie poruszają w ogóle tego problemu. Głoszą program dla intelektualistów. Michnik zdaje się zakładać, że ekonomiczne żądania Solidarności jako związku zawodowego będą w naturalny sposób łączyć się z potrzebami moralnymi i antypolitycznymi, które są głównym przedmiotem jego zainteresowania. To założenie wymaga dokładniejszej analizy.

W międzynarodowych analizach dokonywanych przez tych trzech autorów najważniejszą może słabością jest ich podejście do państwa, które w Środkowej Europie jest wciąż największą regionalną potęgą: do Niemiec. Rzeczywiście, wszyscy trzej rozumieją ogólnie, że przewyciężenie /lub zredukowanie/ podziału Europy wymaga przewyciężenia /lub zredukowania/ podziału Niemiec. I wszyscy są za tym. Rzeczywiście, Konrad oświadcza, że arystokracja intelektualna powinna skoncentrować się na problemie traktatu pokojowego z Niemcami. Ale nie jest to akurat znaczący cel we współczesnej niemieckiej myśli i działalności. Żaden z nich nie próbuje zająć się poważnie rzeszywistą polityką Zachodnich Niemiec - tym, co stanowi Deutschlandpolitik i Ostpolitik - i co stanowi wiodący czynnik współczesnej polityki europejskiej. Architektki i wykonawcy tej polityki ze swej strony w dużym stopniu ignorują niezależne głosy Europy Wschodniej i widzą swych rzeszywistych partnerów wśród pozornie wszechmocnych, to jest w rządzących partiach komunistycznych i w Moskwie, a nie wśród pozornie bezsilnych, w opozycji i wzięzieniach.

Może warto przypomnieć, że oryginalne środkowowschodnioeuropejskie zastosowanie terminu "Europa Środkowa" sformułowane zostało przez Tomasza Masaryka w czasie I wojny światowej w zamierzonej opozycji do niemieckiego zastosowania terminu "Mitteleuropa" przez Fryderyka Neumanna i innych, jako uzasadnienie ekspansjonistycznych planów imper-

*) Odnosi się to również do legalnego prywatnego sektora, jak wykazuje Anders Aslung w swojej nieocenionej książce "Prywatne przedsiębiorstwo w Europie Wschodniej", Londyn, 1985/

ialnych Niemiec. Porównywanie współczesnej polityki niemieckiej jej celów z tymi z 1915 roku byłoby całkowicie niesłuszne i ubliżające. Ale ani ubliżające ani bezoelowe nie byłoby zbadanie różnic między pojęciem "Mitteleuropa" używanym przez zachodnioeuropejskich socjaldemokratów, jak Peter Glotz /szczególnie w kontekście "druga Ostpolitik"/ a pojęciem "Europa Środkowa", które wyłania się z prac niezależnych intelektualistów Środkowowschodniej Europy.

Inną linią ogólnie krytyki mogło by być stwierdzenie /i tu świadomie przesadzam/, że Konrad, Havel i Michnik to tylko ostatni potomkowie tradycji istniejącej w środkowowschodniej Europie od czasów Oświecenia: zapatrzeni w Zachód, kosmopolityczni, świecko-humanistyczni i racjonalistyczni - to co Tomasz Mann pogardliwie nazwał "Zivilisationsliteraten" /zanim sam stał się literatem cywilizowanym/. Rzeczywiście, Zivilisationsliteraten mówi teraz zupełnie inne rzeczy niż przed półwiekiem: w gruncie rzeczy w podstawowych sprawach mają dokładnie odwrotne poglądy. Jedna tylko sprawa nie uległa zmianie: fakt, że byli i są znikomą mniejszością. Byli mniejszością przez I wojnę światową, bezsilni wobec nacjonalizmów, które rozdzierały Europę Środkową. Byli niewielką mniejszością przed II wojną światową, bezsilni wobec imperializmów, które rozdarły tę Europę.

A dziś? Dlaczego nawet dziś, w obzarze w dużej mierze w okrutny sposób oczyszczonej z dwóch największych mniejszości narodowych: Żydów i, oczywiście, Niemców, nacjonalizm wciąż spotyka się z silniejszym odzewem niż internacjonalizm Konrada, nawet wśród wielu niezależnych intelektualistów, nie mówiąc o masach. Co jest dziś największym problemem /oprócz obniżającego się poziomu życia i rosnących nierówności społecznych/ w opinii mas i intelektualistów węgierskich? Prawa człowieka i obywatela, demokracja, "walka o społeczeństwo obywatelskie"? Nie, jest to położenie mniejszości węgierskiej w Siedmiogrodzie i w Słowacji. Dyskutowałem ideę Europy Środkowej z bardzo inteligentnym i wyrafinowanym Węgrem. Westchnął: "Tak, kiedyś mogło, być może, istnieć coś takiego jak Europa Środkowa. I wiesz, uważamy, że to wy jesteście winni, że nie istnieje". Miał na myśli pokój z Trianon*).

A wreszcie wątpliwość największa: czy cały ten wspólny obszar, który starałem się tu opisać, nie jest po prostu niczym więcej jak produktem ubocznym wspólnej bezsilności? Czy istnienie tej wymyślonej Europy Środkowej nie jest w ostatecznym rachunku zależne od istnienia rzeczywistej Europy Wschodniej? Czy wreszcie, "antypolitycy" nie są po prostu produktem niemożności prowadzenia polityki? Skoro nie możesz praktycznie uprawiać sztuki możliwej, wymyślasz sztukę niemożliwą. Zachodnioeuropejska moralistyczna krytyka amerykańskiej polityki zagranicznej scharakteryzowana została jako "erogancja niemożności". Czy określenie to nie pasuje do antypolitycznej moralistyki? Antypolityka jest produktem życia w klęsce. Ile pozostało by z niej po zwycięstwie?

Jeśli wypowiedzam te wszystkie wątpliwości i pytania, roztrząsam różnice między trzema autorami, ich sprzeczności i wspólne dla nich ograniczenia, nie robię tego gdyż uważam, że to co mówią to nieważne mrzonki - pogląd nader powszechny wśród realizatorów polityki Zachodu względem Europy Wschodniej - ale, przeciwnie, dlatego, że uważam to za istotne i trafne. Chociaż jeszcze niejasne i nie do końca sformułowane, pojęcia "antypolityki" i "Europy Środkowej" wydają mi się kluczowe zarówno dla zrozumienia tego, co mogło by się zdarzyć w Europie Wschodniej w nadchodzącej dekadzie, jak i, potencjalnie, dla kształtowania tego procesu.

*) Chciałbym przypomnieć, że pokój zawarty w Trianon w 1920 roku, będący dziełem Woodrowa Wilsona, Clemenceau i Lloyd George'a, pozabawił Węgry ponad 2/3 ich terytorium sprzed 1914 roku, w tej liczbie, Słowacji, włączonej do Czechosłowacji; Siedmiogrodu, który stał się częścią Rumunii i Chorwacji, która weszła w skład Jugosławii.

Oczywiście, nie możemy całkiem nie brać pod uwagę możliwości jakiegos geopolitycznego przekształcenia na wielką skalę za zgodą Moskwy, powiedzmy "nowej Jałty", wynegocjowanej finlandyzacji Europy Wschodniej. Ale jest to najmniej prawdopodobny wariant. Nie możemy również całkowicie wykluczyć możliwości daleko idących reform przeprowadzonych z błogosławieństwem Gorbaczowa przez nowe pokolenie komunistycznych przywódców z Europy Wschodniej - reform początkowo ekonomicznych, ale ze zrozumieniem i świadomym uznaniem przez przywódców ich politycznych implikacji. Ale to również wydaje się coraz bardziej nieprawdopodobne /w tej chwili jest tylko jeden znaczący przykład - Węgry, ale nawet te próby są na małą skalę, kruche, dwuznaczne/. Jednakże, co na pewno jest możliwe i nawet prawdopodobne, to dalszy powolny, bezładny, postępujący małymi kroczkami proces różnicowania się, w którym narody Europy Wschodniej będą stopniowo, na różne powikłane sposoby dochodzić praktycznie do coraz większych obzarów pluralizmu i niepodległości - kulturalnej, społecznej i ekonomicznej - de facto, obzarów częściowo oddanych planowo i celowo przez przywódców, ale głównie wydartych od nich przez nacisk oddolny: nie będzie to postęp "zreformowanego" a więc odmłodzonego komunizmu, ale regres rozpadającego się totalitaryzmu. Raczej "ottomanizacja" niż finlandyzacja imperium sowieckiego.

Jeśli prognoza ta zawiera choć trochę prawdy, ważne jest określenie, jaką formę przyjmie nacisk oddolny. Czy będzie gwałtowny czy nie, indywidualny czy zbiorowy, zorganizowany czy nie. Oczywiście, w każdym z tych krajów działa odmienna i stale zmieniająca się mieszanina różnych czynników: w jednym kraju jest to w dużej mierze nacisk zbiorowych oczekiwań, gdzie indziej wypowiadają się one przez Kościół, ówdzie po prostu zagrażają gwałtowną rewoltą. Termin "antypolityka" w najszerszym sensie jest próbą zarówno scharakteryzowania jak i kształtowania tego nacisku od dołu. Jest to na w pół opis na w pół przepis. Jego obszarem jest przestrzeń między państwem a jednostką, pomiędzy władzą a bezsilnością, a ogniskowa znajduje się w połowie dystansu, poza bezpośrednimi troskami ojców rodzin, ale daleko od horyzontów narodowej niepodległości. Systemowi imperialnemu, którego głównymi instrumentami panowania są kłamstwo, przemoc i atomizacja społeczeństwa w myśl reguły "dziel i rządź", antypolityka odpowiada imperatywom życia w prawdzie, wyrzeczenia się przemocy, walki o obywatelskie społeczeństwo i - idea Europy Środkowej.

Ale ta nowa Europa Środkowa jest właśnie tym: idea. Nie istnieje jeszcze. Istnieje natomiast Europa Wschodnia - część Europy kontrolowana militarnie przez Związek Sowiecki. Tę nową Europę Środkową trzeba dopiero stworzyć. Nie uda się jej stworzyć tylko przez powtarzanie słów "Europa Środkowa" jako sloganu od Kalifornii do Budapesztu, ani przez hołubienie nowego mitu. Jeśli termin "Europa Środkowa" ma nabrać cech rzeczywistości, dyskusja musi pójść naprzód, od deklamacji, sentymentalizmu i magicznych zaklęć do beznamiętnej i ścisłej analizy zarówno realnego dziedzictwa historycznej Europy Środkowej - która jest w tej samej mierze terenem podziałów jak i związków - jak i obecnego stanu środkowowschodniej Europy, istniejących różnic i podobieństw. Na szczęście proces ten już się rozpoczął: w Pradze powstanie niezależnego pisma "Średni Evropa" /Europa Środkowa/ stało się katalizatorem ostrej dyskusji między katolickimi i protestanckimi intelektualistami na temat dziedzictwa imperium Habsburgów i pierwszej republiki. Ale pozostaje jeszcze wiele drogi do przebycia.

Spojrzenie w przeszłość ujawnia jeszcze jeden kluczowy problem Europy Środkowej - obok sformułowania i wzbogacania rodzimej strategii "antypolityki": praw mniejszości narodowych. Czy Europa Środkowa może być z powrotem zjednoczona, choćby tylko na papierze, w tym właśnie aspekcie, w jakim była najczęściej, najokrutniej i /z punktu widzenia sąsiadujących imperiów/ najskuteczniej dzielona, w aspekcie, w jakim różne narody, rasy, kultury i religie próbują /lub nie potrafią/ współ

istnieć? Nawet dzisiaj najbardziej otwarci, tolerancyjni i demokratyczni intelektualści Czechosłowacji i Węgier nie mogą uzgodnić wspólnego stanowiska co do statusu i traktowania mniejszości węgierskiej na Słowacji. Interesująca dyskusja rozpoczęła się w niezależnej prasie w Polsce o stosunku do Niemiec i niemieckiej mniejszości w Polsce. W tej chwili głównym problemem dyskusji jest, czy mniejszość niemiecka istnieje /Kardynał Glemp zgadza się z generałem Jaruzelskim, że nie/. Ale może jeszcze ważniejsze jest pytanie, czy było by dobrą rzeczą, gdyby niemiecka mniejszość istniała. A co z mniejszością żydowską? A co z Ukraińcami? I dlaczego nie ma być mniejszości węgierskiej w Słowacji? Zakładając, zawsze zakładając, że każda mniejszość będzie ciężać się wolnościami, których określenie w Europie Środkowej uważamy za swój obowiązek.

Wiele przeszkód dla takiego środkowoeuropejskiego dialogu ma charakter historyczny, emocjonalny i intelektualny. Ale istnieją też po prostu przeszkody praktyczne. Zarządźć im może dialog, do którego władze komunistyczne zniechęcają jak mogą lub usiłują go zepchnąć na tory szowinistyczne. A mogą bardzo dużo. Kiedy mówimy o "podziale Europy" lub "żelaznej kurtynie" automatycznie myślimy o podziale Wschodu-Zachód i murze berlińskim. Ale może najbardziej nieprzenikliwymi granicami nie są te między Wschodem i Zachodem ani nawet granica Niemcy-Niemcy /dzięki 15-letniej "Deutschlandspolitik"/. Swoboda poruszania się i prawdziwa wymiana kulturalna są najbardziej ograniczone na najmocniej zamkniętej granicy współczesnej Europy: na granicy Polski i Czechosłowacji. To tam jest prawdziwa żelazna kurtyna. Wiodące postacie spośród polskich, czeskich i węgierskich intelektualistów spotykają się częściej w Paryżu czy Nowym Jorku niż w Pradze czy Warszawie. Jeśli jedni czytają książki drugich to po angielsku, francusku czy niemiecku: z małymi wyjątkami brak przekładów w ich własnych językach. Autor niniejszego eseju łatwiej może zetknąć się z każdym z nich, niż oni między sobą. Jeśli poruszają się w obszarach takich samych problemów, to każdy z nich dotarł tam niezależnie od innych. Biorąc pod uwagę te okoliczności, możemy być przyjemnie zaskoczeni, że wspólnych obszarów jest tak wiele.

Wspólny obszar ma duże potencjalne znaczenie w tej części Europy, w której żyją: Europie Wschodniej według dokumentów, Europie Środkowej potencjalnie. Ale czy ma jakieś większe znaczenie dla intelektualistów na Zachodzie? Tu dochodzimy do szerszych rozważań w stosunku do tej nowej Europy Środkowej: spełnia ona swą rolę w sensie negatywnym, jako przewodnik po naturze władzy totalitarnej i źródło ideologicznego uodpornienia. Np. nikt, kto uczciwie przeczytał i zrozumiał to, co Michnik i Havel mają do powiedzenia, nie może dalej wierzyć, że istnieje jakaś rzeczywista strukturalna symetria i moralna równowaga między amerykańską dominacją nad Zachodnią Europą i sowiecką dominacją nad Europą Wschodnią /obawiam się, że to niebezpieczeństwo istnieje dla przypadkowego czytelnika Konrada/. W tym zakresie autorzy, których wymieniałem, wywarli zbawienny wpływ na część zachodnioeuropejskiego ruchu pokojowego. Natomiast większość pozytywnych idei, które głoszą, nie jest uderzająco nowa /choć starość im nie szkodzi/, a te, które są nowe, nie posiadają istotnego odniesienia do nieszczęsnych zachodnich okoliczności. Na przykład, próby interpretowania działalności zachodnich ruchów pokojowych jako części walki o prawa obywatelskie, nie są bardzo przekonujące i wiążącość z nas - w Anglii i Ameryce - wie jeszcze, co znaczy pojęcie lewicy i prawicy.

A przecież wierzę, że mają nam oni do ofiarowania coś bezcennego. Przede wszystkim dają osobisty przykład, jakiego nie znalazłoby się jak rok dłużej w Londynie, Waszyngtonie czy Paryżu, przykład nie dowcipu, byskotliwości czy inteligencji, ale intelektualnej odpowiedzialności, integralności i odwagi. Wiedzą i przypominają nam - żywo i natarczywie - że idee się liczą, słowa się liczą, mają konsekwencje i

nie powinny być lekkomyślnie używane. Michnik cytuje Lampedusę: "Nie można wykrzyczeć najważniejszych słów". Pod czarną nocą potęgi totalitarnej większość idei i słów deformuje się groteską lub po prostu rozpada. Tylko bardzo niewiele z nich, przeważnie niezbyt nowych, przechodzi przez tę próbę, pozostaje jak skała pod każdym naciskiem. Są rzeczy, za które warto cierpieć, są moralne prawdy absolutne. Nie wszystko podlega dyskusji.

"Życie w klęsce jest niszczące" - pisze Michnik - "ale wytwarza także wielkie kulturalne wartości, które leczą... Wiedzieć, jak żyć w klęsce, to wiedzieć, jak przeciwstawić się losowi, jak wyrazić nieufność w te siły, które udają, że są losem". Te wartości i cechy wytworzyły się pod wpływem specyficznego wschodnioeuropejskiego doświadczenia, które jest najważniejszym doświadczeniem Europy naszych czasów. Ale skoro możemy przeczytać, co pisze Michnik, Havel czy Konrad, może jest możliwe nauczyć się czegoś z tego doświadczenia, samemu przezeń nie przechodząc?

Rosyjska poetka Natalia Gorbaniewska powiedziała mi raz: "Wiesz, George Orwell był Europejczykiem ze Wschodu". Może teraz powinniśmy powiedzieć, że Orwell był Europejczykiem z Europy Środkowej. Jeżeli to jest to, co uważamy za "Europę Środkową", ubiegałbym się tam o obywatelstwo.

TIMOTHY GARTON ASH

Cytat ten pochodzi ze wstępu Michnika do niemieckiego wydania jego esejów, przedrukowany w "East European Reporter", zimą 1986 r.

/Tłumaczenie z "The New York Review of Books", 9 October 1986/

LEKCJA HISTORII

Dziadek miał historię w jednym palcu. Sam, jak mówił, ją tworzył. W blaszanym pudełku po herbacie trzymał medale ze wszystkich wojen, w których brał udział. Medale były kolorowe, ze wstążeczkami i napisami. Wszystkie dziadka. Nie wolno mi było ich dotykać, a oglądać pozwalał je tylko w swojej obecności.

W przedszkolu /to znaczy w szkole, bo chodziłem z mamą do szkoły mimo przedszkolnego wieku/ najbardziej zaciekała mnie historia. Historii uczyła mama, zresztą mama uczyła tu wszystkich przedmiotów: i polskiego, i matematyki, i geografii, i przyrody. I śpiewu, i rysunków. A nawet prac ręcznych i wuefu.

Ale historia była najciekawsza.

Ciągle, prawie codziennie obchodziliśmy w szkole jakąś rocznicę. Przeważnie rocznicę wybuchu, zakończenia i powstania. Czasem ogłoszenia lub wyzwolenia. Chodziło o Polskę, która walczyła, powstawała, wygrywała, a kiedy miała przegrać, zawsze w potrzebie wspomagała ją bohaterka i braterska armia radziecka, która gromiła wszystkich naszych wrogów kiedy tylko miała ochotę.

Byłem wdzięczny armii i narodowi radzieckiemu za jego poświęcenie dla Polski. W okolicy, u Jasińskich na górze był cmentarz, na który nosiłem kwiaty, który sprzątałem i porządkowałem, którym zajmowałem się i opiekowałem, razem z kolegami ze szkoły. Był to cmentarz bohaterów żołnierzy radzieckich. Polegli tutaj wyzwalając nasz kraj spod hitlerowskiej okupacji. Wielu z nich zginęło abyśmy mogli być wolni i żyć w pokoju. Bezinteresowni. Gardząc życiem, dali nam wolność.

Jak wszystkie dzieci zostawałem po lekcjach, by przygotować następną gazetkę, bo ta z dnia poprzedniego zazwyczaj była już nieaktualna. Przygotowanie nowej gazetki nie sprawiło mi nigdy większych kłopotów. Wystarczyło zmienić w niej datę i nazwę rocznicy, ilustracje i hasła pozostawały w dawnym miejscu. Przeważnie były to wycięte z czasopism "Przyjeźdź" i "Kraj Rad" zdjęcia radzieckich żołnierzy, radzieckich czołgów, radzieckich miast, ludzi radzieckich oraz fotografie zburzonych polskich i niemieckich miast, które zostały przez nich zdobyte, a także napisy /te robiła mama/:

NIECH ŻYJE BRATERSKA ARMIA RADZIECKA !

WIECZNA PRZYJAŹŃ POLSKI I ZSRR NIECH ŻYJE !

ONI NIESLI NAM WOLNOŚĆ !

ZSRR GWARANTEM NASZEJ NIEPODLEGŁOŚCI I NASZEGO SZCZĘŚCIA !

Czasem na gazetce pojawił się portret któregoś z naszych Piastów, w otoczeniu rycerzy z orłami na piersiach lub reprodukcja którejś z rozegranych przed laty przez nich bitew, którą wygrać pomogli nam Rosjanie, a obok niego uśmiechnięci, przyjaźni ludzie radzieccy, kobiety radzieckie, młodzież radziecka - komsomolcy i pionierzy.

Bardzo chciałem zostać pionierem, a potem komsomolcem, ale u nas w Polsce nie istniały takie organizacje. Marzyłem o wyjeździe do Arteku i o tym, że odwieźdza nas tam kierownictwo partii radzieckich mas, a ja wręczam mu wiązaną biało-czerwonych goździków od polskich dzieci, za pokój, który nam dali i którego nieustannie strzegą, i za to, że bronią nas przed Niemcami, co tylko czują na sposobny moment, żeby nas wszystkich wymordować.

Ucieszyłem się, kiedy mama powiedziała mi, że harcerstwo to prawie to samo co organizacja pionierska. Postanowiłem więc zostać harcerzem. I zawzięcie uczyłem się historii.

To, czego uczono w szkole miałem wkrótce w małym palcu, ale w dalszym ciągu odczuwałem niedosyt wiedzy o naszej narodowej przeszłości. Było mi mało i mało. Króliki, które dostałem od sąsiada karmił dziadek, przestałem się nimi interesować. Męczyłem mamę po lekcjach, ale ona odsyłała mnie do dziadka, tłumacząc się brakiem czasu i zmęczeniem.

Dziadek chętnie opowiadał, ale nie to i nie tak jak to sobie wyobrażałem.

Wieczorami przy kopającej lampie naftowej, w alkierzu przy stole było przyjemnie i cicho. Tylko ómy tłukły się o szybę i opalały sobie skrzydełka nad płonieniem. Dziadek rozpoczął od początku, od powstania państwa polskiego.

Mówił o Dąbrowce i Mieszku, o chrzcie Polski, wojnie z niemieckim margrabią Gedonem i zwycięskiej bitwie pod Cedynią.

- Dziadku? - spytałem. - W tej bitwie pomogli nam żołnierze radzieccy? Prawda?

- Co? - dziadek zakrztusił się i rozkaszał jakby połknął dym skręta. - Słyszysz? - zawołał do mamy, która robiła w kuchni kolację. - On pyta...

- Słyszałam - powiedziała mama i nic więcej nie dodała.

Dziadek więc tłumaczył mi sam, że nie, że wtedy jeszcze nie było żołnierzy radzieckich, a nawet jakby byli, to rycerze a nie żołnierze i rozpoczął opowiadać o Chrobrym, który był pierwszym królem Polski i tęgie manto sprawił cesarzowi niemieckiemu Henrykowi.

- Dziadku? - spytałem. - Pomogli nam żołnierze radzieccy?

Dziadek znów zakrztusił się i rozkaszał. A kiedy mu przeszło odpowiedział, że nie, nie pomogli, a wręcz przeciwnie. Chrobry z nimi walczył i ich zwyciężył, tylko, że nazywano ich wtedy Rusinami a nie ludźmi radzieckimi. Chrobry zdobył ich stolicę Kijów i wyszczerbił miecz na Złotej Bramie. Ten miecz nazywa się Szczerbic i jako pamiątkę przechowujemy go do dzisiaj.

- Ale potem, dziadku, już przyjaźniliśmy się? - spytałem. - Tak? Dziadek znów zaczął kaszleć, ale szybko się opanował i opowiadał dalej. O Bolesławie Krzywoustym i bitwie z niemieckim cesarzem ns Psim Polu, o Władysławie Jagielle i bitwie z Krzyżakami pod Grunwaldem. Przyniósł nawet album z ilustracjami, w którym znajduje się obrez Jana Matejki "Bitwa pod Grunwaldem".

Strasznie się cieszyłem, że Polacy tak sprali Krzyżaków.

- A wszystkich zabili? - dopytywałem się.

Dziadek roześmiał się.

- Nie. Ale Wielkiego Mistrza tak. I wiele rycerstwa wzięli do niewoli. Wojna jeszcze trwała. Dopiero Kazimierz Jagiellończyk, syn Jagiełły, pobił ich ostatecznie.

- Armia radziecka nam pomogła? Prawda? - przerwałem mu.

Popatrzył z góry, spod krzaczastych, siwych brwi.

- Nie! Nie pomogli! A nawet sto lat później doszło do wojny z nimi. Tylko, że ich kraj nie nazywał się jeszcze ZSRR a Moskwa, a potem Rosja i Stefan Batory pobił ich pod Pskowem. A potem były wojny kozackie i Polska straciła część Ukrainy na rzecz Rosji właśnie.

- Ale potem się już przyjaźnili? - szepnąłem.

Ale dziadek zignorował moje pytanie, a opowiadał o rozbiorach, powstaniach i utracie niepodległości. O carcy Katarzynie i Wielkim Księciu Konstantym. O przegranych bitwach. O kościuszcze i Traugutcie. W 1918 roku Polska odzyskała niepodległość.

- Dawno to było? - dopytywałem się.

- Prawie 50 lat temu. I zaraz potem rozpoczęła się...

- Dziadku? I przyjaźniliśmy się już? - przerwałem.

Udał, że nie słyszy.

- Rozpoczęła się wojna z Rosją Sowiecką, którą Polska wygrała. Ale było gorąco. Sam walczyłem, to wiem. Sowieci doszli pod Warszawę. Krucha było. Piętnastego sierpnia, po cudzie nad Wisłą jak poszła nasza ofensywa, to portki gubili, tak uciekali!

- I od tej pory już przyjaźniliśmy się? - pytałem coraz natarczywiej. - Tak? Dziadku?

Widziałem, że złością go moje pytania, ale nie wiedziałem dlaczego. Był czerwony na twarzy, ciężko dyszał, co chwila krztusił się i kaszlał.

- Ten chłopak wpędzi mnie do grobu - powiedział do matki. - Czegoś ty go w tej szkole wyuczyła?

- Taki program - wyjaśniła matka. - W szkole jestem nauczycielką.

- Przyjaźniliśmy się? - pytsłem, nie bardzo wiedząc o co chodzi.

- Nie! - wrzasnął nagle dziadek. - Pierwszego września rozpoczęła się wojna światowa. Hitler uderzył na Polskę. A siedemnastego września Sowieci uderzyli z drugiej strony i podzielili się z Hitlerem Polską. Tu u nas był Związek Sowiecki! Dopiero w czterdziestym pierwszym Stalin z Hitlerem się podarli.

- I przyjaźniliśmy się? Od tamtej pory? I pobiliśmy Niemców i zdobyliśmy Berlin. I oni nam rurociąg "Przyjaźń" i hutę Lenina - znałem to wszystko na pamięć, recytowałem więc bez zająknięcia.

- Ale dziadek nie odpowiadał, tylko mruczał niewyraźnie pod nosem: - czołgi... ruskie... czołgi.

Trudno się było połapać o co mu chodzi. Bo usnął.

A zeraż potem umarł.

TUMANY I FETYSZE

Wszystko w swoim czasie

Kisiel czyta prasę oficjalną i wie co robi. Ja nie czytam i też wiem co robię. Ktoś dawno temu powiedział: żeby z wrogiem walczyć, trzeba najpierw go poznać. Ja wroga znam. Kisiel - chyba jeszcze lepiej. Więc, o co chodzi?

Myślę, że o poczucie humoru. Kisiel posiada je w niewyczerpanych ilościach, moje prawie się skończyło i muszę racjonować je bardzo oszczędnie. Nie czytam więc gazet, nie oglądam telewizji. Tkwię sobie w małym światku, wymyślonym i nierealnym /ciakawe czy ci, którzy oglądają i czytają mają świat prawdziwy i realny/. Nie jest to jednak świat bezpieczny - chociaż po pewnych zmianach w tak zwanym prawie, jest bezpieczniejszy. No, najwyżej mogę stracić samochód. Zastanawiam się jednak, dlaczego tylko samochód a nie biurko, w którym trzymam maszynopisy; nie torbę, w której je przenoszę; nie rękawiczki i czapkę, bez których w taki mróz nie wyszedłbym z domu, żeby dojść do drukarni. Można mi jeszcze zabrać mieszkanie, gdzie rodzą się moje nieprzemysłane pomysły, no i oczywiście żonę, która jest bezpośrednią inspiracją do działań niezgodnych z tzw. prawem. Właściwie, jeżeli zabierają maszynę, na której pisane są teksty, to jeżeli piszemy ręcznie, powinni odciąć rękę i też sobie zabierać. Czemu nie?

Zapominam, że teraz jest liberalizacja, ale znając nasz zmienny klimat, wszystko w swoim czasie. Tak, tak - wszystko w swoim czasie. Jaruzelski powrócił z Rzymu pobłogosławiony przez papieża. Teraz czekam tylko, kiedy pojawi się w kościele św. Stanisława Kostki na mszy za ojczyznę.

KONRAD STRUGA

Cena 300 zł